

PRZE KRÓJ

NUMER 12/2909

25 MARCA 2001 r.

Cena 3 zł 50 gr (w tym 7% VAT)



str. 22

**Nie będziemy
pepkiem Unii**
mówi Jan Kułakowski

**Ginger — wynalazek,
który zmieni świat?**

Lekcja anatomii



INSTRUKCJA OBSŁUGI TECZKI



MPM[®] PRODUCT

PRODUCENT ZMECHANIZOWANEGO SPRZĘTU AGD



MPM[®] To ci się przyda!

MPM PRODUCT
05-822 Milanówek ul. Brzozowa 3
tel. (0-22) 758-32-19 fax (0-22) 724-70-00
www.mpmproduct.com.pl



FOT. JUSTYNA MIENKIEWICZ

16 NIE BĘDIEMY PĘPKIEM UNII

Możemy Europie zaoferować młode, dobrze wykształcone społeczeństwo, wnieść trochę nowej krwi do nieco zasiedziałej Unii Europejskiej, żyjącej swoimi zwyczajami, tradycjami, rutyną – mówi Jan Kułakowski w rozmowie z **KAZIMIERZEM TARGOSZEM**.



FOT. KUBA DĄBROWSKI

22 PIEKŁO JEST W NAS

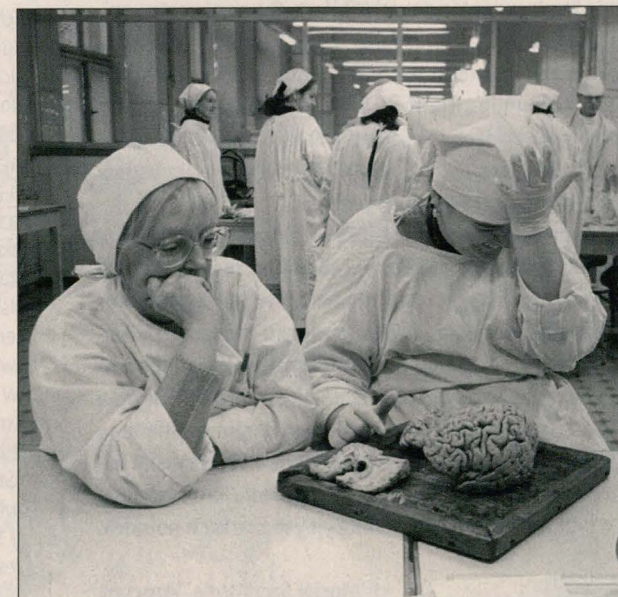
W Jedwabnem ludzie żyją dziś w napięciu. Jakby ta zbrodnia wydarzyła się tydzień temu. – Zrobiono z nas morderców 1600 Żydów – mówi w sklepie młody sprzedawca. – W okolicy patrzą już na nas podejrzanie i szemrają. Pochodzić z Jedwabnego to dziś wstyd! – **IZABELLA BODNAR**.

38

GALERIA:

ANDRZEJ WIKTOR

jako pierwszy uzyskał zgodę na wykonanie zdjęć podczas ćwiczeń z anatomii dla studentów I roku Akademii Medycznej w Warszawie. Powstał fotoreportaż taktowny, zastanawiający i pełen zabawnych szczegółów. Reporter wygrał IX Konkurs Polskiej Fotografii Prasowej w kategorii „Wydarzenia”.



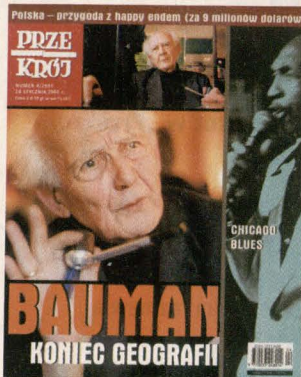
FOT. ANDRZEJ WIKTOR/RZECZPOSLITA

NUMER 12

25.03.2001

OKŁADKA: FOT. KUBA DĄBROWSKI,
MICHAŁ MUTOR/AG

Listy	4
Od redakcji i Cześć w „Przekroju”	5
Przekrój tygodnia	6
Wojciech Czuchnowski – Instrukcja obsługi teczki	10
Nie będziemy pępkiem Unii – z Janem Kułakowskim rozmawia Kazimierz Targosz	16
Grzegorz Brzozowicz – Wciskanie Fryderyków	21
Izabella Bodnar – Piekło jest w nas	22
Teraz nie kłamię – z Filipem Bajonem rozmawia Justyna Tawicka	26
Adam Wiedemann – Dziennik „duszy” (8)	31
Leszek Mazan – O burzeniu pomników	32
Łoża – Olbrychski	34
Człowiek „Przekroju” – Sławek Belina	35
Mieszanka firmowa	36
Galeria – Andrzej Wiktor „Lekcja anatomii”	38
Bikont grzebie w starych „Przekrojach”	46
Formy – Genewski autosalon	48
Hoff	52
Klub Smakosza – Pióro, Bikont, Makłowicz	53
Tu i tam – Księga podróży Zbigniewa Makowskiego	56
Sport – Piłkarskie oszustwa	60
Nauka – Ginger – wynalazek XXI wieku	62
Internet – Strony dyskusyjne	64
Film – „W pustyni i w puszczy”	66
Teatr – Stulecie „Wesela”	68
Sztuka – Kozyra	70
Zbylut Grzywacz o Adamie Hoffmannie	72
Muzyka – „Yugoton”	76
Kwestionariusz Prusa – Odpowiada Jan Kanty Pawluśkiewicz	78
Szatnia – Keff	79
Krzyżówki	80
Co Pan na to, Panie LEM	82
Rozmaitości	84



O RZEKOMYM SKOKU

(...) Pisząc o rzekomych „przygotowaniach do skoku na państwowe pieniądze”, redaktor Wojciech Czuchnowski („P” 2901, „Słabością silni, czyli promocja po polsku”) zarzuca tym samym nieuczciwość ludziom, którzy poświęcili swój czas na przygotowanie projektu kampanii, a następnie bezpłatnie przekazali go Polskiej Organizacji Turystycznej, instytucji rządowej. Ta grupa kilkunastu wybitnych specjalistów od reklamy z najlepszych polskich agencji zawiązała Stowarzyszenie „Reklama dla Polski”, aby zrealizować projekt, również „non-profit”. Członkowie Stowarzyszenia nie otrzymali ani złotówki za przygotowanie projektu kampanii wartego w tej chwili 400 000 USD i nie zamierzają ubiegać się o żadne honoraria za swoją działalność na rzecz promocji Polski. (...)

Warto również podkreślić, że projekt jest znacznie bogatszy niż to przedstawiał red. Czuchnowski. Obejmuje nie tylko propozycje filmów reklamowych, ale także m.in. projekty billboardów, działania BTL. (...)

**Honorata Tabor, PR Menedżer
ESKADRA Sp. z o.o.**

JAK PROMOWAĆ POLSKĘ?

Artykuł Wojciecha Czuchnowskiego („P” 2901) przeczytałem z wielkim zainteresowaniem i jeszcze większym przerażeniem. Autor opisuje szczegółowo pomysł promocji Polski jako kraju dla „nietypowych turystów”. Realizacja pomysłu ma kosztować ok. 9 mln dol. (sic!), płatnych w dużej części z budżetu, czyli naszej kieszeni. Nie wiadomo, co bardziej przeraża: czy zdumienie, że taki właśnie pomysł promowania Polski jako kraju turystycznego mógł się narodzić w czyjejś głowie, czy oburzenie, że mogą być na to przeznaczone pieniądze, których brak w budżecie...

Lektura tego tekstu przypomniała mi moją pierwszą – przed wieloma laty – wizytę w Muzeum Człowieka w Paryżu, gdzie Polska przedstawiona była jak kraj, po którym snują się wilki i nie ma autentycznej sztuki...

Polska jest – w sensie kulturowym – „pomostem” między Wschodem i Zachodem. (...) Polacy mają znaczący wkład do kultury współczesnej. (...) W Polsce znajdują się też unikalne już

w skali europejskiej obszary przyrody. (...) Ogromnej poprawie uległa w ostatnich latach infrastruktura dla potrzeb turystyki. Powstało i powstaje wiele nowych hoteli i oryginalnych miejsc noclegowych. Powoli poprawia się stan dróg. Jednak ciągle jeszcze turystyka nie jest doceniana przez władze i w nieznacznym stopniu są wykorzystywane jej możliwości dla wzrostu gospodarczego tak w skali kraju, jak i poszczególnych regionów. Ciągle jeszcze sporo pozostawia do życzenia promocja polskiej turystyki za granicą. Ale czy takiej promocji służyć ma absurdalny pomysł przedstawiania Polski jako kraju „czwartego świata”? Taką wizytówkę proponują nam autorzy pomysłu „na wejście” do Unii Europejskiej?

Licząc na to, że zarówno Polska Organizacja Turystyki oraz Departament Turystyki zrobią wszystko, aby do tego nie dopuścić.

Prof. Krzysztof Przedawski
(członek-założyciel Międzynarodowej Akademii Studiów nad Turystyką, honorowy przewodniczący PST, b. dyrektor Instytutu Turystyki w Warszawie)

KIBICE, TOŻ TO WSTYD!

Dobrze, że wspomnieliście o konkursie w Harrachowie („P” 2902). To, co wyprawiali tam polscy „kibice”, to na prawdę wstyd!

Kultura osobista niektórych ludzi pozostawia wiele do życzenia. Wystarczy zajrzeć do księgi gości na pewnych stronach internetowych poświęconych skokom – te wpisy są popisem skrajnego nacjonalizmu, zawierają obrzydliwe wypowiedzi pod adresem innych skoczków, głównie Schmitta. Tak, Adam Małysz stał się z dnia na dzień bohaterem narodowym. Wszyscy go teraz uwielbiają. A gdzie byli ci jego „fani”, kiedy miał słaby okres? W czasie ferii byłem na konkursach skoków na Uniwersjadzie. Kibicowałam Japończykom. I, prawdę mówiąc, czułam się niepewnie z japońską flagą w dłoni, bo trochę się bałam reakcji „prawdziwych Polaków”. Ale na szczęście było w porządku, a jakiś Japończyk powiedział do mnie „Thank you” na widok tej flagi...

Dziękuję również za notatkę na temat nowego filmu Wong Kar-Waia, bo to mój ulubiony reżyser od czasu, kiedy zobaczyłam „Chungking Express”.

Choćby to zabrzmiało pretensjonalnie – przyznam, że był to dla mnie szok. I nawet nie umiem powiedzieć, na czym polega magia jego filmów.

Marta Filipowska
<elfinka@interia.pl>

O KIM MOŻNA ŻŁE?

Jestem zaniepokojona, że ostatnio w „P”, jak i w innej prasie, bardzo dużo pisze się o „wybitnych” i „bardzo dobrych” Żydach. Można mówić i pisać o złych Polakach, Niemcach, Francuzach, Anglikach i wszystkich innych nacjach, ale nie wolno nic złego napisać ani nawet powiedzieć o złych Żydach. Zaraz zajmuje się tym prokuratura albo sądy itp., a studenci wyrzucani są z uczelni. Za PRL nie wolno było źle mówić o Zw. Sowietkim. Nic się nie pisze o tym, jak za wkraczającymi Sowietami przyszła szarańcza Żydów i zajęła główne stanowiska w NKWD i UB, i oni to wydawali rozkazy likwidacji patriotów polskich. A zaczęło się od tego, że wyrok na polskich oficerów, policjantów i inteligencję polską podpisało trzech Żydów, a w zasadzie czterech, bo Mołotow był pod zdecydowanym wpływem żony, która była Żydówką – I sekretarzem KPZR Moskwy. (...) Ponadto Stalin był nieślubnym synem Żyda – właściciela dużej fabryki. (...)

Stała czytelniczka „Przekroju”
Jesteśmy przejęci Pani niepokojem. Żydzi z „Przekroju”.

LEKCJA PIŁATA

„Co to jest prawda?” – takie pytanie, pełne nieostrożnej ironii, zadał swego czasu Poncjusz Piłat, chcąc uwolnić się od kłopotów, jakie spadły na niego w trakcie procesu Jezusa. Prawda przez to pytanie nie ucierpiała, za to prokurator Judei już na zawsze pozostanie w ludzkiej pamięci jako przykład tchórzliwego kunktatora.

Zdawać by się mogło, że w 56 lat po zakończeniu II wojny światowej i w 12 lat po upadku komunizmu prawda dotycząca tamtych czasów powinna interesować li tylko badaczy specjalizujących się w historii minionego stulecia i przysypanych kurzem archiwariuszy. Tak jednak nie jest. Mord w Jedwabnem (o dzisiejszym życiu w tym miasteczku pisze Izabella Bodnar) i zawartość esbeckich teczek (które opisuje Wojciech Czuchnowski) każą nam stanąć twarzą w twarz z przeszłością. Przeszłością, która wdziera się w czas teraźniejszy i domaga się prawdy o sobie. Obyśmy, mądrzejsi o lekcję Piłata, potrafili uczciwie zareagować na fakty, które już znamy i które jeszcze poznamy.

Być może pomogą nam w tym odsądzane od czci i wiary media współczesne. Bo przecież, oprócz pogoni za krwawą i jaskrawą sensacją (w imię prawdy, rzecz jasna), oprócz prowokowania normalnych, zdawałoby się, ludzi do obnażania się na oczach milionów widzów (dalej w imię prawdy, oczywiście) – potrafią owe media dostarczać wiadomości i obrazów potrzebnych, ważnych i dających wytchnienie. Jak choćby zdjęcia z naszej Galerii, w której zobaczyć można prace laureatów IX Konkursu Polskiej Fotografii Prasowej 2001 – szczególnie polecamy nagrodzony fotoreportaż „Lekcja anatomii” Andrzeja Wiktora z „Rzeczpospolitej” o zajęciach studentów medycyny. Patrząc na nie, myślę sobie, że fotografia jest, dzięki swemu powściągliwemu milczeniu, jedną z najwymowniejszych sztuk informacyjnych.

MARCIN BARAN



FOT. BOGDAN KRĘŻEL

PRZEKRÓJ

Założyl w Krakowie Marian Eile

WYDAWNICTWO „PRZEKRÓJ” Sp. z o.o.

ADRES: 31-012 Kraków, ul. Reformacka 3
lub 30-960 Kraków I, skrytka pocztowa 533,

e-mail: prze_red@przekroj.pl;

TELEFONY – łączą centrala: (012) 422-18-33,
422-18-72, 422-59-54, 422-18-92, 421-91-37
fax (012) 421-49-29, 422-70-61

PREZES ZARZĄDU I DYREKTOR: Leopold Stefański

REDAKTOR NACZELNY: Maciej Piotr Prus

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO: Piotr Bikont

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: Bożena Kalinowska

SEKRETARZ REDAKCJI: Marcin Baran

SEKRETARIAT ODPOWIEDZIALNY: Mirosław Chomko,
Józef Lubiński, Andrzej Ruchalski

DZIAŁY:

Kultura: Benjamin Lazar, Tomasz Przybytkiewicz,
Dobrosław Rodziejewicz, Jacek Ziemek (p.o. kierownika)

Ludzie i obyczaje: Izabella Bodnar,

Wojciech Czuchnowski (kierownik), Barbara Pajchert,
Justyna Tawicka

Nauka i zdrowie: Teresa Bętkowska,

Janusz Marcjan (kierownik), Leszek Peters

Formy: Marcin Fedisz (kierownik), Wojtek
Kocłowski, Stefan Rokita, Agnieszka Wrzesień,
Bogna Wernichowska

Publicyści: Ludwik Jerzy Kern, Leszek Mazan,
Jerzy Piekarczyk, Kazimierz Targosz

Pracownia graficzno-komputerowa:

Piotr Gidlewski (grafika), Maria Klich,
Joanna Sroka (kierownik)

Dział fotograficzny: Joanna Dyczek, Marcin
Kędryna (fotoedytor), Bogdan Krężel, Jan Zych

Korekta: Anna Rudnicka, Małgorzata Strakowska-
Szczurek, Barbara Wojtanowicz (kierownik)

Produkcja: Michał Kędryna, Andrzej Laurisz

WYDAWNICTWO: gł. księgową – Halina Zięba,
kolportaż – Barbara Bagińska (kierownik)

DZIAŁ PROMOCJI: Anna Korwin (kierownik),
Włodaw Kaczmarszyk („Złoty Grosz”)

DZIAŁ REKLAMY:

Biuro w Warszawie – ul. Wolska 45 A,
tel./fax (022) 631-46-68, 631-35-62,
Halina Sułkowska

Biuro w Krakowie – ul. Reformacka 3,
tel. (012) 422-70-61, Marzena Kiedacz

NASZE KONTO: Bank Pekao SA – I O/Kraków
nr 12401431-7010439-2700-401112-001

DRUK: Winkowski Sp. z o.o. ul. Okrzei 5,
64-920 Piła, tel. (0-67) 210-84-00

PRENUMERATA – krajowa: terenowe oddziały
Ruch SA, wszystkie urzędy pocztowe oraz redakcja;
zagraniczna: Ruch SA, Oddział Krajowej Dystrybucji
Prasy, 00-958 Warszawa, ul. Jana Kazimierza 31/33
Konto: Pekao SA IV O/Warszawa, nr 12401053-
40060347-2700-457872-001,
tel. +48(22) 5328-731,

fax +48(22)5328-732 oraz redakcja

(wpłata na podane wyżej konto bankowe)

Artykułów nie zamówionych nie zwracamy.

Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skróto-
w nadesłanych artykułach i listach.

Nakład: 90 000 egz.



TAJEMNICA NIKIFORA

„P” dawno temu spopularyzował Nikifora. O genialnym prymitywizmie pisywałem i ja. Teraz mam jedną z najwspanialszych ciekawostek. W zbiorach muzeum w Nowym Sączu jest obraz (reprodukcja w albumie „Nikifor”, wyd. Bosz-Art) pod tytułem „Przed oczyma przerażonych kobiet” i dalej (chodzi o charakterystyczne dla Nikifora napisy u dołu obrazka) „płaszcz usunąć się z jego ramion... straszna rzeczywistość...”. Zestawiłem go z drugim obrazkiem (w zbiorach prywatnych), na którym malarz pisze: „Żwirowski zbladł jak płótno zatoczył się i gdyby nie drzwi byłby upadł czy umarł wstając z grobu wyjęknał”. Toż to ilustracje do „Zaklętego dworu” Walerego Łozińskiego!

Na pierwszym obrazku oficjalista Nicefor Barszczyk opowiada hrabinie Żwirowskiej i jej córce o pożarze i strasznych wydarzeniach, jakie nastąpiły w domku Kozaka Bulija. Drugi ilustruje kulminacyjną scenę powieści, kiedy to Bulij doprowadza do spotkania Zygmunta Żwirowskiego z uważanym za zmarłego bratem Mikołajem. Ale u Łozińskiego nie ma zdań, jakie Nikifor umieścił pod obrazkiem. Zatem musiał korzystać z tekstów i rycin jakiejś parodii, może z komiksu publikowanego w jakimś piśmie satyrycznym. Obrazki można datować na lata 1921–24 – świadczą o tym ceny „500000” w inflacyjnych markach polskich. Może Czytelnicy pomogą rozwikłać tę zagadkę?

Maciej Szczyrbała, Wrocław





FRYDERYKI DLA DZIECI

Nagrody polskiego przemysłu muzycznego – rozdane. Zwycięzcą w kategoriach: Grupa Roku, Fonograficzny Debiut Roku oraz Album Roku okazał się zespół Arka Noego – wielka dziecięca rodzina prowadzona do sukcesu przez nawróconego metalowca Litę. Wokalistą roku została Beata Kozidrak. O Fryderykach także na str. 21.

ŚWIAT PATRZY NA JEDWABNE

Dyskusja sprowokowana przez Jana T. Grossa książką „Sąsiedzi” dawno już przekroczyła granice Polski. W kilku witrynach internetowych w Stanach Zjednoczonych rozpoczęła się właśnie promocja tej książki, opatrzonej podtytułem: „Zagłada społeczności żydowskiej w Jedwabnem”. (Reportaż z Jedwabnego na str. 22)

POŻEGNANIE Z AKCJĄ

Stronnictwo Konserwatywno-Ludowe pożegnało się z AWS i weszło na Platformę Obywatelską. Lider SKL, Jan Maria Rokita, zwolennik dotychczasowego sojuszu przyznał, że poniósł porażkę, ale patrzy w przyszłość, bo w polityce tak trzeba. W ostatnich notowaniach Platforma i AWS miały po 12 procent poparcia, ale teraz może się to zmienić.

NA WSTECZNYM BIEGU

W izraelskim rządzie dają znać o sobie przedstawiciele ortodoksyjnej partii Szas. Minister spraw wewnętrznych chce drastycznie ograniczyć sprzedaż wieprzowiny oraz zablokować planowane przez poprzedni rząd wprowadzenie małżeństw cywilnych. Minister oświaty zamierza wycofać ze szkół podręczniki, w których mowa o cierpieniach Palestyńczyków.

ZMIANA ŻANDARMA

Rosyjskie dowództwo rozpoczęło wycofywanie regularnych wojsk z Czeczenii, gdzie znajduje się 40 tys. żołnierzy, o połowę mniej niż w szczytowym okresie II wojny czeczeńskiej. Wzmocnieniu ulegną natomiast jednostki podległe Federalnej Służbie Bezpieczeństwa, przygotowane do prowadzenia operacji specjalnych.

POSĄGI POD MŁOT

„Jeżeli delegaci Organizacji Konferencji Islamskiej przekonają nas, że niszczenie posągów Buddy jest niewłaściwe, zaakceptujemy to – powiedział ambasador talibów w Pakistanie. Tymczasem minister spraw zagranicznych Afganistanu w rozmowie z sekretarzem generalnym ONZ potwierdził, że wszystkie „przenośne” figury i statuetki zostały już zniszczone całkowicie, a wielkie posągi – w 80 procentach.



Burzę w Sejmie wywołał projekt uchwały, która stwierdza, że organizacja „Wolność i Niezawisłość” dobrze zasłużyła się ojczyźnie. Ostatecznie uchwałę przegłosowano, ale znowu historia zantagonizowała posłów.



Największy z serii procesów tzw. łódzkiej ośmiornicy potrwa zapewne do końca roku. Wśród zarzutów (na 300 stronach aktu oskarżenia) m.in.: wyłudzenia towarów, ubezpieczeń z firm asekuracyjnych oraz oszustwa podatkowe.



W profilaktyce mającej zapobiec rozprzestrzenianiu się pryszczycy Brytyjczycy są bezwzględni nawet wobec Królowej Matki. Zwraca uwagę mata dezynfekcyjna, dobrana pod kolor płaszcza.





Prezydent Chatami jest pierwszym od 27 lat przywódcą irańskim, który przyjechał do Moskwy. W ciągu najbliższych lat Iran zamierza wydać 7 mld dolarów na unowocześnienie armii. Rosjanie chcą też mieć coś z tego.



Ponad 2 tysiące studentów domagało się w Dżakarcie ustąpienia prezydenta Wahida. Do stolicy Indonezji ciągną tymczasem sympatycy prezydenta z jego rodzinnych stron.

„KURSK” POLEŻY

Po raz kolejny przesunięto termin wydobywania z Morza Barentsa rosyjskiego okrętu atomowego. Szef komisji badającej przyczyny katastrofy „Kurska” przed dwoma miesiącami zapewniał, że są one znane. Teraz opowiada o „trzech wersjach tragedii”.

NIEUFNOŚĆ WUJA SAMA

Korea Północna odwołała niespodziewanie spotkanie z południowym sąsiadem. Rozmowy miały dotyczyć złagodzenia napięcia na półwyspie. Powodem mogło być, wynikające z nieufności, usztywnienie polityki Waszyngtonu wobec Korei Północnej.

ŁĄCZ I DZIEL

Podczas obrad łódzkiego RS AWS witano entuzjastycznie powracającego do polityki Janusza Tomaszewskiego. Hasło: „Złącz raz jeszcze AWS” jest jednak trudne do realizacji, bo nie wszyscy z radością patrzą na powrót byłego wicepremiera. Właśnie oświadczył, że „przywódcy, których twarze przestały być wiarygodne, powinni odejść” i nie dotyczy to – dodał – tylko paru nazwisk.

TWARDY SEN POSŁA

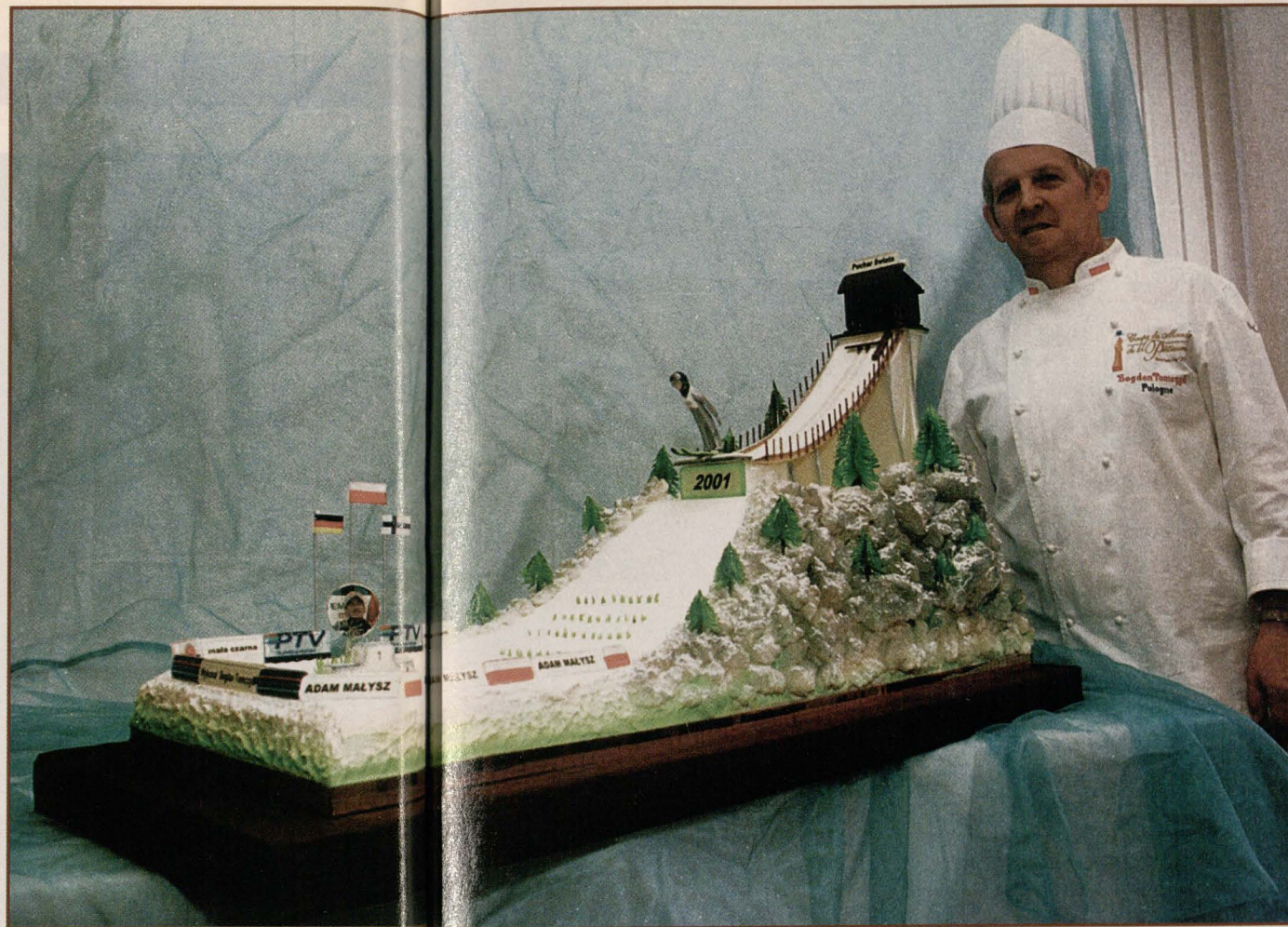
Nieznani sprawcy splądrowali dom posła Gabriela Janowskiego, który, po dniach i nocach spędzonych na okupacji Ministerstwa Skarbu, zamieszkał na powrót pod własnym adresem. Skradziono dwa samochody, laptop, telewizor, pamiątkową szablę i wiertarkę. Podczas kradzieży domownicy spali.



MYŚL TYGODNIA

„Mam w pałacu mebel, który jest do wypożyczenia”

Aleksandra Kwaśniewskiego oferta dla prezydenta Ukrainy, Leonida Kuczmy



Wdzięczność rodaków nie zna granic. W poznańskiej cukierni powstał tort dla uczczenia najlepszego na świecie skoczka, Adam Małysza. Bogdan Tomczyk pracował nad nim cztery dni, zużywając prawie 20 kg cukru.



Główna atrakcja zoo w Jokohamie: morsy mają grać na flecie, delfiny – śpiewać. A macie wy ludzie rozum?



Albańczycy w Skopie manifestowali swój sprzeciw wobec rodzimych ekstremistów, dla których terror jest metodą walki z – jak to nazywają – „macedońskim terroryzmem państwowym”.



Szef ukraińskiej służby bezpieczeństwa twierdzi, że przeciwnicy Leonida Kuczmy są „inspirowani, szkoleni i finansowani z zagranicy”. Pod tym względem doświadczenia polskie mogą się okazać bezcenne. Czy prezydent Ukrainy skorzysta z oferty Aleksandra Kwaśniewskiego i sprowadzi z Warszawy do Kijowa Okrągły Stół?



Salman Rushdie, skazany przed 12 laty na śmierć przez islamskich fanatyków za „Szatańskie wersety”, pojawił się na spotkaniu wydawców w Amsterdamie. Bardziej niż wersety przykuwa uwagę przyjaciółka pisarza.



Kancelarz Gerhard Schroeder (w środku) otrzymał nagrodę niemieckich mediów. Obok laureaci z poprzednich lat: b. prezydent RPA Nelson Mandela oraz Bill Clinton.

Instrukcja obsługi TECZKI

WOJCIECH CZUCHNOWSKI

Wkrótce każdy, kto był inwigilowany przez Służbę Bezpieczeństwa, będzie miał prawo zajrzeć do własnej teczki. Mimo zniszczeń dokonanych w archiwach lektura akt peerelowskich służb specjalnych może być dla wielu pasjonująca. Innych rozczaruje.

Tak naprawdę coś takiego jak „Teczka” nie istnieje. Są akta śledcze, raporty tajnych współpracowników, szyfrogramy, kwestionariusze i notatki służbowe. Zbiór dokumentów, w których pojawiają się nazwiska, daty i kryptonimy. Każdy, kto zostanie dopuszczony przez Instytut Pamięci Narodowej do zapoznania się z materiałami zebranymi na niego przez Służbę Bezpieczeństwa PRL, będzie dopiero musiał zwrócić się do archiwistów IPN, by z tych rozrzuconych po archiwach dokumentów zrobili jego teczkę. To, co w niej znajdzie, może okazać się banalne lub zmienić jego spojrzenie na całe życie. Je-

śli sobie zażyczy, dowie się, gdzie i przez kogo był śledzony, dowie się, kto z najbliższych i przyjaciół na niego donosił, a kto odmówił współpracy. Dlatego dla niektórych lektura teczki może okazać się szokująca.

Spróbujemy odpowiedzieć na pytanie, jak czytać teczkę i co można w niej znaleźć.

Gdy z początkiem tego roku ostatecznie weszła w życie ustawa o Instytucie Pamięci Narodowej, Urząd Ochrony Państwa zamknął swoje archiwum, w których przechowywano akta dawnej Służby Bezpieczeństwa powstałe do roku 1990. Stały się one teoretycz-

nie własnością IPN. Teoretycznie, bo poza Warszawą, gdzie pierwsze teczki mogą być udostępnione już wiosną, w pozostałych oddziałach Instytutu dopiero trwają przygotowania do zaadaptowania odpowiednich pomieszczeń, w których można przechowywać tajne materiały. Optymiści mówią, że pierwsze teczki zostaną udostępnione zainteresowanym jesienią tego roku. Pesymiści uważają, iż system zacznie sprawnie działać najwcześniej za rok.

Z tysiąca pracowników IPN ponad połowa to zawodowi archiwiści – historycy. Każdy przed rozpoczęciem pracy musiał z Urzędu Ochrony Państwa uzy-

skać certyfikat bezpieczeństwa i zapoznać się z zasadami zachowania tajemnicy państwowej. Od ich sprawności będzie zależeć szybkość udostępniania akt.

Od momentu złożenia prośby o udostępnienie akt do chwili skompletowania teczki może minąć bardzo dużo czasu. Tylko niewielka część dokumentów to akta personalne z imieniem i nazwiskiem osoby będącej w kręgu zainteresowania komunistycznych służb specjalnych.

Pokrzywdzeni

Codziennie do każdego z oddziałów Instytutu zgłasza się 20 do 30 osób. Wypełniają wnioski o udostępnienie esbec-

kiej dokumentacji. Żeby przeczytać swoją teczkę, trzeba uzyskać status pokrzywdzonego. W myśl ustawy pokrzywdzonym jest każdy przeciwko komu Służba Bezpieczeństwa zbierała bez jego wiedzy i zgody jakiegokolwiek materiały. Tak więc pokrzywdzony to zarówno pracownik naukowy, któremu odmówiono wydania paszportu, bo miał krewnych za granicą, jak i robotnik, organizator strajków i niezależnych od władzy związków zawodowych. Teczka tego pierwszego może zawierać jedynie poufny raport o niewłaściwych kontaktach. Teczka drugiego może składać się z wielu tomów.

STRUKTURA SŁUŻBY BEZPIECZEŃSTWA

Służba Bezpieczeństwa powstała w roku 1956 w miejsce Urzędu Bezpieczeństwa, przejmując jego dokumentację i zadania. SB podlegała ministrowi spraw wewnętrznych i dzieliła się na pięć, a pod koniec swojego istnienia na sześć departamentów. Departament I zajmował się wywiadem, II – kontrwywiadem, III – inwigilacją środowisk opozycyjnych i szkolnictwa, IV – Kościołem i związkami wyznaniowymi, V – przemysłem i gospodarką i VI – rolnictwem. Departamenty podzielone były na wydziały. Na terenie kraju komórki Służby Bezpieczeństwa mieściły się przy komendach Milicji Obywatelskiej. W komendach wojewódzkich pierwszym zastępcą był komendant ds. SB.

Służbę Bezpieczeństwa rozwiązano w roku 1990. Pracowały w niej wówczas 23 osoby. W tym samym roku przeprowadzono weryfikację jej funkcjonariuszy. Do Urzędu Ochrony Państwa nie weszli ci, którym udowodniono udział w politycznym prześladowaniu opozycji.

Komisje weryfikacyjne odrzuciły od 10 do 30 proc. pracowników SB w każdym województwie. Obecnie szacuje się, że w Urzędzie Ochrony Państwa zatrudniającym 6 tys. osób pracuje ok. 10 proc. funkcjonariuszy dawnej SB.

PRZYDATNE NAZWY I SKRÓTY:

AGENT – potoczne określenie tajnego współpracownika Służby Bezpieczeństwa.

AGENTURA – sieć współpracowników.

AGENT MANEROWY – specjalny rodzaj agenta. Osoba nie tylko udzielająca regularnie informacji, ale również wykorzystywana do wykonywania zadań.

BIURO „C” – archiwum dawnego MSW.

FIGURANT – osoba będąca obiektem zainteresowania i rozpracowania przez SB.

KE – kwestionariusz ewidencyjny. Druk służący do zapisywania informacji o figurantach.

KIN – kontakt informacyjny. Współpracownik wywiadu niekoniecznie świadomy, iż jest wykorzystywany przez SB.

KO – kontakt operacyjny. Osoba wykorzystywana doraźnie, tylko przy określonej sprawie współpracująca z SB. Od KO nie wymagano podpisywania zobowiązania do współpracy. Jako KO rejestrowano m.in. członków PZPR, których przepisy zabraniały werbować na agentów i nakłaniać do podpisywania zobowiązania do współpracy.

KONSULTANT – świadomy współpracownik SB, pozyskany ze względu na posiadane kwalifikacje.

KP – kontakt poufny, świadomy swojej roli tajny współpracownik, wykorzystywany nieregularnie.

LEGALIZACJA – nadawanie agentowi nowej tożsamości do potrzeb operacyjnych.

LK – lokal konspiracyjny. Mieszkanie wynajmowane przez SB od osób prywatnych do spotkań z agenturą.

MK – mieszkanie konspiracyjne. Lokal o podobnej funkcji, będący własnością MSW.

OBIEKT – przedmiot rozpracowywania sprawy obiektowej (SO).

PSED – Połączony System Ewidencji Danych o Przeciwniku.

SOR – sprawa operacyjnego rozpracowania. Zakładana na konkretną osobę w celu jej rozpracowania.

SOS – sprawa operacyjnego sprawdzenia. Zakładana na daną osobę w celu sprawdzenia posiadanych przez SB informacji na jej temat.

TW – tajny współpracownik. Najwyższa kategoria współpracownika, w pełni świadoma, otrzymująca wynagrodzenie.

TWK – kandydat na tajnego współpracownika.

tającemu akta oszczędzić szoku, jakiego może doznać dowiedziawszy się, kto na niego donosił.

O tym, czy naprawdę chce posiadać pełną wiedzę, właściciel teczki musi zdecydować sam. Po pierwszej lekturze może złożyć wniosek o odtajnienie zaszereżowanych nazwisk. Będzie mógł poznać wszystkie, poza tymi, które należą do czynnych agentów przejętych od SB przez UOP.

Właściciela teczki nie obowiązuje zasada zachowania jej zawartości w tajemnicy. Jeżeli zechce, będzie mógł poinformować o znalezionych w niej dokumentach opinię publiczną. Niektórzy z pewnością tak właśnie robią, dlatego przez najbliższe 2-3 lata media przeżyją zalew publikacji na temat rewelacji z teczek SB. Tak było w połowie lat 90. w Niemczech po otwarciu archiwów STASI

Ocalałe ze zniszczeń

W dyskusji nad zawartością teczek często pojawia się pytanie o skalę zniszczenia esbeckich archiwów. Proces niszczenia akt Służby Bezpieczeństwa zaczął się już pod koniec 1988 roku, po rozmowach przy Okrągłym Stole. Na pierwszy ogień poszła dokumentacja Departamentu IV zajmującego się inwigilacją Kościoła. Systematycznie niszczone były też personalne księgi oraz wszelkie sprawy prowadzonych przeciwko Kościołowi.

Ostrej selekcji poddane zostały też karty tajnych współpracowników, zwłaszcza tych, którzy działali w szeregach opozycji. Niektóre niszczone całkowicie, dokonując tzw. wyrejestrowania, z innych usuwano istotne dokumenty, przede wszystkim podpisane własnoręcznie zobowiązania do współpracy, raporty i pokwitowania odbioru pieniędzy.

O paleniu akt alarmowała prasa oraz politycy opozycyjni, dlatego będący jeszcze wtedy szefem MSW generał Czesław Kiszczak wydał w styczniu 1990 zakaz niszczenia jakiegokolwiek dokumentacji. Mimo to proces czyszczenia archiwów trwał jeszcze w 1991 roku. Oficjalne statystyki mówią, iż w tym okresie SB zniszczyła ponad 80 tysięcy teczek dotyczących różnych spraw. 470 tysięcy kart osobowych było wiosną 1990 roku przygotowane do spalania, ale nowe kierownictwo UOP-u zdołało temu zapobiec. Robione później podliczenia wykazały, że z liczącej 3 mln 100 tysięcy kart tzw. Kartoteki ogólnoinformacyjnej zostało 2,5 mln.

Oprócz kartotek Departamentu IV największych spustoszeń dokonano w zało-

żonym pod koniec lat 70. Połączonym Systemie Ewidencji Danych o Przeciwniku (PSED). System ten zawierał karty rejestracyjne osób uznanych przez służby za groźne dla socjalistycznego państwa. Kto raz dostał się do PSED, miał być „prowadzony” przez system aż do osiągnięcia 80 roku życia (kobiety do 75 lat).

PSED funkcjonował we wszystkich krajach socjalistycznych. Gromadzone w nim dokumenty tłumaczono na język rosyjski i przysyłano do Moskwy. Chociaż polska wersja systemu uległa całkowitemu zniszczeniu, jego rosyjska kopia nadal istnieje.

Zniszczenie akt nie oznaczało rezygnacji Służby Bezpieczeństwa z kontaktu ze zwerbowanym agentem. W czerwcu 1989 roku, już po wyborach do Sejmu, wiceminister spraw wewnętrznych, gen. Henryk Dankowski, w skierowanym do podwładnych piśmie nakazał zlikwidować kartoteki posłów i senatorów będących tajnymi współpracownikami SB, zalecając jednak „nie przerywać z nimi kontaktu operacyjnego”, a przeciwnie „podejmować działania, by osoby te były coraz silniej związane z nami i coraz bardziej dyspozycyjne w realizacji zadań”.

Mimo tak wielkiej skali zniszczenia archiwa byłej SB nadal zawierają kilometry dokumentów i – jak twierdzą fachowcy – można z nich skompletować niemal pełne informacje. – Tak jak w każdej tego typu działalności, również w służbach spe-

z meld.oper.od tw.ps."Kazik".

W ostatnim okresie woj. zamieszkała stała się sławna w związku z konferencją m.in. Urbana. Wg. opinii księży dek. szczebrzeszyńskiego padły stwierdzenia, że podano błędną nazwę Szchebrzeszyna i dlatego, że jest o trudny do wymówienia, szczególnie dla obywateli żydowskiego pochodzenia. Ponadto w/w podał błędną informację o występieniu wikariusza ze Szchebrzeszyna, gdyż nie był to ks. [nieczytelne], lecz ks. [nieczytelne]. Redzono by wymieniony [nieczytelne] do min. Urbana i śmiano się by w ramach [nieczytelne] satysfakcji z talonu na samochód.

Wyd. IV
3-0049/55
WYCIĄG Z KARTOTECY OPERACYJNEJ
ze spotkania z TW ps. "SLAWIE" z dnia 10.11.1976
" ... W dn. 6.1.85r. w godz. popołudniowych po tzw. koleżkę księdza z parafii [nieczytelne] oświadczył do TW buduje plebania w [nieczytelne] Jacek, lat ok. 25, ciemny blondyn. Po [nieczytelne] zapytał, czy mógłby chwilę zostać na [nieczytelne] ksiądz chce porozmawiać. Usiedli w [nieczytelne] o dzieciach i o sprawach ogólnych. [nieczytelne] zapytała co ksiądz sądzi o zdarzeniach [nieczytelne] zostało w programie TW, że te [nieczytelne] Ksiądz stwierdził, że gdyby dostał [nieczytelne] to on postąpił [nieczytelne]

Tajne SPEC.ZNACZENIA

21

WYD. AB

ze księdzem. Ksiądz nic nie pytał TW, a kontakt. TW nie wie, czy nie poznał go, że nie jest to miejsce na właściwą rozmowę.

ZASTĘPCA NACZELNIKA
WYDZIAŁU IV
KOMENDY WOJEWÓDZKIEJ MO
w LUBLINIE

Kielce, dnia 15 grudnia 1976 r.
T. A. J. N. E.
S. S. nr [nieczytelne]
NACZELNIK WYDZIAŁU IV
KOMENDY WOJEWÓDZKIEJ MO
w LUBLINIE
W odpowiedzi na Wasz szyfrogram z dnia 12 grudnia 1976 r. z dnia 12 grudnia 1976 r. dot. aluzna WSD w Lublinie [nieczytelne]
L.dz. W. - 01242/76 dot. aluzna WSD w Lublinie [nieczytelne]
informuję, że:
W/w w okresie pobytu w Technikum Geologicznym [nieczytelne] niedostatecznie na semestr, częstokroć uzyskiwał [nieczytelne] matematyka. W pierwszym terminie nie został dopuszczony [nieczytelne] matury w związku z uzyskaniem terminie nie został dopuszczony [nieczytelne] przedmiotu. Egzamin poprawkowy ocenę niedostateczną [nieczytelne] podawał 8 września br. [nieczytelne] Kłopotów wychowawczych nie sprawiał. Jedynym mankamentem [nieczytelne] na świadectwie maturalnym ma ocenę dobrą z [nieczytelne] Białe dość aktywny udział w zajęciach Klubu Młodych [nieczytelne] z tego też tytułu był rekomendowany przez dyrektora [nieczytelne] i sekretarza PZP na kandydata do PZP. W okresie nauki mieszkał na stacji /Kielce, ul. Wybrzeże [nieczytelne]
Odbito w 2 egz.
Egz. nr 1 - adresat
Egz. nr 2 - [nieczytelne]
Oprac. TP/MP
Dr. masz. Dr.

Dokumenty z teczki nr 45 567, dotyczącej księdza Jacka W.

cialnych obowiązuje zasada wielokrotnego powielania dokumentów – tłumaczy prosząc o anonimowość były wysoki rangą oficer UOP-u – jeśli nawet zniszczeniu uległa kartoteka tajnego współpracownika, to zachowały się jego raporty, pokwitowania dotyczące do spraw, nad którymi pracował, zachowały się akta śledztw, akta kontrolne itp. Oczywiście, możliwe jest pełne zatarcie śladów, ale wymagałoby ono zorganizowanego wysiłku funkcjonariuszy w całym kraju. Można powiedzieć, że musieliby wykonać podobną pracę, co obecnie archiwiści IPN, a na to nie mieli znowu tak wiele czasu. Jeżeli ktoś rzeczywiście był obiektem inwigilacji komunistycznych służb specjalnych, to w zachowanych archiwach z pewnością znajdzie jakieś ślady.

Całe życie figuranta

Jakiego zatem rodzaju dokumenty mogły się znaleźć w przykładowej „teczce na Kowalskiego?”. W latach 50. obiektem zainteresowania służb specjalnych można się było stać już wówczas, gdy otrzymało się pocztówkę świąteczną z Zachodu lub opowiedziało polityczny dowcip. Później, za Gomułki czy Gierka, SB inwigilowała osoby otwarcie niechętne socjalizmowi, zajmujące się działalnością opozycyjną, ich rodziny oraz znajomych.

Obserwowano też całe środowiska i wielkie zakłady pracy, w których mógł

dojrzeć bunt przeciwko systemowi. Bez względu na przyczynę wejścia w orbitę zainteresowania SB osoba, wobec której rozpoczynano inwigilację, określana była mianem „figuranta”. Figurant otrzymywał oficera prowadzącego, który zakładał mu „Teczke rozpracowań operacyjnych”.

Dokumentem otwierającym teczkę jest raport określający przyczynę jej powstania. Może to być donos agenta, który usłyszał „wrogą” wypowiedź przyszłego figuranta, może to być własna informacja SB o tym, iż figurant zaangażowany jest w działalność opozycyjną. Następny dokument to kwestionariusz osobowy rozpracowywanej osoby – pełne dane o nim, jego rodzinie i środowisku, łącznie z adresami kolegów i współpracowników. Z tej listy oficer typował osoby, które mogą być zwerbowane jako źródła informacji o figurancie. Osoby te, odwiedzane potem przez funkcjonariuszy, nakłaniano do nieoficjalnych zeznań na temat figuranta. Ci, którzy nie chcieli rozmawiać i odmawiali dalszych spotkań, musieli na piśmie zobowiązywać się, iż nie ujawnią nikomu próby zwerbowania przez SB.

W miarę upływu czasu teczka powiększała się o kolejne raporty i notatki ze spotkań. Bywało, iż niejako „rodziła” nowe teczki – każdy z kręgu znajomych figuranta mógł także zostać figurantem.

Kiedy SB uznawała, iż zgromadzone w teczce materiały wystarczają do

postawienia zarzutów, przekazywano je do wydziału śledczego. Wówczas dokumenty dotyczące figuranta wchodziły do akt śledztwa, a potem do akt procesu sądowego.

Wobec figurantów SB prowadziła działania określane jako „gry operacyjne”. W zakres tego pojęcia wchodziły podsłuchy, kontrola korespondencji, inwigilacja za pomocą agentury, a w niektórych przypadkach działania o charakterze prowokacji. Elementy gry również odnotowywano w teczce.

Osobną kategorię dokumentów, w których znajdują się dane osobowe, stanowiły teczki operacyjne zakładane na tzw. sprawy obiektowe. W esbeckiej nomenklaturze „obiekt” to zarówno zakład pracy, uczelnia, środowisko, jak i grupa towarzyska. Istnieją zatem co najmniej trzy archiwalne źródła mogące obecnie służyć do skompletowania pełnej teczki. Nawet jeżeli wszystkie uległy zniszczeniu, pozostaje źródło czwarte, czyli tzw. akta kontrolne, tworzone przy każdej sprawie i stanowiące jej streszczenie.

Wewnętrzne przepisy Służby Bezpieczeństwa nie precyzowały, jak długo należy prowadzić inwigilację osoby, która już raz weszła w orbitę zainteresowania resortu. – Praktyka była taka, że jeśli figurant przez kilka lat nie prowadził żadnej wrożej działalności, jego akta odkładano na półkę, ale nigdy ich nie niszczone. Zebrane tam dane mogły się kiedyś przydać. Można powiedzieć, że jeśli ktoś raz był obiektem zainteresowania SB, pozostawał nim do końca życia – mówi cytowany już oficer.

Teczka na księdza

Wzorcowym przykładem teczki osobowej jest dokumentacja zbierana przez SB na księży i zakonników. W odróżnieniu od większości obywateli stanowili oni kategorię, która z definicji podlegała inwigilacji już od chwili wstąpienia do seminarium duchownego. Według naszych rozmówców zajmujących się archiwami Służby Bezpieczeństwa zawartość „Teczki na księdza” pokazuje, jak szeroki był zakres kontroli nad każdym, o kim władze socjalistycznego państwa zdecydowały, iż może być zagrożeniem dla systemu.

Udało nam się dotrzeć do jednej z takich właśnie teczek. Sygnowany klauzulą „Tajne” dokument otwiera liczący 19 stron „Kwestionariusz personalny kleru świeckiego i zakonnego”. Nasz egzemplarz pochodzi z końca lat 70., nosi nu-



FOT. MICHAŁ MUTOŃK

mer 45 567 i dotyczy księdza Jacka W. z jednej z parafii koło Kielc. Ksiądz W. należał do osób zupełnie przeciętnych. Nigdy nie angażował się w działalność opozycyjną, nie wygłaszał podburzających kazań. Mimo to jego życie było przez ponad 10 lat pod baczna obserwacją ludzi resortu. Oprócz danych osobowych kapłana i jego rodziny w teczce znajduje się punkt dotyczący jego cech charakteru: „spokojny, opanowany, ma tendencje do prowadzenia świeckiego trybu życia” – pisze oficer prowadzący.

Kolejne punkty kwestionariusza odnotowują każdy wyjazd księdza za granicę, przebieg pracy duszpasterskiej, publikacje i przynależność do organizacji. Rubryka „Kary kościelne” – pusta. W rubryce „Opinia kurii” – „zbyt szerokie zdaniem przełożonych kontakty towarzyskie, a zbyt mało czasu poświęcanego pracy duszpasterskiej”. Jedną z ostatnich rubryk dotyczy „postawy i działalności społeczno-politycznej”. Kolejni funkcjonariusze odnotowują tu brak udziału księdza w wyborach.

Zaraz potem w teczce znajdujemy dwustronicowy „Kwestionariusz alumna” – druk sporządzany przez SB na każdego ucznia seminarium duchownego. Kwestionariusz poprzedza tajny szyfrogram informujący, iż przyszły ksiądz zdał egzamin do seminarium. Również tajny jest pochodzący z 1978 roku raport ze szkoły średniej, do której uczęszczał Jacek W. Dowia-

dujemy się z niego, iż jako uczeń brał udział w zajęciach Klubu Wiedzy o Partii. Cztery lata później seminarium odwiedził porucznik SB. Przyszłego księdza próbował nakłonić do współpracy. Zależało mu na informacjach o Ukraińcach przyjmowanych do seminarium. Jacek W. odmówił. Na tyle grzecznie, iż porucznik napisał w raporcie: „można przypuszczać, że dalsze spotkania mogą doprowadzić do oswojenia go z moją osobą jako pracownikiem SB i doprowadzenia do pozytywnych wyników w postaci opracowania go na kandydata na TW, a następnie przy sprzyjających warunkach pozyskać go dla naszej służby”. Kolejne spotkanie ostudziło jednak nadzieje porucznika. „Jacek W. podczas spotkania zachowywał się grzecznie, ale nie podjął rozmowy, jak to uczynił rok temu” – stwierdza oficer, konkludując, iż należy wziąć pod obserwację brata Jacka W., który również jest seminarzystą.

Zupełną klęską było spotkanie trzecie, które odbyło się już po uzyskaniu przez inwigilowanego święceń kapłańskich. Ksiądz kazał porucznikowi pokazać legitymację służbową. „Zdziwiłem się, przypominając mu, że już przecież byłem u niego – pisze porucznik – powiedziałem, że pokażę mu legitymację, co też uczyniłem, zastaniając palcami nazwisko. Wymieniony poprosił, abym mu dał do ręki legitymację, na co ja powiedziałem, że nie mogę tego uczynić, ponieważ nie wolno mi tego robić, jedynie mogę mu ją okazać.

W takim wypadku poprosił mnie, abym położył ją na stoliku, ponieważ chce spisać dane, odpowiedziałem mu, że nie mogę pokazać danych, ponieważ reprezentuję instytucję, a nie przychodzę do niego prywatnie”. Ksiądz odmówił kontynuowania spotkania. „Nie rokuje nadziei na wykorzystanie go do naszych potrzeb” – pisze zrezygnowany oficer.

W teczce księdza W. można znaleźć jeszcze szyfrogramy o tym, iż nie brał on udziału w wyborach i kierował samochodem bez dokumentów. Tajny współpracownik „Sławek” donosi, że ksiądz Jacek W. wszedł w konflikt z proboszczem swojej parafii. Ostatni zapis w teczce pochodzi z 1988 roku. Po nim jest już tylko wydany rok później rozkaz gen. Szczygła nakazujący likwidację teczek na księży.

Większość esbeckich teczek będzie zawierać zbiór, podobnych jak w przypadku księdza W., gromadzonych przez lata informacji. Z innych ich właściciele dowiedzą się smutnej, czasem niewygodnej prawdy, ujętej w ramy resortowych formularzy i napisanej esbeckim żargonem. Jako świadectwo totalitaryzmu teczki przypominają, że zło jest banalne. ■

Przed wejściem w życie ustawy o IPN archiwa Służby Bezpieczeństwa tylko raz zostały udostępnione osobom spoza resortu. Chodzi o sprawę tzw. Komisji Michnika – półoficjalnego grona powołanego w roku 1990 na wniosek ówczesnego ministra edukacji narodowej Henryka Samsonowicza. W skład komisji weszli: Andrzej Ajnenkiel, Jerzy Holzer, Adam Michnik i Bogdan Kroll. Jej członkowie mieli wgląd do wszelkiej dokumentacji – nawet tej opatrzonej klauzulą „Tajne specjalnego znaczenia”. Interesowali się głównie teczkami tajnych współpracowników SB. Komisja działała od 12 do 27 kwietnia 1990 roku i pozostawiła po swoich pracach tylko krótkie sprawozdanie, nie wymieniając dokumentów, z których korzystała. Nie wiadomo, czy z przeglądanych przez komisję akt sporządzono kopie.

Dom Wydawniczy REBIS

ponad 900 tytułów w ponad 30 seriach



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.; ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. (0-61) 867-47-08, 867-81-40; fax (0-61) 867-37-74
e-mail: rebis@pol.pl, rebis@man.poznan.pl; www.rebis.com.pl

z JANEM KUŁAKOWSKIM

rozmawia KAZIMIERZ TARGOSZ

Zdjęcia JUSTYNA MIELNIKIEWICZ

NIE BĘDZIEMY *pepkiem* Unii

Chcemy do Unii wejść szybko, bo to jest w interesie Polski, ale także chcemy wejść dobrze. Oni wykalkulowali swój interes, my nasz.

Możemy Europie zaoferować młode, dobrze wykształcone społeczeństwo, wnieść trochę nowej krwi do nieco zasiedziałej Unii Europejskiej, żyjącej swoimi zwyczajami, tradycjami, rutyną.

Panie ministrze, rozmawiamy w utrzymanym w starym dobrym stylu saloniku jednego z krakowskich hoteli. Myślę, że wybór miejsca, na przykład odpowiedniej restauracji, ale także menu, wina – a na tym i na ludziach zna się pan świetnie – ma chyba wpływ na przebieg negocjacji?

Na przebieg negocjacji może nie, ale na mój humor zdecydowanie tak. Lubię miejsca wygodne, dobre restauracje, dobre wina i jeśli to wszystko mam, jestem lepiej nastawiony do rozmów.

A partnerzy?

Z partnerami to ja tak znowu dużo nie biegam po restauracjach, ale czasem zdarza się, że z panią negocjatorką czy z szefem negocjatorów Komisji Europejskiej idziemy na kolację.

Pytam o to, bo jest pan rozmiłowany raczej w dyplomacji starego typu, kiedy wiele ważnych spraw załatwiano się nie w blasku

jupiterów (które towarzyszą nawet naszej rozmowie) lub w kolejnych rundach żmudnych negocjacji, ale w atmosferze rautów dyplomatycznych, spotkań towarzyskich, nieoficjalnych rozmów.

Dostosowuję się do różnych warunków. W różnych okolicznościach w moim życiu przebywałem. Jestem człowiekiem starej daty, ale cała moja tak zwana kariera zagraniczna przebiegała w związkach zawodowych. Nie jestem dyplomatą przedkładającym ponad wszystko pluszowe gabinety. Dużo jeździłem po świecie, negocjowałem z różnymi ludźmi, z rządami problematykę związkową. Uważam siebie raczej za człowieka, który lubi prowadzić rozmowy otwarte i światła jupiterów mu nie przeszkadzają.

Wszyscy podkreślają pana walory jako świetnego negocjatora. Co to znaczy być dobrym negocjatorem?



JAN KUŁAKOWSKI

– urodzony w 1930 roku w Myszkowie koło Częstochowy. W wieku 14 lat brał udział w powstaniu warszawskim. Od 1946–96 w Belgii. Ukończył prawo na Uniwersytecie Katolickim w Leuven. W latach 1976–85 był sekretarzem generalnym Światowej Konfederacji Pracy, a w latach 1990–96 ambasadorem nadzwyczajnym i pełnomocnym przy Unii Europejskiej w Brukseli. Od 1998 r. główny negocjator Polski z Unią. Żona jest neurologiem dziecięcym. Trzy córki: Krystyna, Barbara, Elżbieta.



To się okaże, gdy się skończą negocjacje. Dobry negocjator to jest ten, kto wynegocjował sprawy, dobrze obronił interesy swojego kraju.

Czy dobry negocjator, oprócz przygotowania merytorycznego, powinien także znać rozmaite szalbiercze sztuczki, chytre sposoby, które zaleca na przykład Schopenhauer w swojej „Erystyce”, sztuce prowadzenia sporów?

Myślę, że to są mity. Staram się rozumieć ludzi, z którymi negocjuję i staram się bronić stanowiska rządu, ale nie teoretyzuję. Specjalnie żadnych książek na ten temat nie czytałem. Czytałem kiedyś książkę w języku francuskim „Saint Germain la négociation” o negocjacjach pomiędzy protestantami a katolikami we Francji w XVII wieku. Była to bardzo ciekawa, pouczająca lektura. Jestem raczej pragmatykiem, który działa. Całe życie coś robiłem, niewiele teoretyzuję, aczkolwiek nie kwestionuję tego, że trzeba mieć pewien zasób wiedzy teoretycznej.

Być może zachowam się mało dyplomatycznie, ale, moim zdaniem, ma pan jedną wadę jako nasz główny negocjator: niemal przez całe życie, od 1946 do 1996 r. mieszkał pan w Belgii. Patrzy pan więc na Polskę z tamtej perspektywy, przykładając miary europejskie, a nasze realia, nasze standardy cywilizacyjne są niekoniecznie europejskie.

Każdy ma wady, ale te wady mogą stać się zaletami. Po pierwsze ja nie negocjuję sam, to jest zespół, ludzie o różnych doświadczeniach, którzy się dopełniają. A po drugie w tych negocjacjach ważne jest znać społeczeństwa i ludzi, z którymi się negocjuje. Ja mam chyba dość dobre wy-czucie ich mentalności. Oczywiście, mam

trochę inne doświadczenia niż ci, którzy byli w kraju, ale się nie oderwałem od Polski, byłem w stałym kontakcie z Polakami i Polakami, często jeździłem do kraju. I nawet gdy zostałem ambasadorem Rzeczypospolitej przy Unii Europejskiej w 1990 roku, to powiedziałem, że właściwie dla mnie niewiele się zmieniło, bo byłem nieoficjalnym ambasadorem opozycji, a teraz jestem oficjalnym ambasadorem rządu.

Polska chce szybko wejść do Unii, co jest zrozumiałe, ale ważniejsze chyba niż nasze chęci jest to, czy Komisja Europejska i państwa członkowskie Unii są gotowe do poświęcenia jakiejś części swojego interesu? Może więc główne przeszkody są mentalne?

Chcemy wejść szybko, bo to jest w interesie Polski, ale także chcemy wejść dobrze. Unia Europejska nie przyjmuje nas i innych państw kandydujących dla naszych pięknych oczu. Oni wykalkulowali swój interes, my nasz i wejście polega na tym, żeby maksymalnie te interesy były zachowane. To są negocjacje bardzo specyficzne, trochę jak negocjacje kontraktu małżeńskiego, bo my potem stajemy się członkami innej rodziny.

Ryszard Kapuściński powiada, że świat (i zawsze tak było) dzieli się na centrum i prowincję, do której nam bliżej. Ludzie centrum niezmienne mają poczucie wyższości. Nie potrafia zrozumieć prowincji, po której – jak mówią – można się wszystkiego spodziewać.

Te obawy na pewno istnieją. Im bardziej się przybliżamy do Unii, im bardziej mówimy o konkretach, tym większe są obawy. W pierwszej fazie, po zwycięstwie Solidarności, upadku żelaznej kurtyny był

entuzjazm, taka trochę sztuczna atmosfera: kochajmy się. Natomiast teraz, kiedy przechodzimy do interesów, negocjacje stają się trudniejsze. I te obawy, że taki czy inny interes zostanie zagrożony, z obydwu stron wychodzą na wierzch.

Po co Europie Polska, która ma złą opinię w świecie. We Francji mówi się – „pijany jak Polak”, w Niemczech – „złodziej samochodów”. Nawet Stanisław Lem, który mieszkał sześć lat w Austrii, mówił, że odczuwał ksenofobię austriacką. Stereotypy, jak wiadomo, mają wielką siłę inercji.

A wie pan, co powiedział Paderewski w czasie konferencji wersalskiej, kiedy Aristid Briand pytał, czemu we Francji mówi się: „pijany jak Polak”? – A w Polsce – ripostował Paderewski – mówi się o „chorobach francuskich”. Rozszerzenie Unii jest wzmocnieniem pozycji Unii Europejskiej i wzmocnieniem pozycji Polski w świecie. Jest to wzmocnienie stabilizacji na wszystkich granicach Unii, a poza tym dochodzą oczywiście aspekty gospodarcze – rynki, inwestycje. Jest więcej obustronnych korzyści niż zagrożeń i choć i one istnieją, wolę mówić o szansach i wyzwaniach niż o korzyściach i zagrożeniach.

Szczycimy się często, że do Europy możemy wejść z naszą kulturą. Cytowany już przeze mnie Lem powiada, że nasza kultura jest drugorzędna, nie mieliśmy pisarzy (z wyjątkiem poetów), malarzy liczących się w świecie.

Nie będę polemizował z Lemem w dziedzinie kultury, bo na pewno bym tę polemikę przegrał, ale uważam, że mamy literaturę, muzykę, sztukę wysokich lotów. Myślę, że to jest trochę prowokacyjne powiedzenie. Czy istnieje na przykład jakaś wielka kultura, literatura belgijska?

Odwolujemy się często do naszej muzyki, np. do Chopina, bo wierzymy, że muzyka łagodzi obyczaje. Ale pragmatyczni Europejczycy powiadają, że to nie muzyka, ale dobrobyt łagodzi obyczaje.

Sądzę, że i jedno, i drugie. W łagodzeniu obyczajów jest ważny aspekt kulturowy, ale także materialny. Ale może to być względne, bo ostra konkurencja nie sprzyja łagodzeniu obyczajów.

Co zatem możemy zaoferować, z czym wejdziemy do Europy, czy – jak pisze profesor Janion: „Do Europy tak, ale z naszymi zmarłymi”. A więc z „Dziadami”, ale też dekoracyjno-liturgiczno-pruderyjnym katolicyzmem, hasłami: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród”, polską ksenofobią?

Musimy wejść w nowoczesność, a ta nowoczesność to Unia Europejska. Ale wszystkie problemy nie będą rozwiązane przez wejście do Unii.

Byłoby źle, gdyby polska wrażliwość kulturalna miała się bez końca kręcić w – nawet zrewidowanym – paradygmacie romantycznym. Myślę, że my możemy Europie zaoferować młode, dobrze wykształcone społeczeństwo. Możemy wnieść trochę nowej krwi do nieco zasiedzia-nej Unii Europejskiej, żyjącej swoimi zwyczajami, tradycjami, swoją rutyną. Mamy inne doświadczenia i one mogą pobudzić Unię do bardziej intensywnego szukania nowych rozwiązań, nie mówiąc o aspekcie gospodarczym, gdzie wnosimy możliwości inwestowania, otwieramy drogę na Wschód, który le-

piej znamy, i możemy tu być pewnym pomostem.

Na prośbę Francji z europejskiej Karty Praw Podstawowych usunięto wszelkie odniesienia do chrześcijaństwa, co oznacza, że nie można się odwoływać do tradycji religijnych (co innego spuścizna religijna). Takie postawienie sprawy nie spodoba się w Polsce.

Musimy się zgodzić z tym, że integracja europejska ma wiele składników. Nie można negować, że u podstaw leżą zasady chrześcijańskie, że ojcowie Europy: Robert Schuman, Konrad Adenauer, de Gasperi to byli chrześcijanie, katolicy. Wpływ

chrześcijaństwa jest tak oczywisty w Unii Europejskiej, że nie widzę potrzeby zapisywania go w jakiejś konstytucji. Musimy tolerować innych, którzy mają takie samo podejście do praw człowieka jak my, ale nie opierają się na chrześcijaństwie. Ważne jest, żeby zachowany był istotny wpływ chrześcijaństwa.

Obawiam się, że takie rozwiązanie nie będzie do zaakceptowania na przykład przez Radio Maryja, które reprezentuje sporą grupę ludzi.

Sporą, ale nie reprezentuje całego Kościoła ani hierarchii, która jest coraz bardziej pozytywnie nastawiona do wejścia Polski





Unia Europejska
to nie jest
zjednoczenie kultur,
to jest pogłębienie
dialogu
między kulturami.

do Unii. Wyraża pewne obawy, co jest normalne, ale badania opinii przeprowadzone przez księży wypadły bardzo korzystnie, jeśli idzie o poparcie kleru dla wstąpienia Polski do Unii.

Były główny negocjator Unii Nikolaus von der Pas mówił swego czasu, że są dwa okresy euforii, a między nimi okres rozpacz. Okres euforii to otwarcie negocjacji w marcu 98. Następnej euforii doczekamy się po przyjęciu, być może w 2003 roku. Natomiast do tego czasu będziemy cierpieć. Na co szczególnie? Jaka jest lista najtrudniejszych problemów?

Powiedziałem wtedy, że się z tymi słowami zgadzam. Ciągłe ścierają się poglądy, interesy, nie ma negocjacji, które byłyby łatwe, zwłaszcza w tak poważnych sprawach. To nie jest zabawa, gra w karty. Od tego, jak się wynegocjuje wejście Polski do Unii, zależą losy milionów ludzi. Najtrudniejsze problemy to: integracja naszego rolnictwa ze wspólną polityką rolną, ochrona środowiska, gdzie dojście do standardów unijnych jest rzeczą bardzo kosztowną, sprawy takie jak zakup ziemi przez obcokrajowców, przepływ osób, możliwość podjęcia pracy za granicą, problemy specjalnych stref ekonomicznych i pomocy państwa w tych strefach. Łatwych spraw jest mało, trudnych bardzo dużo.

Spada poparcie dla naszego wstąpienia do Unii, o czym ma zdecydować referendum. Czy ma ono sens, skoro trzeba się będzie wypowiedzieć za tym, czy wynegocjowane warunki przystąpienia są korzystne z punktu widzenia polskiej racji stanu? Jak to ocenić i kto jest do tego zdolny?

Po pierwsze z tym spadkiem nie jest dokładnie tak. Na początku była euforia nie odpowiadająca rzeczywistości, bo nie uświadamialiśmy sobie trudności. W tej chwili to jest 55-60 proc., z tym że 20 proc. mówi: nie wiemy. Może przy dobrej informacji uda się ich przekonać. Zagrożeń, żeby referendum było negatywne, nie widzę. Natomiast czy to jest materia, o której powinno rozstrzygać referendum, to jest inna sprawa. Stwierdzam, że wszystkie siły polityczne w Polsce są za referendum. Uważają, że jest to tak ważna decyzja, że jej uwiarygodnienie przez referendum jest potrzebne.

Czy Unia to jest zbawienno port, do którego polski korab płynie i wszystkim będzie dobrze po wsze czasy?

Zawsze mówiłem, że Unia nie jest rajem, że to nie jest manna, która spada z nieba. To przede wszystkim logiczny rozwój sytuacji. Jesteśmy w Europie, która ma swoje struktury. Pozostanie poza nimi byłoby pozostawieniem nas w skansenie. Musimy wejść w nowoczesność, a ta nowoczesność to Unia Europejska. Ale wszystkie problemy nie będą rozwiązane przez wejście do Unii. Właściwie po przystąpieniu będziemy musieli rozwiązywać wspólnie z innymi wiele spraw. To jest dla nas bardzo ważny wysiłek. Żeby wejść do Unii, trzeba spełniać pewne warunki: prawne, gospodarcze, społeczne, także warunki mentalności.

W przeszłości porządek europejski dyktowały potężne państwa ze szkodą dla słabych. Czy Unia jest szansą zorganizowania kontynentu na zasadach

równości i w związku z tym można powiedzieć za prezydentem Havel, że jest to przede wszystkim wyzwanie natury etycznej?

Prezydent Havel ma rację. Jedną z bardzo istotnych zasad Unii jest pojęcie solidarności między dużymi i małymi państwami, między biednymi i bogatymi, między północą a południem.

Ale te negocjacje porównywane są często do partii szachów – Unia Europejska jest na królewskich pozycjach, a reszta to pionki. Było to widoczne na niedawnym spotkaniu w Nicei.

Niezupełnie. Dzięki naszym interwencjom udało się pewne propozycje odrzucić.

Ale były takie próby.

Zawsze są próby. Nie można sądzić, że Unia zgodzi się na wszystkie nasze warunki. Takich cudów nie ma. Prawdą jest, że stanowisko kraju, który przystępuje, jest do pewnego stopnia stanowiskiem kandydata, który musi się dostosować do jasnych reguł. Musi sobie wywalczyć miejsce w tym klubie. To nie Unia chce przystąpić do Polski, ale my do Unii.

Uwielbia pan poezję francuską i ma jej duże zbiory, zna pan na pamięć prawie całego „Pana Tadeusza”, pana matka – Belgijka, była zakochana w Polsce. To jest dobry model członka przyszłej zjednoczonej Europy. Ale obawiam się, że jednak w Europie chętniej czytają pana ulubionego poetę Apollinaire’a, skądinąd Polaka, niż Mickiewicza.

Całym bogactwem Europy jest to, że jest złożona z niezależnych, tożsamyh kultur, które prowadzą między sobą dialog. Unia Europejska to nie jest zjednoczenie kultur, to jest pogłębienie dialogu między kulturami. Oczywiście, chcielibyśmy, żeby w Europie więcej czytano Mickiewicza, innych polskich poetów i pisarzy. Ale, jak wiemy, są tu nie tylko bariery językowe, ale także historyczne, bo żeby zrozumieć polską literaturę, trzeba znać naszą historię. Musimy mieć pewną dozę pokory. Nie będziemy pępkiem Unii Europejskiej. Nie będzie tak, że cała Europa będzie czytała polską literaturę i słuchała polskiej muzyki. Wchodzimy do pewnego klubu, w którym są reguły, wartości, my dodajemy do tego nasze wartości, czerpiąc ze wspólnego bogactwa. Ważne jest, żeby to nie było tylko korzystanie albo trwanie czegoś własnego i żeby wymiar kulturowy był bardzo silnie obecny w naszym projekcie wejścia do Unii Europejskiej. ■

Wciskanie Fryderyków

Po raz pierwszy Fryderyki, nagrody polskiego przemysłu fonograficznego, wręczono w roku 1995. Do dziś, mimo że jest to już siódma impreza z tego cyklu, nie tylko nie są cenione przez rodzimych artystów, ale znaczna część środowiska wręcz nimi gardzi.



W 1998 r. firmy fonograficzne za najlepszą wokalistkę roku uznały Beatę Kozidrak

Już przy pierwszym „fryderykowaniu” Kazik nie odebrał statuetki, stając się po raz kolejny prekursorem na naszej scenie rozrywkowej. Podczas ubiegłorocznej gali aż sześć nagród w kategorii muzyki rozrywkowej nie zostało odebranych przez laureatów.

Prestiż, którego nie było

Cóż sprawia, że teoretycznie najważniejsza nagroda polskiego show-biznesu nie cieszy się prestiżem? Trudno by było inaczej, skoro od początku istnienia Fryderyków już samo grono jurorów budziło zastrzeżenia. Najpierw stanowiła go bezimienna masa 650 osób mających często przypadkowe związki z rodzimą rozrywką. Wystarczyło, by ktoś prowadził rubrykę muzyczną w lokalnym dzienniku czy audycję w lokalnej stacji radiowej, a jego głos miał taką samą wartość jak uznanego krytyka. Efekt był taki, że o nagrodach decydowała jedna trzecia uprawnionych do głosowania, i to w większości dyletantów.

Na początku dochodziło do tak wielkich blamaży, że organizatorzy ze ZPAV-u (Zrzeszenia Produ-

centów Audio-Video) musieli poprawiać wyniki. Przykładowo, kiedy oceniano sukcesy polskiej fonografii w 1995 roku, „fachowcy” za debiuty uznali albumy „Kamień” Kayah i „Alboom” Liroya, mimo że były to już drugie płyty w dorobku obojga artystów. Co więcej, trzecim z pięciu nominowanych debiutantów była płyta Justyny Steczkowskiej „Dziewczyna Szamana”, która ukazała się na początku 1996 roku, czyli mogła walczyć o nagrodę dopiero rok później!

Jeśli prześledzimy listy laureatów z lat 1995-99, to można dojść do wniosku, choć nie ma na to dowodów, że nagrody były dzielone po równo przez cztery światowe koncerny fonograficzne (Sony, PolyGram, BMG, EMI). Wykonawcy piątego, Warner Music, nie odnosili sukcesów, gdyż polski katalog tej firmy od lat jest niebywale mizerny. Zakładam, że nie było żadnego hochsztaplerstwa, tylko fachowcy-dyletanci po prostu nie wiedzieli, że istnieje w Polsce scena niezależna. Dzięki często kuriozalnym rozstrzygnięciom rozniosła się fama o dzieleniu

Fryderyków między fonograficznych potentatów.

Zmiany niczego nie zmieniają

W końcu po pięciu latach eksperymentowania i tracenia resztek pozorów renomy (z transmisji imprezy najpierw wycofała się telewizja publiczna, później TVN, a przed rokiem TVP 1 nadała tylko skrót, i to o późnej porze) w grudniu 1999 roku ZPAV postanowił powołać Akademię Fonograficzną oraz zatrudnić niezależną firmę do liczenia głosów, tak by odsunąć wszelkie podejrzenia o manipulację.

Z entuzjazmem przyjąłem te posunięcia, ale dość szybko okazało się, że niczego nie zmieniają. Wśród członków szacownej Akademii znaleźli się, oprócz dotychczasowych laureatów, uznani fachowcy, czyli nobliwi nestorzy krytyki muzycznej i przedstawiciele branży (mężatki, pracownicy firm fonograficznych, organizatorzy tras koncertowych). Pierwsi są zbyt leniwi i zajęci sobą, by głosować, drudzy nie mają pojęcia o nowych trendach, a trzeci dyscyplinowanie głosują na swoich.

By ukarać krytykujących wszystkich i wszystko pismaków, do Akademii nie zaproszono praktycznie nikogo z dziennikarzy piszących o muzyce. Efekt był taki, że media zignorowały zreformowane Fryderyki 2000.

Uczymy się na błędach, więc do głosowania w tym roku zaproszono dodatkowo trzydziestu, nie wiadomo według jakiego klucza wyselekcjonowanych, dziennikarzy, w tym niżej podpisanego. Mimo to... raczej na pewno nic się nie zmieni.

Nadal branża i starodrzew

Dziś Akademia Fonograficzna liczy 426 członków, a 69 osób reprezentuje jej Radę. Najbardziej liczna jest sekcja muzyki rozrywkowej, złożona z ponad trzech setek osób. Choć przeważają w niej dotychczasowi laureaci, to jednak wśród członków Rady Akademii dominuje branża i starodrzew. Z trzydziestu czterech reprezentantów rozrywki połowę stanowią pracownicy firm fonograficznych, menażerowie i działacze. Średnia wieku drugiej połowy (dziennikarzy, tekściarzy, muzyków, producentów) oscyluje w okolicach 50. Wśród twórców jedynymi reprezentantami młodzieży są Artur Rojek z zespołu Myslovitz i Kayah.

Trudno się zatem dziwić, że wśród nominowanych w tym roku płyt rockowych mamy dzieła Bajmu, Hołdysa, Budki Suflera, Houku i Kasi Kowalskiej, a lista nominatów w kategorii muzyki alternatywnej zawiera tylko trzy pozycje.

Tajemniczą poliszynela jest, że wiele gwiazd, tak jak i w ubiegłym roku, nie przyjęło propozycji występu na gali. Zdaje się, że i tym razem najwięcej nagród, w zastępstwie, odbiorą przedstawiciele firm fonograficznych, bo tylko im wciąż zależy na Fryderykach.

GRZEGORZ BRZOZOWICZ



PIEKŁO jest w nas

TEKST IZABELLA BODNAR
ZDJĘCIA KUBA DĄBROWSKI

W Jedwabnem ludzie żyją dziś w napięciu. Jakby ta zbrodnia wydarzyła się tydzień temu.
– Zrobiono z nas morderców 1600 Żydów – mówi w sklepie młody sprzedawca.
– W okolicy patrzą już na nas podejrzanie i szemrają. Pochodzić z Jedwabnego to dziś wstyd!

Sprzedawca prosi mnie, żeby nie podawać nazwy jego sklepu. Boi się, jak wszyscy tutaj. Podobno strach sięga już za ocean. Kto dziś żyje w Ameryce, a pochodzi z Jedwabnego pod Łomżą, boi się nawet tam. A może nawet bardziej. Odkąd prezydent Kwaśniewski obiecał przeprosić Żydów za rzeź w Jedwabnem, plotka mówi – choć to przesada – że wszyscy mieszkańcy miasteczka spokrewnieni są z mordercami. Jedwabianie chcieliby więc uciec od siebie. Ale od siebie daleko uciec się nie da. Bo mord to żelazny temat rozmów. – Co będzie – pytają się nawzajem – jak prokurator wkrótce udowodni, że to była nasza wina? Co trzeba będzie oddać? Domy? – martwią się ci, co mieszkają w żydowskich budynkach, choć je

wykupili i posiadają akty własności lub dzierżawy. – Jak Żydom zapłacimy?

O tym, co się zdarzyło w Jedwabnem w czwartek 10 lipca 1941 roku, nikt tu nie chce mówić. Od półtora miesiąca panuje zмова milczenia. – To dlatego, że co dzień cała prasa nas oskarża – mówi na przystanku autobusowym mężczyzna w średnim wieku. – Ataki się naśilają, jakbyśmy to my, własnymi rękami, zamordowali Żydów. Tydzień temu jednego dnia ukazało się aż szesnaście artykułów. Nerwowo już wysiadamy.

W podlaskim miasteczku byli m.in. przedstawiciele „Newsweeka” i „The Washington Post”. Obłężenie dziennikarzy i ekip filmowych trwa, krążą tu po rynku i zaczepiają. Kiedy miejscowy proboszcz, ksiądz Edward Orłowski, wrócił ze szpitala po ciężkim zabiegu, dziennikarze „Spie-



Jedwabne pod Łomżą. O tym, co się tu zdarzyło 10 lipca 1941 roku, nikt teraz nie chce mówić.

gla” domagali się wywiadu. Zmęczony, obiecał krótko porozmawiać. – Napisali potem – mówi – że prasie jestem niechętny. Dziś nikt z mieszkańców nie daje się już wyciągnąć dziennikarzom „na kielicha”. Ze strachu, żeby się w mieście nie dostać na języki. Rozmowę z prasą i telewizją uważa się tu teraz za zdradę Jedwabnego i sąsiadów. A kto się jej dopuści, często ma potem głuche telefony.

Fotoreporterów sprzed baru przepędza barman. – Żadnych zdjęć baru! – woła. – Potem mnie okradną!

– Ukraść tam można tylko wspomnienie – komentuje przechodzień.

Bomba Grossa

Od 16 lutego napięcie w miasteczku rosło. Tamtego dnia odbyło się w Białymstoku spotkanie z prof. Janem Tomaszem Grossem, autorem głośnej książki „Sąsiedzi”, w której o zbrodni w Jedwabnem oskarżył Polaków. Wtedy zaczęła się tu gorączka.

– Gdyby Gross do nas przyjechał, ludzie by go chyba zlinczowali – mówi pan

Marian B., przedstawiciel miejscowej elity, który wraz z kolegą Adamem K. zgodził się ze mną rozmawiać anonimowo. Ich przyjacielowi po spotkaniu z Grossem skoczyło ciśnienie: zapytał autora, dlaczego w „Sąsiadach” oparł się głównie na zeznaniach jednego świadka – od roku nieżyjącego Szmula Wasersztajna – i dlaczego nie napisał, że w czasie wojny w Jedwabnem, jak i w całym Białostockiem, byli też Żydzi, którzy w ramach kolaboracji z Sowietami wydawali Polaków NKWD. Profesor ze spokojem odparł, że w każdym narodzie są donosiciele i dalej mówił o zbrodni popełnionej przez Polaków na 1600 Żydach. Zlekceważył rozmówców, gdy podważali wiarygodność Wasersztajna, który po wojnie zmienił nazwisko na Całka i współpracował z UB. W ludziach wtedy zawrzało. Bo sam Wasersztajn uratował się dzięki Antoninie Wyrzykowskiej.

– W czasie wojny Polka, Antonina Wyrzykowska – opowiada Marian B. – w dwóch piwniczkach pod oborą przechowywała siedmiu Żydów. O drugiej

piwniczkę nie wiedział nawet jej mąż. – Po wojnie nie mniej się bała niż za Niemców: pobito ją, a jej rodzinie grozono śmiercią za przechowywanie Żydów. Wyjechała ze strachu. Nigdy jednak nie powiedziała, że szkoda się było dla Żydów narażać.

Ogniwo holocaustu

Do czasu ukazania się książki Grossa jedwabianie nie próbowali oficjalnie powracać do sprawy zbrodni, kwestionować zbyt wysoką – ich zdaniem – liczbę ofiar. Dziś wiedzą, że to hańba liczyć, czy w stodole spłonęło 60, 600 czy 1600 Żydów. Tytu Żydów, ich zdaniem, w całej okolicy nie było. Choćby zginął tylko jeden, to też – twierdzą – o jednego za dużo. Chcą jednak wiedzieć: ilu naprawdę spalono?

– Uważamy, że sześćdziesiąt osób – tłumaczy mi pan Marian B. – to zbrodnia. Ale tysiąc czy tysiąc sześćset to już ludobójstwo na masową skalę. To dwa nasze kościoły pełne ludzi! Holocaust! A Gross stwierdził, że Jedwabne to właśnie brakujące ogniwo holocaustu. I wtedy strach na nas padł. Bo „Sąsiadów” po angielsku





Jedwabne obłożone jest przez dziennikarzy i ekipy filmowe.

przeczyta cały świat. A jak ktoś pomyśli, że to Polacy w czasie drugiej wojny wymordowali Żydów?

Część spośród mieszkańców to dziś ludność napływowa. Dowiadują się z gazet, że w okolicy takich pogromów jak u nich było prawdopodobnie wiele: trzy dni wcześniej 900 Żydów spalono w odległym o 18 kilometrów Radziłowie. O podobną rzeź w czasie wojny podejrzewa się mieszkańców Wiznej, Tykocina, Wąsosz, Zambrowa, itd. Gdy chcę zadać pytanie starszej kobiecie z sąsiedniej wioski, przyspiesza kroku wołając: – Ja nic nie wiem!

W okolicy powtarza się, że na Białostoczyźnie księży posądzano o denuncjowanie Żydów po spowiedzi tych, którzy ich przechowywali. Zdaniem proboszcza Orłowskiego to nonsens. – W parafii na Jedwabnem i Burzyn – wyjaśnia proboszcz Orłowski – był tylko jeden ksiądz, proboszcz Szumowski. Żydów zawsze bronił. Mówi się, że 10 lipca pozostał bierny. Tymczasem on wtedy już nie żył – aresztowany przez NKWD został rozstrzelany w Mińsku. Mam na to dokumenty rządu białoruskiego.

Gdy pytam, czy to prawda, że w kronice parafii brakuje stron z czasów wojny, obrusza się: – Kronika jest w całości. O brakujących stronach mówiła pani Arnold, która tu kręciła film. Ale prokurator Radosław Ignatiew, prowadzący teraz



Pomnik postawiony w miejscu, gdzie spłonęli Żydzi, zlikwidowano 15 marca. Powstanie tu cmentarz wojenny.

śledztwo, zbadał kronikę i stwierdził, że stronic nie brakuje.

Mit Bożego gniewu

– Burmistrz wyjechał – mówi sekretarka w urzędzie gminy. – Nie wiadomo, kiedy wróci. Ale – dodaje – z komitetu ochrony dobrego imienia miasta się wycofał.

Burmistrz się boi – komentują mieszkańcy.

– Sześćdziesiąt lat temu – powiada przez telefon jedna z urzędniczek w gminie – było tu piekło. Ale teraz piekło jest w nas. Boimy się, żeby nie zwariować. Ta zbrodnia nas przerosła.

Jedni są roztrzęsieni, jakby mord zdarzył się tydzień temu. Inni źli, że się do niej powraca i znów mówi o Żydach.

Bo to były wypalone emocje. O tym, co kto z okolicy zagrabił po tej rzezi, już nie plotkowano. Mit gniewu Bożego powracał coraz rzadziej: w miasteczku wszyscy wiedzieli, że na nieuleczalne choroby nagle zapadali ludzie zamieszani w tę zbrodnię. Albo ginęli w wypadku. Dzieci niektórych były niepełnosprawne. – Jednak sędziwi bracia L. z Pizsa – mówi pan Adam K. – trzymają się krzepko, choć o nich jako o głównych katach w tej rzezi słychać najwięcej. Nazwiska oprawców i powojenny proces w Łomży, w którym skazano kilkanaście osób, coraz rzadziej były tematem plotek. Ale gdy Jan Gross powiedział w lutym w Białymstoku, że polskich morderców było 92, dla miasteczka to była bomba.

– Dlatego niecierpliwie czekamy – mówi pan Marian B. – aż sprawę wyjaśni prokurator Ignatiew.

Gdy dzwon bije z kościelnej wieży, ludziom robi się nieswojo. Choć wikary steruje dzwonem komputerowo, stara kobieta mówi mi, że dzwon chyba teraz głośniejsze uderza. Na trwogę.

– Jak wieczorem wicher zawyje, to mi się zdaje – opowiada 50-letnia Aniela B. – że w tym wyciu słyszę krzyki i jęk Żydów palonych w stodole. Tyle ludzi. To był chyba straszny krzyk. Ale czy to może być prawda, że żydowskie dzieci wią-

zano po kilkoro za nóżki i widłami wrzucano na żarzące się węgle? Że zarzynano ludzi bagnietami? Że odcinano głowy siekierą i bawiono się nimi jak piłką? Nie mogę uwierzyć, że takie rzeczy mógł zrobić człowiek.

Zmiany epitafium nie przeżyjemy

W miejscu stodoły stoi na łące pomnik z napisem „Miejsce kaźni ludności żydowskiej. Gestapo i żandarmeria hitlerowska spaliły żywcem 1600 osób”. Słowo „żydowskiej” ktoś zaciemnił. Obok znicz i kwiaty. Dawniej mało tu było dowodów pamięci. Znicze przynoszono raczej po kryjomu, choć ta ziemia to największy cmentarz w okolicy: nie dopalone szczątki i ciała pomordowanych wrzucono do świeżo wykopanego dołu i zakopano. Kto dziś chodzi po łące, na której stoi pomnik, pod stopami – niezbyt głęboko – ma te szczątki. Jedwabianie by chcieli, żeby te szczątki odkopać. I policzyć. Ksiądz Orłowski jest za ekshumacją i godnym pochówkiem.

– Choć my katolicy, o cmentarz żydowski musimy tu zadbać – mówi na ulicy starsza pani. – Naprzeciw pomnika, w leszczyńskim lasku, jest kirkut – z cmentarzyka pozostało niewiele zarośniętych mchem kamieni. Ale już wkrótce zjeżdżać tu będą Żydzi i ksiądz proboszcz proponuje zrobić w pobliżu parking.

– Żydzi domagają się, żeby treść epitafium na pomniku zmienić – mówi pan Marian B. – I napisać, że to Polacy... Jeśli jednak ktoś taki napis zrobi, w Jedwabnem tego wstydu nie przeżyjemy!

Młodzi są za to na luzie. – Nie interesuje mnie – mówi 18-letni chłopak – czy prezydent Kwaśniewski przeprosi Żydów, czy nie. To nie mój problem. – Młody urzędnik gminy otwarcie przyznaje, że o przeszłości miasteczka nic nie wie. O Żydach też nie wie nic i wcale nie chce wiedzieć, że przybyli tam z Tykocina w XVII wieku. Najwyraźniej jest dumny ze swej niewiedzy.

Dla nastolatków druga wojna światowa jest tak odległa jak rewolucja francuska. Sentymet do własnego miasteczka nie istnieje. Mało kto wie nawet, że do połowy XVII wieku należało do rodu Jedwabińskich i że były tam fabryczki sukna. O Rajmundzie Rembielińskim, który sprzedał Jedwabne i Krośniewice, i zakupił wioskę Łódź, przeniósł do niej owe fabryczki – nastolatki też niewiele wiedzą. W życiu mają jeden cel: jak najszybciej się stąd wyrwać!



Dzwon w Jedwabnem chyba teraz głośniejsze uderza. Na trwogę.

– Boję się o naszą młodzież – mówi ksiądz Orłowski – bo gdy stąd wyjedzie, z powodu zbrodni w Jedwabnem może być gdzie indziej piętnowana. W Ameryce terror moralny wobec Żydów, od nas się wywodzących, już się rozpoczął!

Brony przed miasto

Dlaczego książkę Grossa wydano dopiero teraz, po śmierci Wasersztajna? – pytają moi rozmówcy. – Dlaczego pani nie przyjechała tu rok temu? Dlaczego ta zbrodnia nikogo nie obchodziła 5–8 lat temu?

Boją się, co tu będzie 10 lipca, w dniu obchodów 60. rocznicy mordu. Żydzi z Izraela i Ameryki zapowiadają swój przyjazd do Jedwabnego.

– Dziesiątego lipca bronie trzeba założyć przed nasze miasto – demonizuje trochę pan Adam K. – żeby te uroczystości odbyły się w spokoju. I kordon wojska się przyda. Organizacji antyżydowskich na świecie nie brakuje, więc ich macki i tu mogą sięgnąć. Jeśli dojdzie do rozrób, Polaków znów nazwie się antysemitami. W okolicy wciąż też są ludzie, których rodziny w czasie wojny zadenuncjowane, jak sądzą, przez Żydów, wywieziono na Wschód i zamordowano. Do Żydów nie są więc przyjaźnie nastawieni.

– Jeśli w nowym epitafium Polacy będą się musieli przyznać do zbrodni – mó-



Z jedwabińskiego kirkutu pozostało jedynie kilka omszałych tablic.

wi pan Marian B. – ludzie wpadną w szal. Dziesiątego lipca pomnik może wylecieć w powietrze...

W miasteczku emocje rosną. Mnie jednak najbardziej dziwi, że prawie nikt nie wyraża tam żalu z powodu masakry. O tym, jak bolesna musi być śmierć w płomieniach, nikt nie wspominał.

Tylko jedna kobieta powiedziała mi, że czuje ból. Potworny ból z powodu tego, co się tam stało...

PS. Imiona rozmówców zostały zmienione.

Prawo na UAM w Poznaniu ukończył w 1970 r. Cztery lata później uzyskał dyplom reżysera na łódzkiej PWSFTViT. Pierwszy film fabularny pt. „Powrót” zrealizował w 1977 roku, otrzymując za niego Złotą Kamrę – nagrodę dla najlepszego debiutanta. Następnie nakręcił „Arię dla atlety” (1979), „Wahadełko” (1981), „Magnat” (1986), „Bal na dworcu w Koluszkach” (1989), „Poznań 56” (1996) i ostatnio – „Przedwiośnie”. Za wydaną w 1971 roku powieść „Białe niedźwiedzie nie lubią słonecznej pogody” otrzymał Nagrodę im. Wilhelma Macha. Szef Studia Filmowego „Dom”.

TERAZ nie kłamię



Z FILIPEM BAJONEM ROZMAWIA JUSTYNA TAWICKA

Lubię siebie, choć przyznaję – sam sobie nastreczam czasem niezłych kłopotów.

W Poznaniu ma pan opinię kogoś pozującego na artystę. Nie starającego się nikomu przypodobać. „Nieporządnego”. Czy tak ujawnia się główna wada pańskiego charakteru?

Nigdy nie chciałem przynależć do żadnej grupy, nie chciałem się nikomu podporządkować. Koszty takiej postawy były wielkie, ale niezależność jest tego warta. Pracuję na własne konto.

Niczym nie zakłócona akceptacja samego siebie?

Lubię siebie, choć przyznaję – sam sobie nastreczam czasem niezłych kłopotów.

Praca nad własnym charakterem przypomina nieraz syzyfową.

Chyba że taki się pan już urodził.

Myślę, że moje dzisiejsze „ja” to jednak efekt pracy nad sobą.

W środowisku filmowym mówi się o panu jako perfekcjonście – i przykładnym poznaniaku. Nie buntuje się pan przeciw swojej poznańskości?

Zbuntowałem się już wielokrotnie. Perfekcjonizm mam w genach – taki jest mój ojciec, taki był mój dziadek. Taki jestem ja. Uważam, że ta cecha jest wpisana w za-wód, który wykonuję. Gorzej w życiu.

No to zapytam o poznański incydent kryptonim „Pegaz”. Filip Bajon ubrany w anzug z cylindrem wchodzi na „Pegaza”.

A to wszystko na znak protestu przeciw miastu, w którym wszystko musi być „rychtyg i z którego lepiej fyrać piorunem”.

Były juwenalia. Przebrałem się wtedy za ptaka i jako ptak wdrapałem się na „Pegaza”. Gdy usiłowałem z niego „po-człowieczemu” zejść, złamałem nogę w pięcie. Złamanie rzadkie, acz niezwykle bolesne. Cóż było robić? Kiedy przywieziono mnie na pogotowie, pierwsze słowa lekarza widzącego postać w odpadają-

cych już wówczas piórach, były: „za-bierzcie stąd tego ptaka”.

Swego czasu powiedział pan, że Poznań to miasto, w którym szczytem kariery jest zostać rektorem wyższej uczelni.

I tak jest nadal.

Drażni pana mieszczańska tradycja z jej hierarchią wartości i kodeksem zachowań.

A może – jak powiedział niegdyś Andrzej Górny – chodzi o chęć stworzenia nowego trwałego porządku. Zgodnego z pańską osobowością. Jaki to porządek?

Nie śmiałybym dyktować Poznaniowi żadnych warunków. To jedyne tak mieszczańskie miasto. I choć Poznań nigdy nie był hanzeatycki, w pewnym sensie przesiał takim właśnie systemem mentalnym. Hamburg, Lubeka i Poznań mają ten sam miejski temperament.

Jacek Jaroszyk powiedział kiedyś, że ceni pana za wyobraźnię artystyczną i towarzyską. Ale to chyba dwa rodzaje wyobraźni. Jeden człowiek, dwie natury.

Bo z jednej strony outsider, z drugiej dusza towarzystwa. Filmowiec – i pisarz.

Wyobraźnia jest jedna. Ja zaś zawsze byłem, jestem i będę outsiderem. Pamiętam siebie sprzed wielu lat, kiedy na bankietach wolałem stać z boku. Lubię tę pozycję.

To bardzo wygodne.

Bardzo. A jak uczy obserwacji. Mój outsideryzm traktuję jako rodzaj punktu obserwacyjnego.

Można być na zewnątrz i jednocześnie w środku?

Nie. Dlatego być może pewnych rzeczy nie widzę. Być może to dobrze.

Jaką pan ma receptę na wewnętrzny niepokój?

Syndrom Clintona. Jeżeli wszystko idzie wręcz genialnie, trzeba to zepsuć. Zrobi-

Film musi być
piękny
i mieć obraz.
Inaczej jest
tylko
słuchowiskiem.



FOT. JACEK SZYMCHAK/FORUM

łem to parę razy i dziś już wiem, że nikomu bym tego nie polecał.

Prywatny rozdział rzeczy zepsutych: ilu pan żałuje?

Wielu. Choć z perspektywy czasu oceniam, że pewne karty tego rozdziału były dla mnie bardzo dobre.

Koi pana stukot maszyny do pisania.

Czy to on był powodem powstania debiutanckiej powieści z 1971 r. „Białe niedźwiedzie nie lubią słonecznej pogody”?

Miałem wówczas 21 lat, byłem studentem IV roku prawa. W tym czasie zaliczałem jednocześnie dwa lata historii sztuki, chodziłem na zajęcia z rysunku i fotografii. Miałem sporo czasu, by napisać książkę. Podpisanie umowy z „Czytelnikiem” było dla moich bliskich nie lada zaskoczeniem. Wcześniej niektórzy patrzyli na moje poczynania z po-błażaniem.

Konrad J. Zarębski, krytyk filmowy, powiedział kiedyś, że gdyby Bajon tworzył 20–30 lat temu, byłby jednym z artystów wizjonerów.

Nieskromnie powiem, że miał rację. Zaraz jednak wyjaśnię, dlaczego: wizjonerstwo rozumiem jako przywiązywanie ogromnej wagi do obrazu. Kiedy przychodzę na plan, mówię: „Chłopaki, naj-

ważniejszy jest obraz”. Film musi być piękny, musi mieć obraz. Inaczej to tylko słuchowisko.

18 lipca – godzina 16.20. Pierwszy klaps do „Przedwiośnia”. Taki był początek.

Jak więc na początek przystało, pytanie o koniec: ile pierwotnie było wersji zakończenia?

Ilu osób pytałem, tyle było wersji zakończenia. Powieść jest z gatunku tych otwartych, a film nie lubi otwartych zakończeń. **Podczas przygotowań do filmu Monika Żeromska ponoć dziwiła się, że chce pan go zakończyć optymistycznie.**

To prawda.

Czym jest dla pana „Przedwiośnie”?

Opowiem pani pewną historię. Gdy Konrad Adenauer jeździł z Bonn do Berlina, mijając Łabę, zasnuwał w pociągu firanki, żeby nie oglądać Azji. Ja jestem z Poznania. U nas się mówiło, że Europa kończy się w Koninie. Przyjechałem do Warszawy. Zrozumiałem, że z Kresami nie mam nic wspólnego. Kiedyś jednak zostałem zawieszony do Nałęczowa. I nagle: tu Prus pisał „Lalkę”, a tu Sienkiewicz „Potop”, a tu Żeromski „Popioły”. Jezus Maria, a ja jestem z Poznania. Kiedy więc zdecydowałem się robić „Przedwiośnie”, najpierw musiałem naradzić się z sa-

mym sobą. Odpowiedzieć na pytanie: jak widzę ten kraj.

I jak pan go widzi?

Nie odbieram Polski ani nacjonalistycznie, ani patriotycznie. Takie spojrzenie odrzucam od samego początku. Wiem natomiast, że Polska jest wartością, unikatem w Europie. Musiałem jednak spojrzeć na to, nie będąc sam. Potrzebny był Cezary Baryka.

A dojrzewanie?

Zawsze wierzę w pierwsze wrażenie. Po pierwszym czytaniu scenariusza przeżyłem olśnienie. Taki bohater w polskiej literaturze, coś tak genialnego, wspaniałego. Dyskurs historyczno-społeczny świadomie odsunąłem na drugi plan. Uwierzyłem głównej postaci.

Czy nie obawiał się pan tego, co Maria Kornatowska w „Wodzirejach i amatorach” nazwała dojrzewaniem w nierzeczywistości?

Jako reżyser jestem zdecydowany na ryzyko. Taki mam zawód. Jeżeli chodzi o wspomnianą wypowiedź, jest to opis literacki. Nad tym nie jestem w stanie zapanować.

Nie bał się pan, że w zestawieniu z książką wpadnie pan w pułapki sztuczności? Mamy rok 2001.

Niczego nie aktualizuję na siłę. Taki mawne wrzawsze grozi upadkiem. „Przedwiośnie” jest takie, jak zostało napisane. Współczesność dają aktorzy. Czy, robiąc film, mam się zastanawiać, co było wtedy lewicą, co prawicą, a co jest nią dziś? Nie, nie chcę. I tak w tym kraju jest bardzo dużo polityki.

Książka dzieli się na trzy części.

Pan zastosował nietypowy łącznik.

Wpadłem na niego dopiero przy czwartym pisaniu scenariusza. Pomyślałem – nie ujawniać, że Gajowiec to ten, o którym mówi matka.

Jednym z bohaterów filmu jest Stefan Żeromski, którego pierwotnie miał zagrać Gustaw Herling-Grudziński.

Herling-Grudziński to ten sam co Żeromski autorytet moralny. Widziałem się z nim na dwa miesiące przed jego śmiercią. Zgodził się zagrać Żeromskiego, mimo że źle się czuł. Miał przylecieć na plan z Neapolu specjalnym samolotem.

„Magnat” przedstawia historię gry niespełnionych i spełnionych możliwości. Jak ocenia pan te proporcje w „Przedwiośniu”?

Nie postawiłem sobie dotąd takiego pytania. „Przedwiośnie” jest dla mnie radykalnym stwierdzeniem faktu, że czło-

wiek zawsze przegra z historią, bo nie ma na nią wpływu. Przykład. Jestem w Łodzi na 75-leciu Wojciecha Hasa. Rozglądam się po widowni i poznaję tylko kilka twarzy: Janusz Kijowski, Piotr Szulkin. I koniec. Co to znaczy? Stan wojenny – najbardziej okrutny okres komunizmu – wytrzebił ludzi. Zetrwała się pewna nić. Spójrzmy na dzisiejsze czasy. Kontynuacja pokoleniowa przestała istnieć. Zawsze byłem zapamiętany w Holoubka, Konwickiego, Andrzejewskiego. Chciałem być taki jak oni. Teraz na życiową scenę wchodzi pokolenie dwudziestoseściolatek. Są nieźli. Patrzą na ten świat i często są w tym widzeniu okrutni.

Co w „Przedwiośniu” wydaje się panu najbardziej aktualne?

Cezary Baryka i jego bunt.

W „Wizji lokalnej” następuje racjonalizacja buntu. W „Przedwiośniu”...

...jest zupełnie inaczej. W „Wizji lokalnej” jest taka scena, dla mnie piekielnie ważna. Jerzy Stuhr mówi w niej: „Panie, wszystko jest polityką. Wszystko”. To jest 1901 rok. A teraz mamy „Przedwiośnie”, w którym gra młody Stuhr. Jest rok 1920 i wszystko znów jest polityką.

Czy bunt nie jest metafizyką?

Jest, ale jest też biologią. W pewnym momencie mówimy: nie. Nie w tym miejscu, nie w tym czasie. Nie na zawsze.

Szukamy wówczas stałych wartości.

Zawsze ich szukamy. Bardzo bym chciał, żeby ten film wywołał o nich dyskusję. O tym, że są sprawy niezmiennalne. A przynajmniej, że takie powinny być.

Przeciwko czemu buntuje się Filip Bajon?

Przed zaszklaniem. A czasem przed tym, żeby nie było tak dobrze, jak się wydaje. Żebyśmy nie byli tacy zadowoleni.

Czy to bunt, czy raczej kontestacja?

Jestem z pokolenia kontestatorów. Marzec 1968 roku oglądałem z londyńskiej perspektywy i widziałem na własne oczy, na czym ta kontestacja polegała. To przecież był ciąg buntów studenckich, któremu tutaj dorobili „gębę”. A zaraz po marcu była Czechosłowacja. Bunt jako taki jest stanem istniejącym od zawsze. Kontestacja – pewnym zjawiskiem socjologicznym. Nagle na całym świecie, w jednym czasie jedno pokolenie jednocześnie mówi: „Dość. Nie ufam nikomu”.

Ponoć na świecie dwie rzeczy są nieskończone: wszechświat i ludzka głupota. Oglądając pańskie filmy, wydaje



Mądrość bywa głupia, gdy cierpi na pychę i mówi, że jest mądra.

FOT. JACEK SZCZANIEC

mi się, że bunt dotyczy również tej ostatniej.

Jeszcze jak! Wobec głupoty jestem bezlitosny. Mądrości wybaczę wszystko – niekonsekwencję, kalektwo, nawet głupotę.

A kiedy mądrość bywa głupia?

Kiedy cierpi na pychę i mówi, że jest mądra. Wie wszystko. A tak naprawdę – nigdy nic do końca nie wie.

„Marsz na Belweder”. Znak tragedii.

Baryka jest sam. Producent Dariusz Jabłoński powiedział, że myślą przewodnią było to, że każdy w życiu kiedyś poszedł na swój Belweder. Pamięta pan swój?

Cały Poznań pamięta. Ale nie siedłem wtedy sam. Byliśmy z jednego liceum. Wszyscy „idący na Belweder” wiedzieliśmy, że trzeba wyjechać. Tu był zaduch, brak możliwości. Teraz, gdy po latach zrobiliśmy już kariery, coś znaczymy, spotykamy się w warszawskim Klubie

Wielkopolan i wracamy do Poznania. Wracamy inaczej, z sentymentem. Ale wówczas chyba nie mieliśmy wyboru. To było zatamizowane miasto, z pozamykanymi ludźmi.

Na czym polega wybijająca się cecha pańskiego charakteru – owa kontrolowana lekkość bytu?

Na walce między autodestrukcją a instynktem samozachowawczym. Znow po- znańskość: nie dam się.

„Wizja lokalna» to film o formowaniu się współczesnego państwa nacisku» – tak mówił pan w 1980 roku. Zdecydował się pan na poetycką formułę, ponieważ nie chciał popaść w „sentymentalną agitkę patriotyczną”. Poetyka nie przeszkodziła najnowszemu filmowi?

Poetyckość to pewien styl. Nienawidzę publicystyki. Jest mi to zupełnie obce. Czuję się wtedy jak w obcym kraju. Po-

wtarzam jednak – polskość jest wartością. Jest fenomenem w skali krajów europejskich. Trzeba ją pokazać.

Na końcu Cezary Baryka ginie. Ginie, ponieważ tworzy kanon tzw. herosów romantycznych. Romantycznych, czyli skazanych?

Zawsze.

A czy nie starał się pan przedstawić Cezarego jak polskiego Hamleta?

Hamlet jest postacią bardzo mi bliską. Swego czasu pisywał pan do „Szpilek” teksty satyryczne. Ironia pomaga w życiu? To jedyna rzecz, która tak naprawdę mi pomaga.

Nie kłamie pan?

Dlaczego pani pyta?

Bo ponoć kłamie pan zawsze wtedy, gdy kłamstwo jest krótsze od długich wyjaśnień.

Teraz nie kłamie.

Adam Wiedemann Dziennik „duszy” (8)

29.01.01.

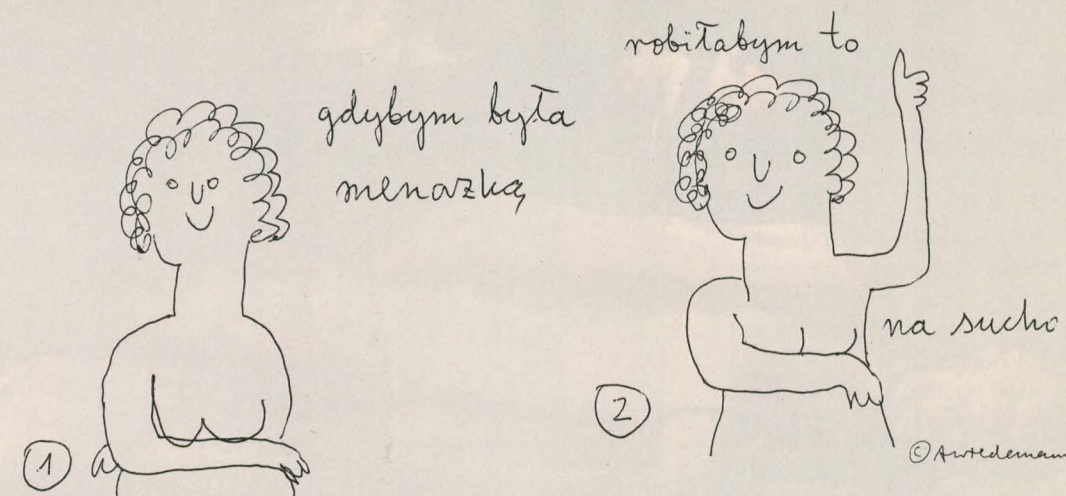
W pracy z samego rana telefon, poznaję po głosie, więc:

– Cześć, Martuniu – mówię.

– Tu Instytut Mikołowski – przedstawia się głos poważnym tonem.

– Ojej, przepraszam panią – głos zaczyna mi się kojarzyć z głosem sekretarki Zbyszka Macheja, choć przecież sekretarka Zbyszka nie dzwoniłaby z Instytutu Mikołowskiego, tylko z Cieszyńskiego Ośrodka Kultury i zresztą Zbyszek już od pół roku tam nie pracuje, ale na razie nie jestem w stanie powiązać tych wszystkich faktów, taki jestem zaspany. – Ma pani taki podobny głos...

– ...do głosu pańskiej dawnej narzeczonej? – przerywa mi Marta, zadowolona, że jednak udało jej się dowcip. Przyjeżdżają z Wróbel do Krakowa, więc umawiamy się na wieczór, niestety wieczorem jakoś nam to spotkanie nie sprawia najmniejszej radości, najpierw ja się spóźniam, potem one się spóźniają, niby są w dobrych nastrojach, ale ciągnie się za nimi ten makabryczny, agresywny śląski smutek, który tak dobrze robi Marty wierszom, ale w stanie surowym jest dla mnie czymś nie do przełknięcia, nie mogę ani słuchać ich opowieści, ani tym bardziej opowiadać im swoich, wszystko, co mówię, od razu zostaje przefiltrowane przez tę ich gorycz, tak iż powraca do mnie jako najczystsze okropieństwo. Na szczęście zjawia się Beno i podejmuje się odprowadzić Dorotę przez Klub Kultu- ralny do tych tam jej znajomych przy Pędzichów, Martunia w pojedynkę już bardziej się nadaje do pogadania, nawet udaje mi się ją skłonić do wy- jęcia z oczu soczewek i założenia okularów, tak że przez moment jest prawie całkiem tak, jak się tego spo-



dziewałem. Zawsze jak ktoś ma przyjechać, spodziewam się nie wiadomo czego, a potem jest jak jest, gadamy o czymś przy piwie bądź też winku i nie ma w tym nic, co dałoby się zapamiętać.

01.02.01

Z zasady nie lubię sępów, ale ten wydał mi się od razu szalenie sympatyczny i ładnie się uśmiechał spod czarnej, grubej, wełnianej czapki, nie znam cię, mówi, częstując się moim papierosem, jesteś w ogóle z Krakowa?, no to mówię, że jestem, w końcu mieszkam tu już tak długo, że tak jakbym był, pewnie jak się tu sprowadzałem, to on dopiero zaczynał chodzić do przedszkola, nie wierzę, mówi, codziennie chodzę tu koło Rynku i nigdy cię nie widziałem, no to widzimy się pierwszy raz, mówię, też bym cię zapamiętał, a nie miałbyś od razu dwóch?, pyta, mam trochę materiału do rozrobienia, od razu bym sobie spróbował, to nie wiesz, jak to się robi?, mówię, z półową rozrabiasz materiał, a drugie pół wypalasz, w ten sposób nic się nie marnuje, w sumie całkiem ciekawy pomysł, mówi, nie tracąc dobrego humoru (gdyby go stracił, dałbym mu pewnie tego drugiego), żegnamy się, idę na pocztę, dzwonię do Jasia, Jaś właśnie w drodze do domu, zadzwonił za kwadrans, mówi, to sobie dłużej porozmawiamy, wychodzę, idę zobaczyć do antykwarium, wy-

chodzę, a tu znow ten sam chłopczyk, z daleka śmieje się do mnie, no teraz to już sobie razem zapalimy, mówię, on już cały w tych trudnych do opanowania podśmiechawkach, częstuję go papierosem, sam też zapalam, a jakiej muzyki słuchasz, pyta, podkreślając konwencjonalność pytania konwencjonalnością wysto- wienia, wymieniam parę nazwisk niemodnych już dziś kompozytorów, on wymienia parę nazw modnych ostatnio zespołów, idziemy razem pod pocztę, Robert, mówi, kiedy czekamy na zielone światło, tak masz na imię?, pytam, bo nie wiem, może zauważył kogoś pod drugiej stronie Westerplatte. Wybuch śmiechem. Świetny materiał kupiłem, mówi, może chciałbyś spróbować. Wiesz, mówię, bo kto wie, czy posmakowa- wawszy „materiału”, byłbym jeszcze w stanie gadać z Jasiem, muszę zadzwonić do Niemiec, jak chcesz, to na mnie poczekaj. No to nie, mówi, setnie tym ubawiony, czekają na mnie w domu z obiadem, puszcza- m go zatem na ten obiad i zastana- wiam się, czy będzie w stanie utrzy- mać powagę na widok zupy.

02.02.01

Iwonka dzwoni, opowiada, jak się skończyła impreza u jej brata Krzyś- ka: dwóch spośród tych nie znanych nikomu bliżej chłopców pokłóciło się ze sobą, po czym jeden wyciągnął z kieszeni gnata i zaczął grozić, że

tamtego zastrzeli. W pewnym mo- mencie jakoś tam wyszło na jaw, że broń jest nie nabita i wtedy Krzysiek złapał go za wsiarz i wyrzucił za drzwi; niby wszystko dobrze się skończyło, ale potem wszyscy sie- dzieli do białego rana na tej imprezie w obawie, że chłopiec może czyhać na klatce z nabitym już gnatem.

– No to widzisz, jak fajnie, żeśmy tak prędko wyszli – mówię.

– Trochę fajnie, trochę szkoda – kon- kluduje Iwonka.



FOT. BOGDAN KRZEL

ADAM WIEDEMANN

Rocznik 1967. Poeta i prozaik, krytyk literacki i muzyczny, kompozytor i malarz. Autor książek poetyckich („Samczyk”, „Rozrusznik”) i prozatorskich („Wszedobylstwo porządku”, „Sek Pies Brew”). Laureat Nagrody Kościelskich, dwukrotnie nominowany do nagrody NIKE.



Moskwa 1990 r. Generalissimus upadł ostatecznie.

Jego mułłowatość Omar a sprawa POLSKA

– Wolę zburzyć pogańskie bożki, niż nimi kupczyć! – mówi przywódca talibów, mułła Omar i nie odwołuje nakazu zburzenia liczących ponad tysiąc lat buddyjskich posągów. Warto tu wspomnieć o historycznym pierwszeństwie Europy w burzeniu pomników w innych okolicznościach i innych epokach historycznych.

Niezapomniany Jonasz Kofta opowiadał mi przed laty, że pisze książkę o dziwnych losach pomników w demoludach, czyli Państwach Obozu Socjalistycznego. Podobno, gdy w Budapeszcie w 1956 r. runął na bruk wielgachny pomnik Stalina, pewien mądry węgierski Żyd załadował na taczki odłamany nos i dał z nim – je-

dynym bagażem – dyla do Austrii. I jeszcze dziś na nowojorskiej 25 Avenue w sklepach jubilerskich można dostać kawałki owego nosa, oprawione w platynę, opatrzone certyfikatem i ekspertyzą, że przynosi szczęście.

W polskim Krakowie po 1956 r. zdemontowano jedyny na Starym Kontynencie wspólny pomnik Lenina i Stalina. Wiel-

cy przywódcy światowego proletariatu patrzyli sobie w oczy z takim (wręcz podejrzanym) oddaniem, iż pomnik burzono „z taką pewną nieśmiałością”, na raty: najpierw poszedł precz Józef Wissarionowicz, a dopiero w kilka lat później reszta. W Nowej Hucie pomnik Lenina usiłowano wysadzić jeszcze przed talibami, w 1978 r. Bez powodze-

nia; osiągnięto tylko tyle, że – jak stwierdzał oficjalny protokół milicyjny – „postać na pomniku miała uszkodzoną lewą przednią nogę”. Później ten pomnik wyemigrował do Szwecji na zasłużoną emeryturę.

Lenina z Poronina chcieli w roku 1970 zniszczyć dynamitem Andrzej Czuma, Stefan Niesiołowski et consortes. Bez

skutku. W późniejszych latach owinięto mu głowę stalową liną, a linę przeciągnięto nad torami kolejowymi. Pękła jednak, poharatało lokomotywę, Wódz stał spokojnie na cokole, a miejscowy sekretarz partii komentował: – Bóg czuwał nad niewinnością...

Co się działo w latach następnych, tego już Jonasz napisać nie mógł: wiatr historii w służbie mniej lub bardziej przypadkowego społeczeństwa zdmuchiwał z cokołów resztki Stalinów, brodatych Dzierżyńskich, całe kohorty Leninów.

Demoludy z charakterystyczną dla siebie roztropnością ochoczo wzięły się również za przywódców, a nawet prostych żołnierzy armii-wyzwolicielki. Działy się rzeczy wielkie. Gdy popędzany przez Pragę pan burmistrz miasta Czeska Lipa kazał w 1992 r. zburzyć stojący w rynku pomnik krasnoarmiejca, urzędnicy przylecieli z płaczem: jak się okazało, na cokole stał przedwojenny prezydent Tomasz Masaryk, któremu w 1948 r. włożono w rękę pepeszę, „naszyto” pagony i który – symbol kapitalizmu i imperializmu! – pół wieku robił za otoczonego najwyższą czcią sowieckiego żołnierza! W Lipnicy nad Sazawą wielkie popiersie Jarosława Haszka przerobiono (taniej, wygodniej, szybciej) po cichu w 1983 r. z popiersia pierwszego komunistycznego prezydenta Czechosłowacji – Klementa Gottwalda. Co robić? Co mówić wycieczkom i działwie szkolnej?

Oto są pytania godne epoki.

Oczywiście demoludy burzyły pomniki wcześniej, nim jeszcze zostały demoludami. Do prawdziwej rzezi pomników, osobliwie świętych, doszło po rewolucji w Rosji. Po 1918 r. ze Słowacji wymieciono z cokołów wszystkich Węgrów; z Pragi, z Małej Strany zniknął piękny pomnik „ojca żołnierzy” marszałka Radetzkiego (ma wrócić, podobno jeszcze w tym ro-



Feliks Dzierżyński podczas demontażu w Warszawie rozpadł się na kawałki, a plac jego imienia zmienił nazwę na Bankowy.



Pomnik albańskiego dyktatora Envera Hodży w Tiranie obalili demonstranci.

ku). U nas rozwalono w pierwszej kolejności tzw. wieżę Bismarcka z Trójkąta Trzech Cesarzy w Mysłowicach, pomniki niewoli carskiej i wreszcie pomnik Bismarcka w Poznaniu. Fragmenty przywieziono do Krakowa, wykorzystując do budowy wejścia do Grobów Królewskich na Wawelu.

Nim na nowych cokołach wygodniej rozmościły się nowe pomniki – przyszli Niemcy. I znowu rozpoczął się proces niszczenia, bodaj najbardziej okrutny, szybki i bezwzględny. Potem przyszła Armia Czerwona, a z jej nadejściem na cokołach pojawiły się postacie nowe. Albo staro-nowe, podobnie jak w Czeskiej Lipie: Leniny, Staliny, Koniewy, Świerczewskie, Gottwaldy etc., etc. przepoczwarzały się często z pomników i biustów przedwojennych polityków, myślicieli, naukowców czy pisarzy...

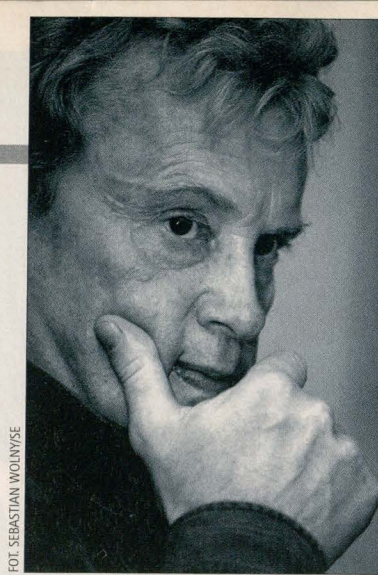
Resztę już znamy.

Twórcy posągów buddyjskich liczyli się zapewne z nadejściem talibów i mułły Omara, dlatego też stworzyli swe dzieła odpowiednio duże i solidne. Polacy też czasami myśleli perspektywicznie. Bodaj w 1978 r. nasze przedsiębiorstwa wybudowały w Lipsku pomnik polskiego żołnierza: potężny, betonowy, powątpiewałem, czy aby nie dożyje czasów, kiedy ów pomnik wyleci w powietrze, kierownik budowy spojrzał pogardliwie i pokazał mi dziób pingwina: – W życiu! To, co widać, to jedna trzecia tego, cośmy włożyli do matki-ziemni. Najlepsze zbrojenia, najlepszy cement. Oczywiście z budów niemieckich...

Niestety, nie zawsze postępowano tak przy budowie pomników „w kraju pelargonii i malwy”. Dlatego, gdyby Jego Mułłowatość Omar zapędził się nad Wisłę i Odre, może być źle, oj, bardzo źle.

Na szczęście, trudno przewidzieć, kto wtedy będzie stał u nas na cokołach.

LESZEK MAZAN



FOT. SEBASTIAN WOJNYS

„Bawie” w Oświęcimiu

Muszę się spieszyć i streszczać. Spieszyć, bo goni mnie redakcja, a nawet zajęć w moim podstawowym zawodzie nie pozwala mi na zawodową, regularną bigamię.

Streszczać – bo temat daleko metraż mojej „Łoży” przekracza i boję się, że z niej wykipi.

Kręcę film austriacki (reż. Lukas Stepanik) wg książki austriackiego Żyda, Roberta Schindla, „Gebirtig”. Operator – nasz wspaniały Edek Kłosiński, współproducent polski – „Akson” Michała Kwiecińskiego, w obsadzie czołówka niemiecka i austriacka. Zdjęcia – Hamburg, Oświęcim, potem Wiedeń. Dziś Oświęcim. Mam jeden dzień wolny.

„Co pan robił w czasie okupacji?” – pytano kogoś znanego, dziś już nie pamiętam kogo. „Bawiłem w Oświęcimiu”, odpowiadał. Więc bawie w Oświęcimiu, choć nie wiem, czy Państwa uda mi się tym, co piszę dziś, zabawić. Może lepiej nie. Poważnie jest w scenariuszu, gdzie gram główną rolę. A kilka scen w Brzezince, gdzie jako reporter niemieckiej gazety przyglądam się zdjęciom do amerykańskiego filmu – kręcone go za drutami, ze statystami w pasiakach – też nie nastraja do picia wieczorem szampana. Film rozrachunkowy, choć nie tylko. W mojej partii tak.

Uważnie przyglądam się, jak artyści – austriacki pisarz i reżyser – czujnie reagują na ciągle istniejącą groźbę odrodzenia się nazizmu, fanatyzmu i antysemityzmu w krajach języka Goethego, Heinego i Schillera... Jestem dumny, że polski aktor może im się przydać. No cóż, gram publicystę Niemca, którego ojca – zbrodniarza wojennego, powieszono w Norymberdze.

To trochę, a może bardzo, problem syna gubernatora Franka. Syn kata Generalnego Gubernatorstwa Nicolas Frank (napisał książkę „Mój ojciec morderca”) jest od lat jednym z najbardziej szano-

wanych publicystów naszych zachodnich sąsiadów. Już się cieszę na spotkanie z nim w Wiedniu. Staram się nie tracić kontaktu z prasą polską, „Gazeta Wyborcza”, „Przekrój”, „Polityka”. A tam pomoce naukowe w zrozumieniu mojej niemieckiej roli.

Jedwabne. W granicach mojego ukochanego Podlasia. Kompleks ojca zbrodniarza da się przełożyć na kompleks poczucia winy wobec niewyobrażalnej zbrodni części mojego własnego społeczeństwa. Nieważne, jak liczna czy nieliczna ona była. I ja, starszy już

człowiek, dowiedziałem się dopiero teraz. Z książki „Sąsiedzi”. O Kielcach wiedzieliśmy. O Jedwabnem – nie. I antysemita, poseł Tomczak, z innymi bastionami ojca Rydzyka w parlamencie Rzeczypospolitej (którego to Rydzyka Jerzy Giedroyc słusznie nazywał największym szkodnikiem polskim), już tam gna. Żeby nie przegapić. Żeby zbagatelizować niewiarygodną zbrodnię. Żeby dopilnować starannie niepamięci narodowej. Żeby ogłupić, żeby zwaśnić. Żeby żużel nienawiści się żarzył – jak w krematoriach. Jak do czasów wyjaśniania Katynia. Mam nadzieję, że najwyższe władze i Episkopat Polski do tego nie dopuszczą.

À propos mego nieudanego epigona z Zachęty.

Dowiedziałem się o rezygnacji pani Andy Rottenberg. Zadzwoniłem do Niej z żalem. Powiedziała mi, że będzie tworzyła Muzeum Sztuki Współczesnej. Zaofiarowałem Jej dyżury ochroniarskie z szablą. Coś mi odpowiedziała śmiesznego, ale nie pamiętam już, co. Za to z panem Uklańskim to nie koniec. Wydał w Stanach i w Niemczech album „Naziści”. Z naszymi zdjęciami. Kłamię w postłowi, że uzyskał zgodę na ich publikację.

Teraz będę go ścigał prawnie wraz z Piotrem Bujanowiczem, autorem fotosów polskich aktorów. Dopadniemy go w końcu. Książka droga, więc i odszkodowania będą niezłe. Chi! Chi!

DANIEL OLBRYCHSKI

Przyglądam się, jak artyści – austriacki pisarz i reżyser – czujnie reagują na ciągle istniejącą groźbę odrodzenia się nazizmu, fanatyzmu i antysemityzmu.



FOT. CHRISTINE REILLY

Sławomir Belina urodził się w Skiernewicach w 1968 roku, lecz pierwsze kroki ku sławie uczynił w Łodzi, gdzie przez pięć lat, od 1989 roku począwszy, związany był z grupą artystyczną Łódź Fabryczna (happeningi i koncerty muzyczne). Również w tym czasie, pod koniec lat osiemdziesiątych, był uczniem Prywatnej Akademii Absurdu Adama Rzepeckiego z grupy Łódź Kaliska – akademii mającej na celu wpojenie młodym artystom umiejętności posługiwania się różnymi kategoriami absurdu.

Organizowane przez Sławka Belinę wystawy fotografii (od połowy lat dziewięćdziesiątych na szerszą skalę) noszą takie właśnie szokująco-prowokujące znamiona. Głównie interesuje go portret oraz autoportret, a prace poddaje nieraz nietypowej obróbce dopuszczającej nawet malowanie. Artystyczna dusza Beliny wyraża się również w instalacjach oraz performansach – w tym miejscu warta odnotowania jest spektakularna akcja zamówienia mszy świętej w intencji powodzenia prezentacji projektu Katarzyny Kozyry na Biennale w Wenecji w 1999 roku. Oprócz tego, w jednym z biogramów Sławka przeczytać można, że jest poetą i autorem poradników...

Wystawy jego fotografii szokują i prowokują. Prace poddaje nieraz nietypowej obróbce.

Można przyjąć, że na początku był poradnik „Jak przeobstwić się na ament” (1995), który pojawił się w trudnych czasach wojującego indywidualizmu i był odpowiedzią na wyraźne publiczne zapotrzebowanie, stanowiąc przy okazji manifest artystyczny Beliny, wręcz credo. Sam tytuł zdradza mniej więcej, jakie rady mógł zawierać ten poradnik i na jakie okazje. Trudno dociec, ile osób skorzystało z pomocy. Na pewno zrobił to autor – dowodem niech będą tytuły recenzji prasowych jego ostatniej wystawy fotografii „Sławomir Belina – 8” w Małym Salonie Zachęty: „Narcyza portret przewrotny” albo „Sztuka narcyzmu”.

Drugi zestaw porad „Jak skutecznie udratyzować swą postawę życiową i odnieść sukces” stylistyką przekazu ocierał się o niemiecki ekspresjonizm i również nie przeszedł bez echa, gdyż, zgodnie z wyrażonymi w nim tezami, Belina tak się udratyzował, że odniósł sukces – został na-

czelnym dwutygodnika „Aktivist”, który właśnie podbija polski rynek prasowy.

W redakcji „Aktivista” w Warszawie spotkałem Belinę, siedział za biurkiem spokojnie skoncentrowany i podejmował jakieś niecierpiące zwłoki decyzje. Potem wstał, aby podać mi rękę. W redakcji wszyscy drżą przed takim szefem. A on z uśmiechem mówi: jestem zupełnie innym naczelnym. Pierwszą ważną decyzją, jaką podjąłem, było wprowadzenie obowiązkowego uczestnictwa redaktorów „Aktivista” w „kolegiach na emigracji”. Są to zebrania przy winie, w klubach. Wbrew niektórym sugestiom – zebrania te są skuteczne.

W przypadku kontrolowanej chęci bliższego poznania Sławka Beliny odsyłam na strony „Aktivista”. Tam, w każdym numerze, drukowany jest jego edytoriał z aktualnym zdjęciem – narcystycznym autoportretem w krzywym zwierciadle.

LAZARUS

NOTKI i plotki

FRESKI SCHULZA w Drohobyczu odkrył w prywatnym mieszkaniu niemiecki filmowiec-dokumentalista Benjamin Geissler. Ostatnie malowidła autora „Sklepów cynamonowych” powstały jako ilustracja do baśni o „Śpiącej królewnie”. Są w bardzo złym stanie i nie wiadomo, jaki będzie ich dalszy los.



FOT. JACEK SZYMANKOWSKI

BRODA NA PRZESZKODZIE Brytyjczyk John Watson od 28 lat zapuszczał brodę i jakoś udało mu się pracować do czasu, gdy złożył papiery w pewnym supermarkecie. Kierownictwo odmówiło zatrudnienia brodacza. Powód: broda i baki to siedlisko bakterii i zagrożenie dla utrzymania higieny w miejscu pracy. Sprawa trafiła do sądu, który uznał, że kierownictwo supermarketu miało rację.

FILOZOFIA JEDI oficjalną religią w Nowej Zelandii – tego domagają się fani „Gwiezdnych wojen”. Rozpoczęli kampanię internetową, wysyłając ankiety, w których internauci mają określić swój stosunek do pomysłu. Według miłośników serii J. Lucasa filozofia



FOT. REUTERSFORUM

Jedi zostanie uznana za oficjalną religię, gdy poprze ją co najmniej osiem tys. osób.



FOT. AP/AG

POCZTA WALCZY z przyszcycą. W Urzędzie Wymiany Poczty z Zagranicą na warszawskiej Woli powstało specjalne stanowisko do sprawdzania zawartości paczek z Anglii. Pracownicy w ochronnych ubraniach otwierają każdą przesyłkę i sprawdzają, czy nie ma w niej zakażonych produktów. Nic nie ginie, wszystko odbywa się zgodnie z prawem – na polecenie Urzędu Celnego.

DWA LATA WIĘZIENIA albo grzywna 930 dolarów grozi turystom, którzy wwiozą do Tajlandii wołowinę i wieprzowinę z krajów zagrożonych BSE. Wszystkie międzynarodowe linie lotnicze mają obowiązek informowania pasażerów o zakazie. Pewnie nie będzie tak strasznie – lot z Europy do Tajlandii trwa około 10 godzin i w tym czasie na pewno wszystkie kanapki zostaną zjedzone.

PODWÓJNE FOTELE specjalnie dla par zainstalowano na balkonie jednego z holenderskich kin. Jest to sposób na osoby, które przychodzą „do kina”, a nie „na film”.

ABECADŁO Myszkina

Seks. Wszystko, co chcecie wiedzieć, zostało już powiedziane. Ale może nie. Na czym polega seks, to chyba wiecie. Ale może nie. Jest to drażnienie sfer erogennych, raczej doprowadzone do szczytowania. Ale może nie, i niektórzy mówią, że to przeciąganie zabawy to jest to. Gdzie leżą sfery erogenne i jak szczytować, to oczywiście są zagadnienia wymagające osobnego omówienia, osobnych haseł. Na to jednak redakcja się nie zgadza. I ma rację. Nie ma nic gorszego jak seks techniczny, według instrukcji, pośpieszny, aby aby. Ale może nie. Może redakcja zgadza się na wszystko. Ale tego nie wiem. Nigdy nie próbowałem drażnić redakcji. Drażnienie kogoś nie wydaje się pożądane, jeśli chce się mieć dobre stosunki. A jednak grzeczność, głaskanie i chuchanie może być również przyczyną wielu namiętności. Oczywiście, że nie musi, bo nie samym seksem żyje człowiek. Dla porządku, z seksu też się wyżyje, czego jednak nie polecam. Dla porządku też, bez seksu nie ma dzieci, o czym trzeba pamiętać. Dziecko z próbki też jest owocem pożądania. O czystej technice już mówiłem. A ponieważ są na świecie rzeczy, o których mYszkinowi się nie śniło, no to jeśli jesteś rozdrażniony, napisz se to sam.

MYSZKIN

OPOWIEŚCI PANA Z SOPOTU

Ciocia Miecia zawadiacko uniosła brew, jednocześnie kokieteryjnie opuściła oko niżej linii nosa, wydeła nad miarę policzek, wydeła tak mocno, aż stał się przezroczysty, ukazując niedbały garnitur zębów. Opuściła tułów z głową na wysokość pasa i tak szarmancko mnie przywitała.

– Witam cię siostrzeńcu cioci Mieci, witam niebywale, pełna chwałb dla twojej nieskończoności.

Rzeczywiście niewiadomym jest mój początek i kompletnie nie jestem zaznajomiony, jak wygląda me zakończenie. Widziałem niegdyś mój fragment w Kłodzku podczas uroczystości świeckich, by za niecałe kilka dni ujrzeć własne ucho w Zamościu, a dusza moja połączyła się ze mną za pomocą telefonii komórkowej z odległej Besarabii, coś głośno wykrzykując obraźliwie, choć znałem ją jako duszyczkę pełną ciepła i kwiecistej roślinności.

Jestem nieskończonością, a ciocia Miecia jest, jaka jest i rozumiemy się niebywale, jak koń rozumie psa, a gremium sejmowe rozumie przymrozek. Ciocia darzy mnie szacunkiem i podkreśla to przy każdej nadarzającej się okazji, ja natomiast opowiadam o cioci Mieci w środkach masowego przekazu, że jest osobą godną odbie-



RYŚ. FELIKS CHUDZYŃSKI

rać ukłony znawców ciociowości. Koń zawsze będzie lizał psa po pysku, a sejm zwykle ustala pakiety ustaw przymrozkowych w pierwszej kolejności. Świat i jego meandry są proste, zrozumiałe, a nam żyje się coraz lepiej.

FELIKS CHUDZYŃSKI

„Wyteż wzrok i co tam jeszcze masz”

Wyteżając wzrok oraz umysł, przypatrz się załączonej fotografii i postaraj się odpowiedzieć na poniższe pytania. Jeśli pierwsze okaże się za trudne, weź się za drugie, itd. Gdyby wzrok lub pamięć cię zawiodły, pozostaje jeszcze pytanie pocieszenia.

FOTOGRAFIA „SEJM PRI”

- Pytanie 1 (trudne): Kto robi miny do tow. Jaruzelskiego?
- Pytanie 2 (łatwiejsze): Gdzie znajduje się na fotografii minister kultury i sztuki?
- Pytanie pocieszenia (3): Gdzie na fotografii znajduje się karafka?



1. Jeśli chodzi o minę z językiem tam. Brawo! 2. Na mównicy (prof. Krzewczuk). 3. Tak jest, właśnie tam.

Krzysztof Koehler

DIVERTIMENTO SALSBURSKIE

(fragment)
dla B. i K. Z.

7.
W salsburskim księstwie – zmierzch, śpiewają
kosi. I rzeka pluszcze o kamienie.
A urzędnicy nie idą do domów.
Gotują ludziom więzienie, więzienie.

Więc skrzypią pióra, terkoczą komórki i
przytłumiony ekran bije zgasłym blaskiem
więc się wytłumacz żeś tu nie jest
nasłanym z zewnątrz nam balastem.

Więc pióra skrzypią. Trwa zliczanie,
liczydła chwałę cyfrę cichą salwą.
Jesteśmy dziećmi jednej rasy i
ubieramy się na czarno.

I ubieramy się na czarno, może
to zdziwi cię przybyśzu z Polski,
ale z rozkazu właściciela
sto lat jesteśmy w demokracji.

W salsburskim księstwie zmierzch – śpiewają
kosi. Wiatr tłucze się o ściany twierdzy.
I jeszcze strzępy miasta w błyskach fleszy
Półki nie zgasiń wszystko w czerni.

KRZYSZTOF KOEHLER (1963) – poeta, krytyk, nauczyciel uniwersytecki. Niegdyś związany z „bruLionem”, obecnie z „Arkanami” i „Froną”.

HEGA HEGA

- Jak już sięgnął dna, to co się głębiej pcha?
- Rzekł Staś do Stasi, że górą nasi. A Stasia odrzekła tak: Stasiu, czy tyś jest ptak?
- Ile trzeb „hec”, żeby już być Lec?
- Przykro to twierdzić, ale chciałbym groszem śmierdzić.
- Nie pokazuj się nad Nilem, bo wystraszyśz krokodyle.

Wybraliśmy z listów naszych Czytelników:
Władysława M. z Zawad i Andrzeja K. z Pułtusk.
Dziękujemy.

TU ŻYJĘ I TU JEST MI DOBRZE



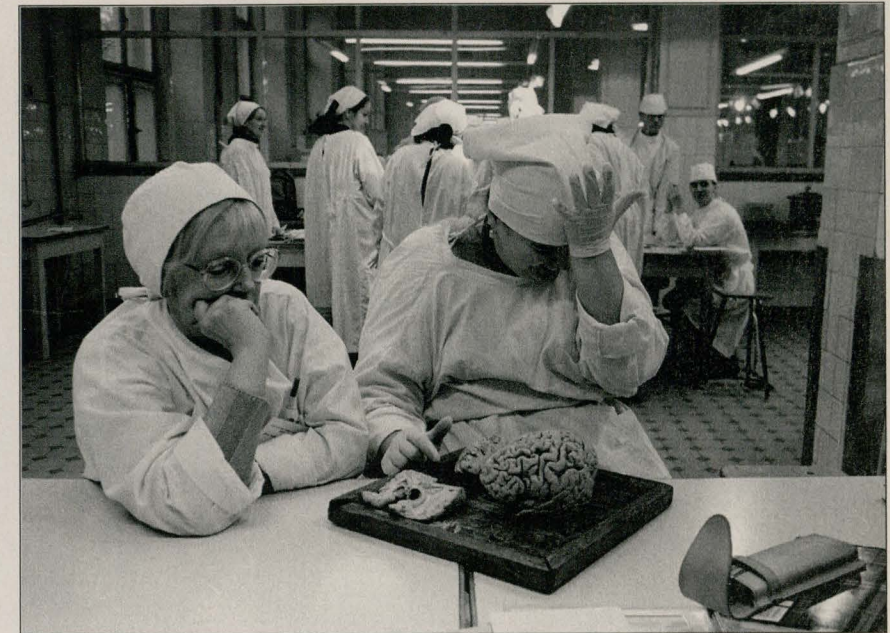
© MARCIN MACIEJOWSKI

ZDJĘCIA
ANDRZEJ WIKTOR

LEKCJA ANATOMII

Andrzej Wiktor, fotoreporter „Rzeczpospolitej”, jako pierwszy uzyskał zgodę na wykonanie zdjęć podczas ćwiczeń z anatomii dla studentów I roku Akademii Medycznej w Warszawie. Powstał fotoreportaż taktowny, zastanawiający i pełen zabawnych szczegółów. Reporter wygrał IX Konkurs Polskiej Fotografii Prasowej w kategorii „Wydarzenia”. „Przekrój” jako pierwszy publikuje ten materiał.

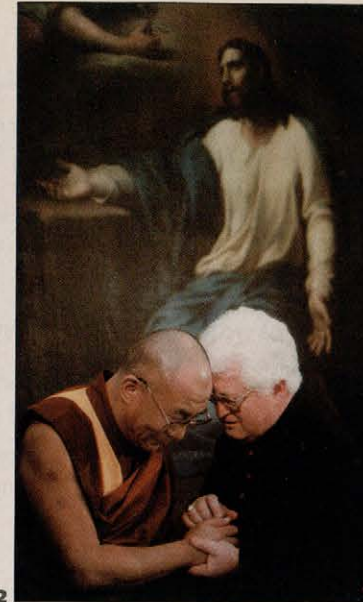




Autor pracował nad fotoreportażem ponad 3 miesiące. Po długich rozmowach z szefem Zakładu Anatomii uzyskał zgodę. Do tej pory władze uczelni niechętnie patrzyły na dziennikarzy, których zainteresowanie zajęciami gwałtownie wzrastało na początku października, gdy rozpoczynał się rok akademicki. Przecież o lekcjach anatomii od zawsze krążyły mity, opowiadało się o nich straszne historie i obrzydliwe kawały. Zgodę wydano, oczekując taktownego ukazania tematu i uświadomienia ważnej kwestii użyteczności ludzkich zwłok. Dla lepszego poznania otoczenia fotograf uczestniczył w zajęciach tylko jednej grupy studentów, które odbywały się dwa razy w tygodniu. Najpierw poznał ludzi i „oswoił” ich z obecnością aparatu – często nie wykonywał w ciągu dnia ani jednego zdjęcia. Dopiero po jakimś czasie, gdy moment był odpowiedni, a sytuacja interesująca, zwalniał migawkę. Niniejszy fotoreportaż nie powstał na konkretne zamówienie i jest wynikiem całkowicie autorskich poszukiwań fotografa.

ANDRZEJ WIKTOR, 28 lat, od dwóch lat związany z „Rzeczpospolitą”, student drugiego roku fotografii na wydziale operatorskim w łódzkiej szkole filmowej.





LAUREACI IX KONKURSU FOTOGRAFII PRASOWEJ

1. Kategoria „Życie codzienne”;
I nagroda – Leszek Pilichowski
„Gazeta Wyborcza”.
Zdjęcie z reportażu „Chasydzi”.

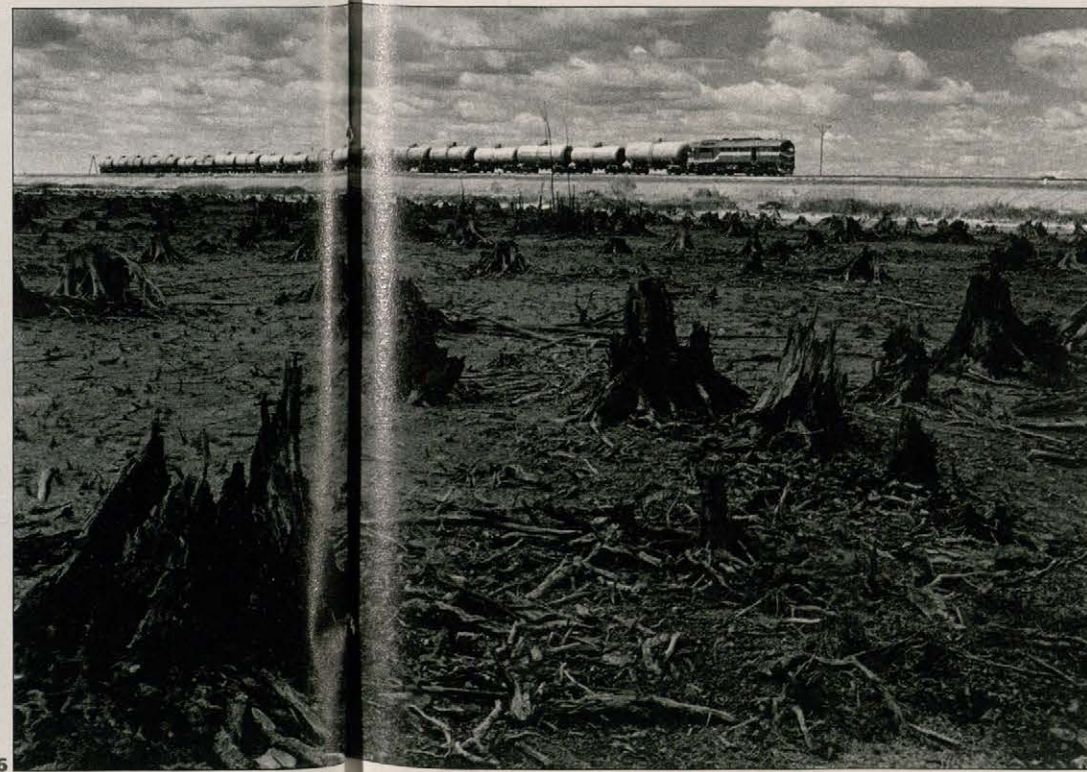
2. Kategoria „Ludzie”;
I nagroda – Jerzy Gumowski
„Gazeta Wyborcza”.
Zdjęcie z reportażu „XIV dalajlama z wizytą w Polsce”.

3. Kategoria „Świat, w którym żyjemy”;
I nagroda – Konrad Pustola.
Zdjęcie z fotoeseju „Sanna” ukazującego
życie rodziny osadników w Bieszczadach.

4. Kategoria „Kultura”;
I nagroda – Artur Pawłowski /Agencja
Reporter/.
Zdjęcie z reportażu „Klasyki XX wieku”,
zrealizowanego
na zamówienie „Przekroju”.

5. Zdjęcie Roku
oraz I nagroda w kategorii „Wydarzenie”;
Piotr Janowski
„Gazeta Wyborcza”.
Zdjęcie z reportażu „Intifada”.

6. Kategoria
„Świat, w którym żyjemy”;
I nagroda – Andrzej Górski.
Zdjęcie z reportażu „Siemianówka” –
o ratowaniu zbiornika wodnego w Narwi.



Kraj jak każdy inny

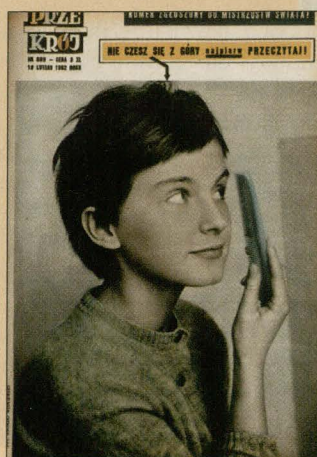
„Właściwie nie ma już w Polsce wydarzenia, któremu nie towarzyszyłaby fotografia prasowa. Choć w zeszłym roku odbyły się wybory i procesy lustracyjne, jest coraz mniej zdjęć dotyczących polityki. Fotografowie, jak inni ludzie, zmieniają swoje zainteresowania: wszyscy są już zmęczeni przepychankami i awanturami na górze. I to jest normalne. W konkursie uczestniczyły wprawdzie zdjęcia z demonstracji i strajków, ale tam przecież zawsze coś się dzieje.

Najważniejszym zjawiskiem w polskiej fotografii prasowej ostatnich lat jest coraz większa liczba autorów niezależnych i poszukujących. Przykładem jest mój kolega z redakcji Andrzej Wiktor, który dostał dwie nagrody za materiały zrealizowane z wielką cierpliwością i bardzo ludzkim podejściem”.

(Anna Brzezińska, przewodnicząca jury właśnie zakończonego IX Konkursu Polskiej Fotografii Prasowej, na co dzień szef działu fotoreportażu „Rzeczpospolitej”).

W tym roku przysłano 2773 zdjęcia 238 autorów. W jury zasiadli fotografowie, fotoedytorzy, założyciele agencji fotograficznych i operator filmowy. Konkurs jest wzorowany na formule World Press Photo. Podobnie jak tam, nagrody przyznaje się w kilku kategoriach. Ze względu na brak funduszy, zbieranych od sponsorów przez fundację działającą przy konkursie, wciąż nie ma nagród w dziedzinie „Nauka i technika”. Nagradzane są zdjęcia, a nie nazwiska – nadesłane prace dla uniknięcia stronniczości ocenia się anonimowo, bez podpisu autorów. (WK)

Ankieta wzorowana
na słynnym
„kwestionariuszu
Prousta” była jedną
z ulubionych rubryk
„Przekroju”
początku lat 60.
Padało wiele
błyskotliwych
odpowiedzi, ale bodaj
z największą klasą
zaprezentował się
maestro Iwaszkiewicz.
Przy okazji trochę
Adama Macedońskiego
w najlepszym wydaniu,
warszawskie
restauracje '62
i trudne początki
kariery Jane Fondy.



Oktadka nr 880

WARSZAWA W ROKU 1962 ORAZ JAKĄ CHCIELIBYŚMY W ROKU 1963

(...) W Warszawie tak jak na najdalszej prowincji życie nocne nie istnieje. Zamiera wraz z ostatnim seansem filmowym, wraz z zatrzaśnięciem się bram o godzinie jedenastej. Potem już tylko z rzadka dudnią kroki spóźnionych przechodniów po pseudowielkomiejskim bruku. Wychodzi warszawiak z teatru około godziny dziesiątej trzydziści i chciałby coś niewielkiego zjeść. Chciałby, ale na tym się kończy. Nawet najnowszy szybkoobsługowy bar w Hotelu Europejskim zamykają o godzinie dziesiątej. Kawiarnie, w których zresztą i tak nic do jedzenia nie ma, zamknięte. (...) W tej chwili nie ma, na dobrą sprawę, w Warszawie ani jednej średniej nawet restauracji. Jest to niewiarygodne, ale prawdziwe. Są po prostu liczne knajpy, niezbyt czyste, o jadłospisie, którego



przeczytanie powoduje od razu niestrawność. Są bary mleczne nie zawsze apetyczne, przesycone zapachem skisłego mleka. (...)

Weźmy dla przykładu dwie restauracje, uchodzące z braku lepszych właśnie za przodujące: Grand Hotel i Hotel Europejski. Panuje tam nastrój restauracji dworcowych

z dziewiętnastego wieku. Obsługa znakomita do zakąski włącznie. Dalszy ciąg zależy od tego, jakie ilości alkoholi i jakie gatunki tychże gość zamówił. Jeżeli prosił tylko o wodę mineralną, poczeka na następne danie około czterdziestu pięciu minut. Czekałszy w połowie grudnia na drugie danie pełną godzinę w Grand Hotelu o godzinie jedenastej wieczorem w rejonie kelnera, który miał poza nami do obsługi tylko jeszcze jeden stolik. Przy zamówieniu morza wódki i odrobinie szczęścia można czasami zjeść w ciągu godziny.

Jeżeli kelner jest w dobrym humorze, to odradza. Zamawia człowiek szaszłyk, a on na to kręci głową i nie radzi. Zamawia człowiek sztukę mięsa, a on ostrzega, że twarda. Niektórzy klienci są tym szczerze wzruszeni, a my sobie czasami próbujemy uświadomić, jak by to było w prawdziwej restauracji. Ho, ho! (...)

E, co tam, czy ojcowie miasta nie mogliby zrobić przełomu w dziedzinie gastronomii stołecznej w Nowym Roku?

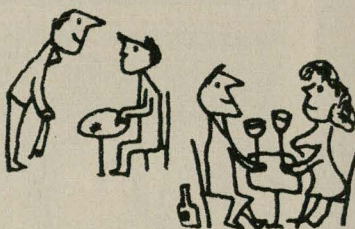
Może sami by lubili dobrze zjeść i nie zmywać potem naczyń, przynajmniej w jakąś rocznicę ślubu czy z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet?

Może by tak jakieś małe knajpki, prowadzone przez fachowców, w których skreślone byłyby raz na zawsze z jadłospisu następujące potrawy, które w tej chwili są żelaznym repertuarem wszystkich warszawskich restauracji.

A WIĘC PRECZ Z:

- bryzołem z pieczarkami,
- barszczem z diablótkami,

- kotлетem schabowym,
 - kompotem francuskim itd.
- NASZE HASŁA DLA WARSZAWY
NA ROK 1963 BRZMIĄ:**
- Masa małych knajp!
 - Bramy otwarte do północy!
 - Kawiarnie otwarte do północy!
 - Bar w Europejskim i kilka innych barów otwarte do 2-jej!
 - Nocne seanse w kinach!



- Dłużej światło na ulicach!
- Sklepy żywnościowe otwarte w niedzielę do południa!
- Sklepy z odzieżą otwarte w niedzielę do południa!
- Kilkanocnych sklepów spożywczych!
- Kilka nocnych kiosków Ruchu!

Mamy jeszcze mnóstwo dezyderatów, ale będziemy zupełnie szczęśliwi, jeżeli na razie w roku 1963 zaspokojone zostaną te, któreśmy tu wymienili.

ZIENTAROWA

PS. Jeżeliby Kraków, Poznań itd. też chciał zostać wielkim miastem, to nie mamy nic przeciwko temu i wszystko, co napisaliśmy powyżej, odnosimy również i do Krakowa, Poznania itd.

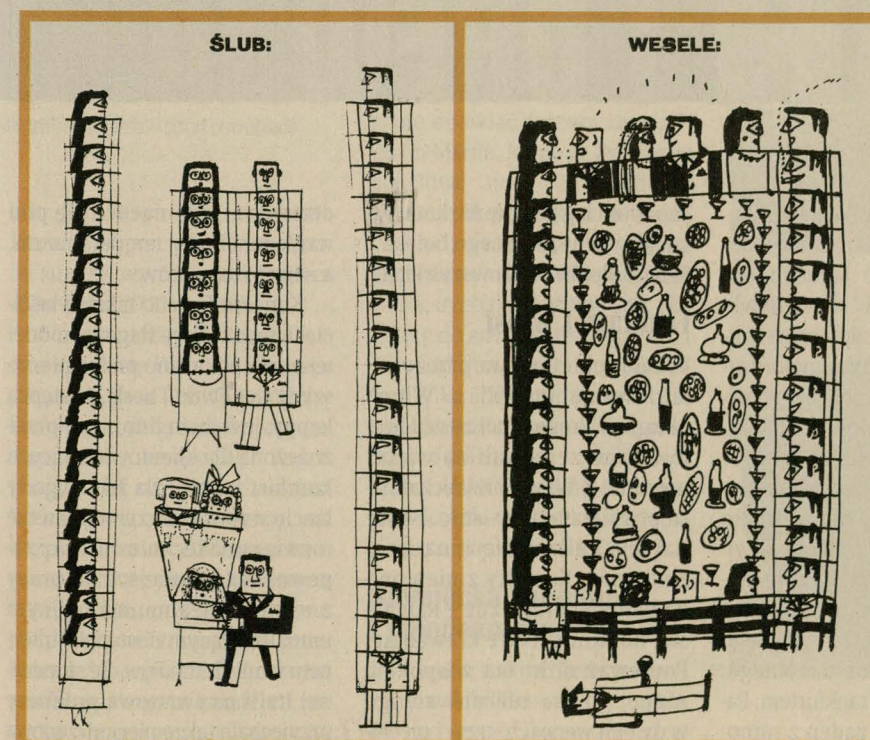
Nr 926, 6 I 1963

DOWÓD OSOBISTY

(duchowy) **JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA**

1. Twój ideał szczęścia? Siły na zamiary.
 2. Gdzie chciałbyś żyć? Gdybym chciał gdzie indziej, to bym tam pojechał.
 3. W kim kochasz się potajemnie? W Antonim Słonimskim.
 4. Ulubiona postać historyczna? Antoni Słonimski.
 5. Kim ze współczesnych chciałbyś być? Antonim Słonimskim.
 6. Najważniejsza zaleta u mężczyzny? Dowcip, czyli inteligencja.
 7. Najważniejsza zaleta u kobiety? Dowcip, czyli inteligencja.
 8. Twoja największa zaleta? Dowcip, czyli inteligencja.
 9. Twoje ulubione zajęcie? Czytanie Antoniego Słonimskiego.
 10. Czym chciałbyś być? (zawód) Znakomitym poetą, komediopisarzem, powieściopisarzem, satyrykiem, krytykiem teatralnym i felietonistą.
 11. Główna cecha twego charakteru? Chyba skromność.
 12. Co najwyżej cenisz u przyjaciół? Dowcip, czyli inteligencja.
 13. Twój ulubiony kwiat? Ulubiony przez ulubioną.
 14. Twój ulubiony ptak? Czajka.
 15. Z. Loren, B. Bardot czy Krzyżewska? Marilyn Monroe.
 16. Czego nade wszystko nie znosisz? Muzyki ludowej i wrzasku bachorów na podwórku.
 17. Ulubiony bohater powieściowy? Stanisław Dygat, kryjący się w osobach bohaterów swych powieści.
 18. Ulubiona bohaterka powieściowa? Każda występująca w powieściach Dygata.
 19. Najlepszy film wg ciebie? „Świadek oskarżenia” (Charles Laughton, Marlena).
 20. Twoja główna wada? „Świadek oskarżenia” (Charles Laughton, Marlena).
 21. Twój ulubiony malarz? Cynizm, czyli szczerość.
 22. Kochasz bardziej gotówkę czy książeczkę PKO? Winston Churchill.
 23. Dar natury, który chciałbyś posiadać? Przecież to to samo.
 24. Jak chciałbyś umrzeć? Być mańkutom.
 25. Obecny stan twego umysłu? W łóżku, otoczony sędziwymi prawnukami.
 26. Twoja dewiza? Normalny.
 27. Twój ulubiony tygodnik, za który nie zawahałbyś się dać 3 zł? Niestety, dewiz mi brak.
- Nie rozumiem pytania. Przecież „Szpilki” z felietonem Antoniego Słonimskiego kosztują 2 zł 50 gr.

Nr 892, 13 V 1962



JEST TYLKO PRZEZ 20 MINUT

...na ekranie, ale... wyzwała najpotężniejszy fajerwerk kobiecości, jaki kiedykolwiek widziano w kinie — napisał jeden z krytyków angielskich o 24-letniej Jane Fondy, córce znanego aktora Henry („Wojna i pokój”) Fondy, debiutującej obecnie na ekranach Londynu. A no, popatrzmy poniżej.
Nr 883, 11 III 1962





CACKA I DREWNIAKI

STEFAN ROKITA

**Samochodowa
prognoza pogody:
drapieżne, „kanciaste”
kształty nadwozia.
Linia raczej prosta
i zdecydowana niż
zaokrąglona**

W tym roku na 71 Międzynarodowym Salonie Samochodowym w Genewie produkty zaprezentowało ponad 300 firm motoryzacyjnych. Mimo że podczas styczniowych targów w Detroit pokazano mnóstwo nowości, w Genewie odbyło się 50 światowych i europejskich premier. Nie zabrakło również samochodów koncepcyjnych, czyli prototypów, które mogą trafić do seryjnej produkcji.

Szwajcaria nie ma własnego przemysłu motoryzacyjnego. W porównaniu z Frankfurtem, Paryżem czy Tokio żaden z samo-

chodowych gigantów nie korzysta z przywileju „własnego boiska”. Szanse są równe dla wszystkich.

Francuzi i Włosi

W tym roku Genewa przeżywała inwazję modeli z Włoch i Francji. Producenci z tych krajów zaprezentowali najwięcej nowości. Z Włoch przyjechał następca fiata bravo – stilo. Nowy fiat ma całkowicie inną linię nadwozia. Kształty zmieniono na bardziej drapieżne – kanciaste, dominują ostre krawędzie. Ponieważ stilo ma zaspokoić różne gusta, oferuje się go w dwóch wersjach: trzy- i pięcio-

drzwiowej, różniących się pod względem stylu, temperamentu, a nawet rozmiarów.

Koncern Fiata to także właściciel Lancii. Nowy flagowy model tej marki pokazano po raz pierwszy w Genewie. Thesis, następca kappy, jest dużą limuzyną przeznaczoną dla klientów ceniących komfort i moc. Dla ich wygody lanię wyposażono w najnowsze rozwiązania techniczne oraz zapewniono im miejsce do pracy z systemem komunikacyjnym umożliwiającym dostęp do Internetu i innych mediów. Ze słonecznej Italii na światową premierę przyjechała także pięciodrzwiowa

klasy. Drugie auto to 206 CC, kabriolet ze składanym sztywnym dachem. Tuż przed oficjalnym rozpoczęciem targów został uznany za kabriolet roku.

Koncern Renault zaprezentował następcę safrane, vel satis. Nowa limuzyna jest ciekawym kompromisem między autem luksusowym a minivanem. 13 centymetrów wyższa od standardowych aut tego segmentu, zapewnia komfort i przestrzeń połączoną ze znakomitą widocznością. W środku najnowsze rozwiązania. Tradycyjny kluczyk zastąpiono kartą elektroniczną, a hamulec ręczny, automatycznie włączanym hamulcem parkingowym. Długą podróż pasażerom umili odtwarzacz DVD umieszczony w oparciu przedniego fotela.

Wyspiarska elita

Dopisali także producenci z Wysp Brytyjskich. Jak zwykle ekskluzywny i drogi Jaguar po raz pierwszy zaprezentował niewielkiego sedana X-type. – X-type to prawdopodobnie najważniejszy samochód w linii Jaguara – powiedział prezes koncernu Jonathon Browning. Dzięki nowemu modelowi Jaguar planuje wejście do sektora aut średniej klasy. Pesymiści obawiają się, że wejście X-type spowoduje spadek sprzedaży elitarnych jaguarów wyższej klasy.

O sprzedaż swoich aut nie musi się obawiać rasowy „angol”, Aston Martin. Mimo że jego nowe sportowe auto V12 vanquish kosztuje około 250 tys. dolarów, chętnych nie brakuje. Aby stać się szczęśliwym właścicielem tego cacka, trzeba czekać trzy lata. Należący do amerykańskiego Forda Aston Martin zamierza produkować tylko 300 egzemplarzy rocznie. Vanquish imponuje osiąganymi. Silnik o pojemności sześciu litrów i mocy 460 KM pozwala przyspieszyć do setki w 4,6 sekundy. Maksymalna prędkość to 320 km/h.

Niemiecka solidność i japońska precyzja

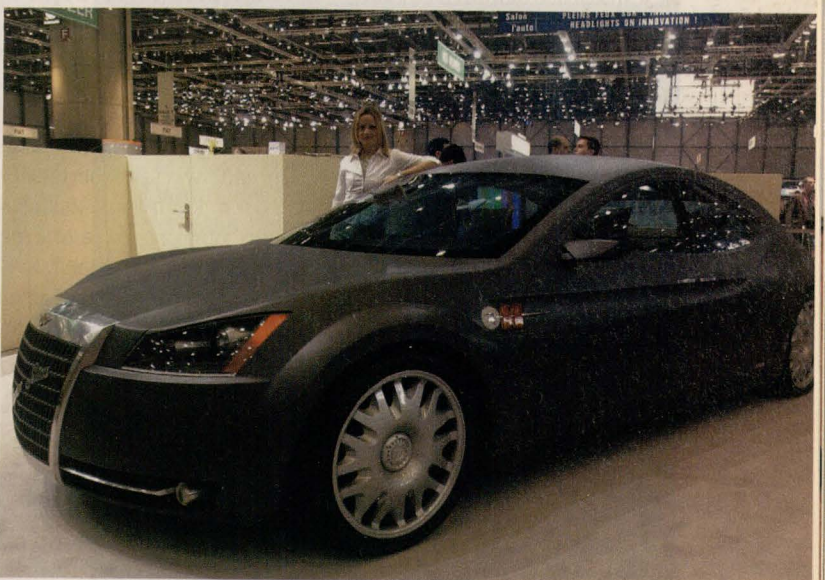
Jak zwykle solidni Niemcy zaprezentowali kilka nowości, jednak nie zachwycili. Dominowała tra-



Geniusz Giorgetto Giugiaro – Aston Martin twenty-twenty



Fiat stilo – następca bravo



Hispano Suiza K8 – hiszpańska fantazja

„Maluch” Mercedesa – smart „crossblade”

alfa 147. Nowa alfa zachowała kształt i proporcje nadwozia swojej siostry, wyróżnionej tytułem Auta Roku 2000.

Na tegorocznych targach bardzo liczni się Francuzi. Peugeot pokazał dwa nowe modele. Pierwszy to długo oczekiwany następca 306 – peugeot 307. Zaskakująca, jak na tę klasę aut, jest liczba rozwiązań zapewniających bezpieczeństwo. ABS, pasy bezpieczeństwa z pirotechnicznymi napinaczami, przednie i boczne poduszki powietrzne to tylko niektóre z zabezpieczeń. Z nowym modelem Peugeot zamierza powrócić do segmentu aut średniej

ZNAKI, SYMBOLE, IKONY XX WIEKU (8)

NASA – podbój kosmosu

Odpowiedzią Amerykanów na wystrzelenie przez Rosjan w 1957 r. Sputnika 1 było powołanie w 1958 r. NASA – Państwowego Urzędu Lotnictwa i Astronautyki. Niemal natychmiast rozpoczęto pracę nad możliwościami lotów kosmicznych. Tak zaczął się wyścig w podboju kosmosu.

NASA odpowiada za planowanie, koordynację, realizację i finansowanie programu badań kosmicznych oraz rozwój astronautyki i lotnictwa cywilnego. Jej działalność skupia się na pięciu zasadniczych programach dotyczących: techniki lotniczej i kosmicznej, badań kosmicznych i ich zastosowań, śledzenia lotów kosmicznych oraz systemów łączności i gromadzenia danych, a także komercyjnego wykorzystania eksploracji kosmosu i lotów kosmicznych.

Najważniejsze przedsięwzięcia NASA obejmują: programy lotów załogowych Mercury, Gemi-

ni, Apollo (w tym lądowanie człowieka na Księżycu w 1969 r.), budowę i eksploatację statków załogowych wielokrotnego użytku, czyli wahadłowców, konstrukcję i użytkowanie laboratoriów orbitalnych Skylab i Spacelab, misje próbników międzyplanetarnych Pioneer, Viking, Voyager, Galileo, Magellan, Ulysses, próbników księżycowych Ranger oraz Surveyor, wprowadzenie do służby wielu specjalistycznych obserwatoriów astronomicznych, m.in. IUE, HEAO, HST (teleskop kosmiczny Hubble'a), a także szerokie praktyczne zastosowanie sztucznych satelitów do celów użytkowych (w meteorologii, teledetekcyj, telekomunikacji i in.).

NASA prowadzi i nadzoruje współpracę w dziedzinie astronautyki z różnymi państwami i agencjami kosmicznymi (m.in.

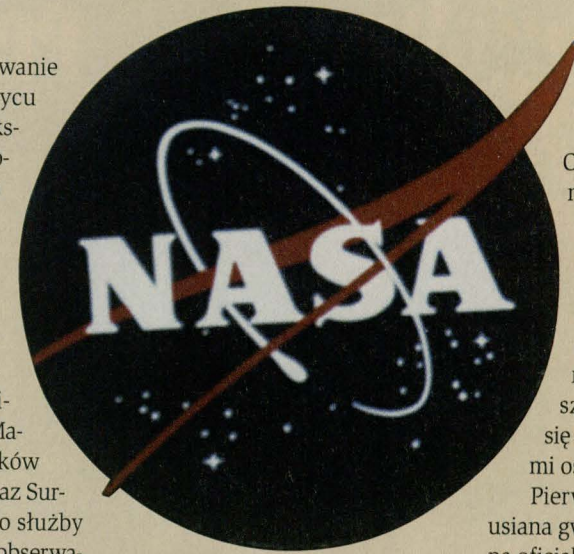
z Europejską Agencją Kosmiczną). Aktualnie najważniejszym przedsięwzięciem jest budowa międzynarodowej stacji kosmicznej. Wraz z rozpoczęciem budowy wahadłowców NASA zaczęła się angażować w projekty wojskowe, pomimo swego początkowo wyłącznie cywilnego charakteru. W związku z długą

przerwą w pracach nad wahadłowcami, związaną z katastrofą Challenge'a w 1986 r., armia musiała realizować swoje projekty samodzielnie.

Dyrektora NASA mianuje prezydent, a akceptuje Senat. Główna siedziba jest w Waszyngtonie i stąd kieruje się dwunastoma pozostałymi ośrodkami badawczymi.

Pierwszym logo NASA była usiana gwiazdami planeta, zwana oficjalnie insygnia, nieoficjalnie zaś klopsem. W połowie lat 70., chcąc unowocześnić wizerunek, zlecono wykonanie nowego. W 1976 r. Danne G. Blackburn stworzył znak skomponowany z liter o płynnych liniach. Przeważało go robakiem. Na początku lat 90. z nostalgii za okresem największych sukcesów lat 60. przywrócono do życia klopsa.

ŁUKASZ DZIATKIEWICZ



MISTRZ BARRAGAN

DO 8 LIPCA W LONDŃSKIM MUZEUM DESIGNU potrwa retrospektywna wystawa meksykańskiego architekta Luisa Barragana. Wystawa jest owocem współpracy Muzeum Designu Vitra i Fundacji Barragana. Zawiera plany, szkice, modele i fotografie prac architekta. I to nie tylko te najbardziej znane i podziwiane (np. jego dom i pracownia, plany rozbudowy miasta El Pedregal), ale także nie zrealizowane projekty mistrza. Wystawa stara się przedstawić analizę interpretacji architektury Barragana, jego metody pracy, koncepcje rozwoju współczesnej metropolii i zagospodarowania przestrzeni. Pokazano nawet „emocjonalne” zalety projektów Meksykanina. Przeanalizowano subtelne użycie kolorów, światła i cienia. Wystawa jest hołdem złożonym jednemu z najważniejszych architektów XX w. (AS)



WŁOSKIE PATENTY

W lutym we Włoszech ukazała się książka „Patenty włoskiego designu 1946–1965” („Brevetti del design italiano 1946–1965”). Jest zbiorem projektów, patentów i pomysłów, które powstawały w okresie niezwykle płodnym dla włoskich projektantów – od końca II wojny światowej aż do boomu gospodarczego w latach 60. Na 180 stronach można znaleźć bardzo znane projekty, ale i takie, które nigdy nie weszły do produkcji seryjnej. Pięknie wydana książka zawiera prawie 500 ilustracji, zdjęć i schematów najróżniejszych przedmiotów, uporządkowanych w działach, takich jak: włoskie wnętrza, akcesoria kuchenne, przedmioty luksusowe itd. Oprócz rysunków i informacji zawiera także eseje, których tematem jest włoskie wzornictwo. Książka będzie dostępna w dwóch wersjach językowych: włoskiej i angielskiej. (SR)

Renault vel satis
– kompromis między
limuzyną a minivanem



dycja i komfort. Po raz pierwszy pokazano światu kompaktowe BMW serii 3 drugiej generacji. Nowa „bawarka” zachowuje kształt poprzedniego modelu, jednak o odświeżonym wyglądzie. Konkurencyjny Mercedes przygotował nową wersję A klasy i studyjny model smarta „crossblade”. Tu niespodzianka – projektanci pozbawili auto dachu, drzwi i przedniej szyby.

Od lat duże znaczenie ma salon w Genewie dla producentów japońskich. Nissan przedstawił m.in. koncepcyjną wersję sportowego nissana Z oraz miejskiego chappo. Toyota przywiozła swą luksusową markę, sportową wersję lexusa IS300 oraz avensis, Honda zaś – nową generację modelu civic, a Mazda MX sport taurer.

Włoska moda

Oprócz najbardziej oczekiwanych premier samochodów seryjnych największą atrakcją targów są zawsze concept cary. Samochody studyjne, jeszcze nie produkowane, stanowią znakomite pole do popisu wyobraźni ich projektantów. W Genewie królowali Włosi. Giorgetto Giugiaro, najlepszy projektant biura ItalDesign, pokazał twenty-twenty, idealny samochód na rok 2020. Zaprojektowane na zlecenie Aston Martina auto ma być następcą wchodzącego do produkcji vanquisha. Ten dwuosobowy roadster pozwala w pełni docenić geniusz Giugiaro.

Część pokrywy silnika i przedni grill wykonano z azurowych materiałów, dzięki czemu potężny sześciolitrowy silnik jest widoczny z zewnątrz. Drugi projekt Włocha to oparty na mitsubishi pajero, newton touareg. Terenowe auto wykonano specjalnie na zamówienie słynnego fotografa Helmuta Newtona. Kolejny włoski projektant i kolejny roadster to Andrea Zagato i toyota MRS. Dwuosobowe auto w limitowanej serii wkrótce trafi do klientów, którzy ceną indywidualny design.

Rodziny Pinifarina nie trzeba przedstawiać. Projektują auta na całym świecie. Ich geniuszowi swoją „gorącą” linię zawdzięcza ferrari. Tym razem spod ręki familijnego biura wyszedł osee. Trzymiejscowe auto stworzone dla Citroena przyciąga oryginalnością formy.

Niespotykanymi rozwiązaniami zadziwia także bertone filo. System kierowania zastosowany w tym projekcie to krok w przyszłość motoryzacji. System kierowniczy wzorowano na lotniczym sterowaniu światłowodem „fly-by-wire”. Zamiast kierownicy mamy boczny drążek sterowniczy.

Nieco w cieniu Włochów pozostawali inni projektanci. Volvo pokazało dwa studyjne auta, hartric concept car – sportowy kabriolet ze składanym sztywnym dachem, oraz SCC z przezroczystymi słupkami bocznymi.

Ciekawy projekt przywieźli Hiszpanie z Hispano Suiza. K8 concept car linią nadwozia nawiązuje do aut z lat 20.: centralnie zamknięte drzwi bez słupka środkowego, szerokie błotniki i chromowany grill przywodzą na myśl złote lata motoryzacji.

Należący do General Motors Opel zaprezentował prototyp supersportowego auta astra coupé OPC X-treme. Dwumiejscowy bolid jest napędzany silnikiem o mocy 444 KM i może rozwinąć prędkość ponad 300 km/h.

Samochód dla surfera

Ukojeniem dla zwiedzających, zmęczonych blaskiem polerowanych cacek, była wystawa „W hołdzie drewniakom”. Chodzi o popularne w latach 50. i 60. samochody zbudowane w części z elementów drewnianych. Do Genewy przyjechało ich osiem: chevrolet fleetline, chrysler town & country, se soto station wagon, ford sportmen, lancia aurelia, mercury station wagon, nash ambassador i fiat giardiniera.

„Drewniaki” narodziły się w latach 20. w USA. Pierwszym samochodem, który może być uznany za prawdziwego „drewniaka”, był ford model A z 1928 r. Jednak prawdziwy boom na auta z elementami drewnianymi nadzedł na początku lat 60. razem z modą na nową rozrywkę – surfing. Tysiące młodych ludzi zaczęło poszukiwać taniego, uży-

wanego samochodu do transportu desek. Wtedy ponownie odkryto „drewniaka”, który wkrótce stał się emblematem pokoleń Beach Boysów.

Co dalej?

Prognoza mody samochodowej na nadchodzący rok: nadal na topie utrzymują się drapieżne, „kanciaste” kształty nadwozia. Linia raczej prosta i zdecydowana niż zaokrąglona. Obłóci wyszły z mody. Chyba że mówimy o modelach nawiązujących stylistyką do chlubnych tradycji lat międzywojennych.

Zadziwia tempo, w jakim systemy bezpieczeństwa i elektronika wkraczają do codziennego użytku, i to nie tylko w samochodach z górnej półki cenowej. Standardem stają się liczne poduszki powietrzne, układy wspomagania hamulców, radary, czujniki odległości, nie mówiąc już o głosowym komunikowaniu się z samochodem, łączach internetowych i odtwarzaczach DVD. Niedługo do obsługi wnętrza będzie potrzebna osobna instrukcja.auta są coraz doskonalsze i piękniejsze. Jest ich też coraz więcej. W Genewie przygotowano 1800 miejsc parkingowych niedaleko kompleksu wystawienniczego Pallexpo. Jednak gościom pragnącym odwiedzić salon organizatorzy polecali raczej podróż pociągiem. Następny przystanek – Frankfurt – już we wrześniu. ■

HOFF

Przebiła się

Zrobiła się tak dziko modna, że bez niej nie ma życia. Mała kurteczka. Niekoniecznie dżinsowa, bo poczekajcie, zaraz zrobię dokładny wykład, co i jak, i wszystko będziecie wiedzieć.

A czułam, czułam, że nadejdzie i dlatego pokazywałam je od czasu do czasu. Szły, szły, aż doszły. I rozlały się po modzie na ten i najbliższe sezony.

Jest to mała ciasnawa kurteczka, ale nie musi być bardzo obcisła. W każdym razie nie jest to ta luźna szeroka bluza, którą nosiło się ostatnio dwa lata temu. Może być wzorowana fasonem na kurteczce dżinsowej typu stara klasyka, tej dawnej wranglerowskiej kurtce, w której nasz dziadek podrywał dziewczyny, tatuś naprawiał samochód, a potem ukradli ją na działce. I nagle wróciła jako szpanerska kurteczka dziewczęca, malutka, zgrabniutka. Może mieć różne dżinsowe detale, ale pamiętajcie, że od tego czasu różni designerzy zaczęli dłubać przy klasycznych dżinsach, modne stały się dżinsy designerskie, czasem o szalenie skomplikowanych detalach. A i firmy dżinsowe zaczęły pracować intensywnie przy dżinsach i wymyślać różności. Więc mamy setki odmian tego arcydzieła, jakim są dżinsy i kurteczki dżinsowe, więc też kwitnie tu trochę pomysłów.

A drugi kształt modnej kurteczki to taka zbliżona raczej fasonem do skórzanej, nawet tej dość prostej, czyli stojka i zamek błyskawiczny.

Kurteczki są więc na zamek, na guziki (wnuczki wranglerowskiej), na różne kryte zapięcia, mogą być na klamerki, magnesy i inne wynalazki. Mogą mieć kołnierzyk czy stojkę i różne zupełnie zaskakujące cięcia, kieszonki, patki, hafty, aplikacje i malunki.

Ale modne są takie kurteczki noszone zamiast żakietu z czegoś, z czego właściwie zrobiłby się żakiet. Zupełnie poważnie, z wełny do spódnicy, czy spodni, noszone jako kostium czy garnitur – i to jest nowe. Nie kurteczka z wymalowanym Mao na plecach, tylko beżowy wiosenny jakby kostium z kurteczką zamiast żakietu. Tyle że ma ona trochę ducha sportowego – a jak wiadomo duch jest ważny, a nie szczegóły – jest ubraniem mniej „formalnym” jak obecny poważny kostium. Nie musi być koniecznie z tego samego materiału co spódnica czy spodnie, bo w ogóle jest moda na różne góry i doły, tylko przytomnie zestawione.

I podam jeszcze taki podły argument: kostiumy obecne mają nieco solenne fasony i ta spódnica przykrywająca kolano. Może trochę lżejsze są garnitury damskie, zresztą wydają się bardzo popularne, ale kurteczka naprawdę nie postarza, co nigdy nie jest bez znaczenia, nawet jak się ma 20 lat i już się jest modelką-kombatantką.

HOFF

Spódnica z pasków w skos. Zwróćcie uwagę na te modne paski. „Who's Next?”.

FOT. ROBERT KULEZA

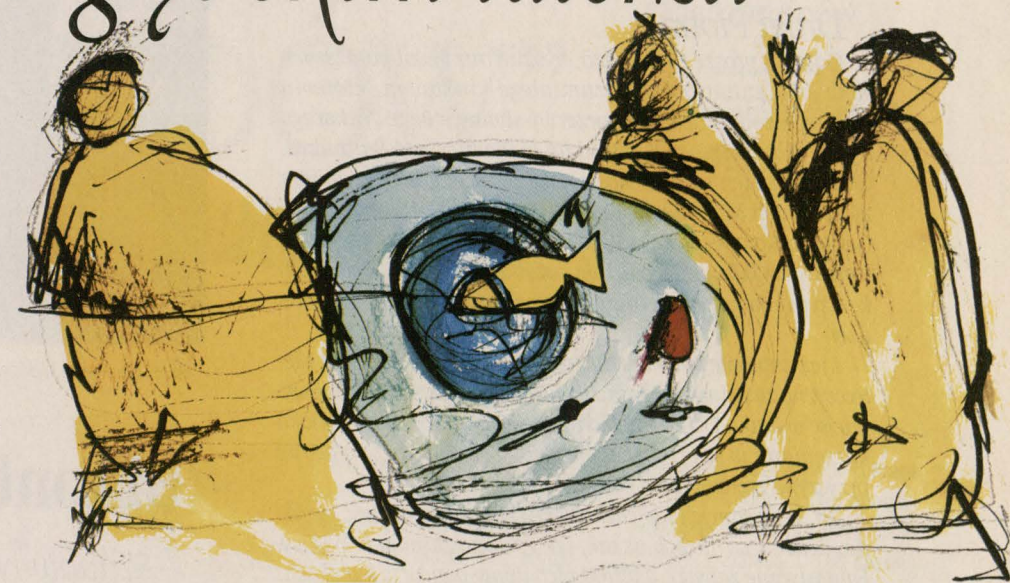
TADEUSZ PIÓRO
Poeta, tłumacz,
redaktor.
Rocznik 1960.



Klub Smakosza

Marsylianka w głębokim talerzu

Zupa rybna na modłę
prowansalską jest bardzo
smaczna, choć solidne jej
przygotowanie zabiera trochę
czasu. Danie z gatunku
postkarnawałowych.



Opiszę dziś zupę rybną, która na południu Francji nazywa się bouillabaisse. Mieszkańcy tamtych stron uważają, że zupa pod taką nazwą nie może być podawana w innych stronach, ponieważ tylko u ich wybrzeży ło-wi się rybę zwaną rascasse. A to właśnie ta, dosyć nieprzyjemna z wyglądu i nie najlepsza w smaku ryba stanowi o autentyczności bouillabaisse. Niech im będzie.

Podstawowym składnikiem zupy są oczywiście ryby, które należy kupić w całości. Muszą być bezwzględnie świeże. Specjaliści poznają, czy ryba jest świeża, patrząc jej w oczy, gdzie spodziewają się dostrzec błysk, oraz na skrzela, na których nie powinno być śladów krwi. Polecam państwu inną metodę: rybę trzeba powąchać. Jeżeli nie ma jakiegokolwiek zapachu, to znaczy, że jest świeża.

Do marsylińskiej zupy rybnej używamy ryb morskich kilku rodzajów, właściwie obojętnie jakich, byle nie łososia. Dla ośmiu osób potrzebne będzie kilka ryb o łącznej wadze około czterech kilogramów. Należy je wyfiletować. Głowy

i szkielety bardzo dobrze opłukać w wodzie, a następnie przyrządzić z nich i innych skrawków – wywar. Filety zabejcować w oliwie z pierwszego tłoczenia (czyli „extra vergine”), białym winie, tymianku, natce kopru włoskiego, natce pietruszki, czosnku, anyżowce (tylko dwie łyżki tego kordiału na pół litra wina i pół szklanki oliwy) oraz małej szczyptie szafranu.

Wywar robimy, smażąc w sześciu łyżkach dziewiczej oliwy dwie – pokrojone, podobnie jak pozostałe warzywa – marchwie, pora, cebulę, dwa pomidory, sześć pieczarek, dwa nie obrane ząbki czosnku oraz rybne szkielety. Dusimy to wszystko na małym ogniu przez 12–15 minut. Dodajemy pół litra białego wina, dwie łyżki anyżówki, skórkę z jednej, niedużej pomarańczy (bez białej warstwy wewnętrznej), „bouquet garni” składający się z kilku gałązek natki, dwóch liści laurowych, tuzina ziaren pieprzu, szczypty suszonego tymianku i estragonu, i kilku nasion kolendry (wszystko razem zawinięte w gazę). Jeszcze malutka szczypta szafranu i ma-

lusieńka kajenny. Dolewamy tyle wody, żeby wszystko pokryła, doprowadzamy wywar do wrzenia, zmniejszamy ogień i gotujemy przez pół godziny, często odszumowując. Kiedy trochę ostygnie, należy go precedzić i trzymać w pogotowiu. A póki stygnie, przygotowujemy sos „rouille”, który jest właśnie tym, co odróżnia zupę marsylijską od innych. (Ale ponieważ można go zrobić wszędzie, a rascasse bierze tylko w wodach terytorialnych Francji, to nie sos gwarantuje autentyczność potrawy, tylko ta brzydka skądinąd ryba).

Do sosu potrzebna jest czerwona papryka, upieczona w piekarniku i obrana ze skóry oraz upieczony pomidor, po upieczeniu wypest-kowany. Co więcej – kromka chleba bez skórki, namoczona w wywarze ze szczyptą szafranu i szczyptą kajenny. Ubijamy trzy żółtka razem z namoczonym chlebem i pięcioma ząbkami zgniecionego czosnku. Na tej bazie robimy gęsty majonez, mieszając pół na pół zwykłą oliwę z oliwą z pierwszego tłoczenia. W moździerzu lub robocie kuchennym

robimy purée z pomidora i papryki, i łączymy je z majonezem.

Właściwą zupę gotujemy z białych części dwóch porów, dwóch cebul, czterech obranych i wpest-kowanych pomidorów, a wszystko pokrojone w kostkę. Podduszamy pory i cebulę w czterech łyżkach oliwy, razem z liściem laurowym, szczyptą szafranu, solą i pieprzem. Po 10 minutach dodajemy odcedzony wywar, pomidory, trzy ząbki drobno posiekanego czosnku, szklankę białego wina, łyżeczkę anyżówki i odrobinę szafranu. Po kolejnych kilku minutach wkładamy kawałki ryb, obtarte z bejcy. Nie mieszamy, bo się połamia. Po trzech czy czterech minutach zupa jest gotowa. Przekładamy kawałki ryb do misek, zalewamy płynem i podajemy z sosem oraz grzankami. Grzanki robimy w piekarniku z cienko pokrojonej bagietki, każdy plasterzek bułki smarując oliwą i pociągając go przekrojonym na pół ząbkem czosnku. Zupę można ująć posiekaną natką pietruszki i bazylią. Danie z gatunku postkarnawałowych.

FOT. ELŻBIETA LEMPP, RYS. PIOTR GIDLEWSKI

LISTY PIECZĘTOWANE SOSEM

Makłowicz do Bikonta

Drogi Piotrze!

Od razu proszę Cię bardzo, byś nie traktował poniższych słów jako enuncjacji zarozumiałego krakauera, któremu w uszach pobrzmiwa bez przerwy słynny wiersz Witkacego o Kielcach, wyśpiewywany od lat w Piwnicy pod Baranami. Choć wiersz ten rzeczywiście słyszę zawsze, gdy tylko mijam w okolicach Michałowic dawne słupy graniczne pomiędzy Galicją a Kongresówką, tak bezwzględnie przewrócone przez legionistów Piłsudskiego, to dla pożytku Twego, a nade wszystkim Czytelników, postaram się teraz wyzbyc regionalnych uprzedzeń.

I już zupełnie obiektywnie muszę stwierdzić: uważam Kielecczynę za jedno z najbardziej niedorozwiniętych jedzeniowo miejsc w kraju. Dziwne to, bo miejscowa ludność tkwi głęboko korzeniami w swej od wieków glebie, choć może ta właśnie przyczyna zrodziła dość bolesny, kulinarny skutek.

To, że w samych Kielcach praktycznie niczego zjeść się nie da, dziwi, lecz nie boli aż tak, jak sytuacja zastana w Wiślicy. Fantastyczne zabytki, a wśród nich tłumy panów w kufajkach, popijających najtańsze wina owocowe – cóż za kontrast pomiędzy wspaniałą przeszłością a rzeczywistością w najbardziej postsowieckiej szacie. Trudno tam nawet dostać herbatę nadającą się do picia.

Ale nie popadaj w rozpacz czarniejszą niż sos z kałamarnic. Wystarczy pojechać do niedalekiego Sandomierza, by poczuć się lepiej. Latem Rynek wypełniają ogródki, w których wypić można kawę z ekspresu czy herbatę w filiżance. Zimą, gdy znikają turyści, robi się cicho i smutniej, ale nadal znaleźć można miejsca jak najbardziej jadalne. Hotel i restauracja „Pod Cizemką” (Rynek 27) mieszczą się w pięknej, renesansowej kamienicy. W menu osobny dział z pizzami, których tradycyjnie staram się nie tykać, prócz tego dania polsko-włoskie. Próbowalem przyzwoitego carpaccio wołowego i risotta z prawdziwkami. Kształt ryżowych ziaren zdradzał, że nie wykonano go z odmiany arborio, ale smak i kleistość sugerowały, że kucharz czytał, jak robi się risotto w Italii. Mają tam jeszcze bardzo przyzwoitą kartę win, również z Nowego Świata, wśród nich doskonałe chilijskie cabernet sauvignon, a wszystko kosztuje o połowę mniej niż w Warszawie.

Tuż obok „Cizemki”, pod numerem 30, mieści się niewielki bar, właśnie „Trzydziestką” zwany. Skromny jadłospis obejmuje głównie mięsa z rusztu, ale dają jeszcze bardzo dobrą kaszę gryczaną, wzorowo utajoną, a podawaną z omastą masłano-czosnkowo-jogurtową.

Pozdrawiam zatem gorąco, mając w ustach kaszę, a w sercu nadzieję, że sandomierskie promyki powoli oświecą całą ziemię świętokrzyską!

TWÓJ BOBEK



Bikont po prawej, Makłowicz obok

Bikont do Makłowicza

Szanowny Roberciku,

Z Kielecczyną masz więcej niż rację. Właśnie zaliczyłem Radom, gdzie sytuacja jest tragiczna, choć na szczęście nie całkowicie beznadziejna.

Wybraliśmy się tam z przyjaciółmi, żeby obejrzeć bardzo ciekawego „Króla Lira”, wyreżyserowanego przez Litwiną Linasą Zaikauskasą, który w radomskim teatrze jest dyrektorem. Mamy dwie godziny do spektaklu, więc gdzie by tu co zjeść? Patrząc, rozświetlone lady popijalni piwa, podchodzę, pytam, w którym kierunku się udać do dobrej restauracji.

– Restauracji? – pyta zdziwiony barman.

– No, tak.

– Żeby zjeść?

– Nie inaczej.

– Tu, w Radomiu??

Zaśmiał się, pokiwał głową ze współczuciem i wziął się za mycie kufla.

Ale ja zauważyłem przy stacji benzynowej strzałkę do baru „Milion słoni”. Co jak co – takiego dowcipu przepuścić nie wolno. A tu tymczasem szlak prowadzi nas do lokalnego gmachu NOT-u (która to firma słynęła przeciw w Peerelu z klubowych, ale powszechnie dostępnych barów/restauracji, gdzie zawsze było przynajmniej niezłe, plus gwarantowana niedroga wódeczka), gdzie ulokowała się restauracyjka z kuchnią chińską i tajską.

Potrawy raczej eksperymentalne niż ortodoksyjne, ale wymyślone z niejakim talentem. No i zjadłem fantastycznie pyszną kaczkę w mleku kokosowym. Myślałem o niej jeszcze hen, do końca drugiego aktu.

Z Radomia pozdrawia Cię

Kolega Po Piórze

Niniejszym inicjujemy nową rubrykę w naszym Klubie Smakosza, poświęconą książkom kucharskim. Będziemy przedstawiać zarówno kulinarną klasykę, jak i nowości wydawnicze. Nie zabraknie białych kruków i wydawniczych kuriozów. Za każdym razem wybierzemy dla Państwa kilka szczególnie atrakcyjnych przepisów.

„365 OBIADÓW” LUCYNY ĆWIERCZAKIEWICZOWEJ

365 OBIADÓW

przez

Lucyną Ćwierczakiewiczą

autorka „Kursu gospodarstwa dla kobiet”
„Jedynych praktycznych przepisów” „Po-
radnika poradka” i t. d.

WYDAWNIK DWUDZIESTY PIERSIEN

Strutwinie poprawione

WARSZAWA 1911
Nakład i własność Jana Pleszera
Lwów – H. Altonberg

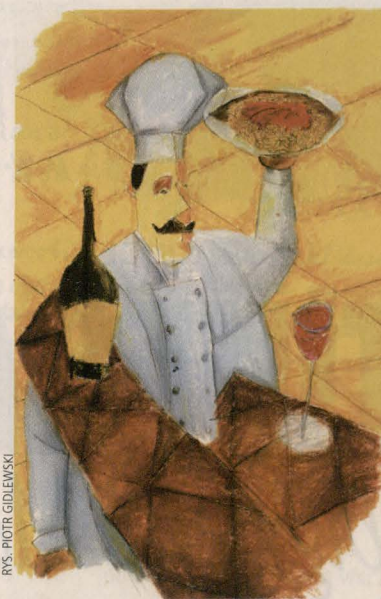
Cóż, „first things first”, jak powiadają Anglicy, czyli wypada zacząć nie inaczej, jak od Ćwierczakiewiczowej.

„Smacznie przyrządzony obiad jest podstawą szczęścia domowego i dobrego humoru męża”, powtarzała wszystkim żonom owa Pierwsza Dama Polskiej Kuchni (1829–1901). Prowadziła słynny warszawski salon, szkoliła na kursach młode gospodynie, organizowała wystawy kucharskie i spożywcze. Chętnie angażowała się w działalność społeczną – gotowała dla biednych (np. regularnie wydawała obiady dla druciarzy), działała w Komitecie pomocy więźniom i rodzinom powstańców styczniowych. Podobno była tak tęga, że po schodach wchodziła tyłem. Znała świetnie kuchnię francuską i wiedeńską. Napisała wiele książek i poradników, z których największy rozgłos zyskało wydane w 1860 r., a potem dziesiątki razy wznowiane „365 obiadów za pięć złotych”.

Dzisiejszego czytelnika książka ta zachwyci nie tylko piękną i momentami szalenie zabawną kulinarną polszczyzną XIX wieku, ale przede wszystkim bogactwem kulinarniej wiedzy.

Oto kilka szczególnie inspirujących przepisów, które wybrałem dla Państwa z biblii polskiego smakosza.

PIOTR BIKONT



CĄBER BARANI NA SPOSÓB SARNY

Cąber, lub nawet pieczeń baranią, można urządzić zupełnie jak sarnę. Kazać od razu wyróżnić duży cąber u rzeźnika, gdyż rzadko kiedy można znaleźć cały gotowy.

Cąbrem zowie się wierzchnia część przy grzbiecie po obu stronach, czyli właściwie to, z czego się robi bite kotlety w przedłużeniu aż do pieczeni. Mając więc taki cąber, należy jak najstaranniej skroić wszelką tłustość i żyły tak, aby samo mięso było widoczne; obłożyć cały plastrami cebuli, przegotować ocet z angielskim ziołem, pieprzem, bobkowym

liściem i jałowcem, nalać wolnym i wynieść do piwnicy najmniej na cztery dni, przewracając go codziennie. Gdy ma się piec, wyjąć z octu, natrzeć jałowcem, nasolić, naszpikować cienką słoniną i gdy poleży z solą więcej niż godzinę, piec w piecu, polewając początkowo masłem nawpół z octem, posypać mąką, a później suto śmietaną kwaśną.

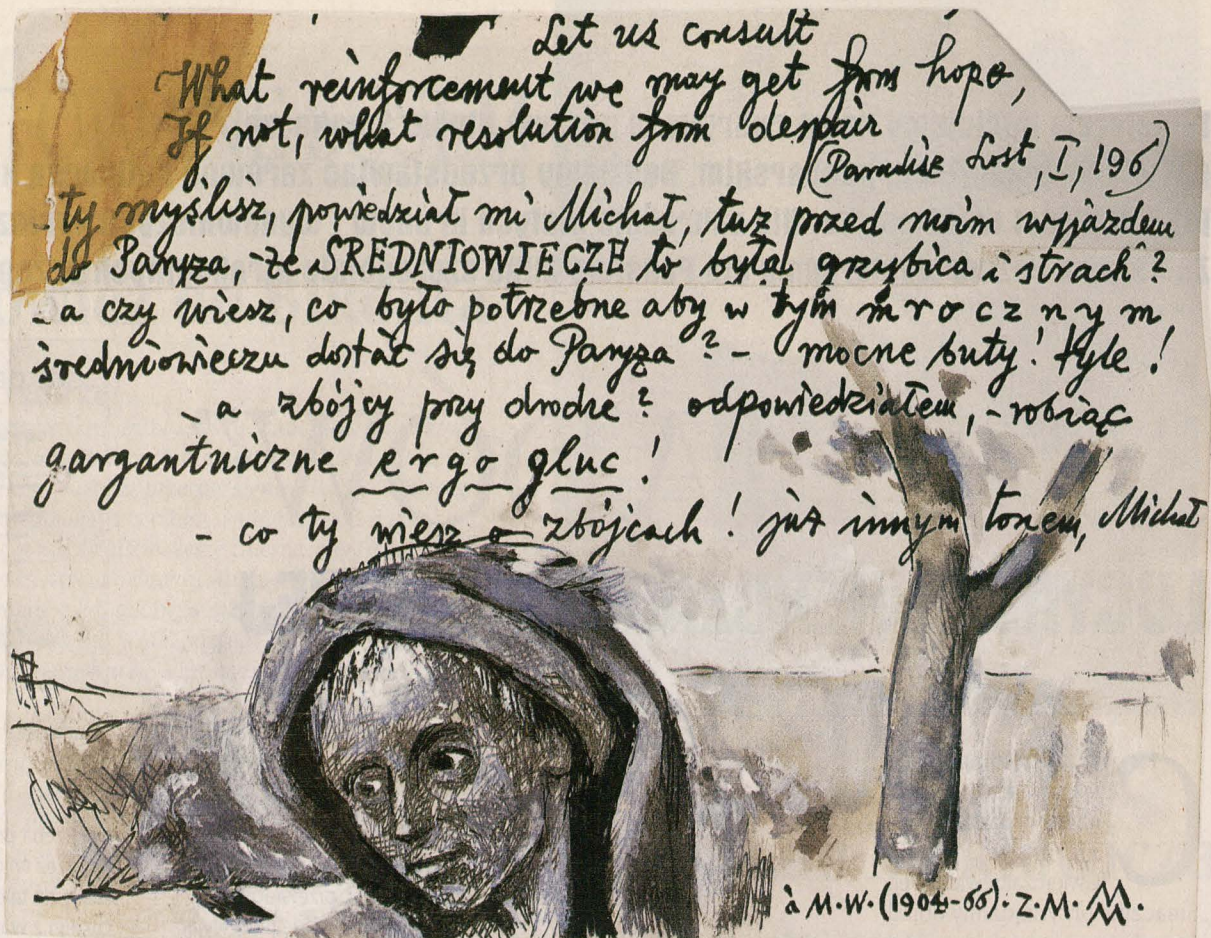
KASZKA PUCHOWA Z SOSEM ŚMIETANKOWYM

Cały sekret leży w tem, aby na miarę było tyle kaszki, ile mleka. Pół kwarty drobnej, gryczanej kaszki zatrzeć tylko dwoma białkami, ugotować w pół kwarcie mleka, dolożywszy łyżkę świeżego masła. Gorącą kaszkę przecierać przez rzadkie, mosiężne sito, biorąc tylko po łyżce, aby się łatwiej przecierała i trzymając ją z garnkiem na blasze, aby ciągle była ciepła; przecierać od razu nad salaterką, na której ma się podać, bo przekładać łyżką nie można. Resztek pozostałych na sicie nie mieszać z przetartą kaszką, gdyżby brzydko wyglądała. Ubrać wokoło półmiska konfiturami bez syropu, nie kładąc ich na wierzch, ponieważ by kaszka zapadła, a cała dobroć właśnie na tem zależy, żeby była jak puch.

Nie trzeba przesypywać cukrem, bo przez wilgoć z cukru opada, każdy na talerzu pocukrzy sobie cukrem z wanilią. Do tej kaszki podaje się sos śmietankowy. Pół kwarty dobrej śmietanki zagotować z kawałkiem wanilii; cztery żółtka najmniej ubić z ćwiercią funta mialkiego cukru i łyżką zimnej śmietanki na białawą, bardzo gęstą masę, a gdy śmietanka w rondlu się gotuje, rozbić ją powoli, lejąc w ubite z cukrem żółtka i ciągle mieszając, postawić z garnkiem na ciepłej blasze, żeby zgęstniało. Wtedy odstawić do ostudzenia i podać w sosierce do kaszki.

MAKARON Z RAKAMI

Zrobić makaron z kwatkerki mąki i 2 jaj, ugotować, wysmarować rondel masłem, wysypać bułką, układać warstwę makaronu, warstwę sztyk i nożek rakowych z pół kopy raków zalewając następującą zaprawą: skorupki raków utłuc w młódczku, usmażyć w młodej masle, zebrać czerwone masło, zaprawić to masło kwaśną śmietaną, włożyć zielonego kopru. Zalany tem makaron wstawić do zapieczenia w piec na małą godzinę. Proporcja na 6 osób. Można go robić z cieńszego makaronu Krzymuskiego.



MARTA SOBOLSKA

TABULA ITINERARIA,

czyli księga podróży Zbigniewa Makowskiego

„Tabula Itineraria” jest zbiorem prac Zbigniewa Makowskiego, wydanych w postaci książki – tradycyjnie już dla niego – w 99 egzemplarzach. Oryginały prac można oglądać w Galerii Zderzak w Krakowie do 31 marca.

Podobnie jak „Opisanie świata” Marco Polo – tak mógłby się zaczynać dziennik Zbigniewa Makowskiego – „tu rozpoczyna się księga podróży i opowiadanie o wszelakich dziwach, jakie się w świecie jego znajdują oraz sposobie życia artysty”. Co to za podróż? Dokąd prowadzi?

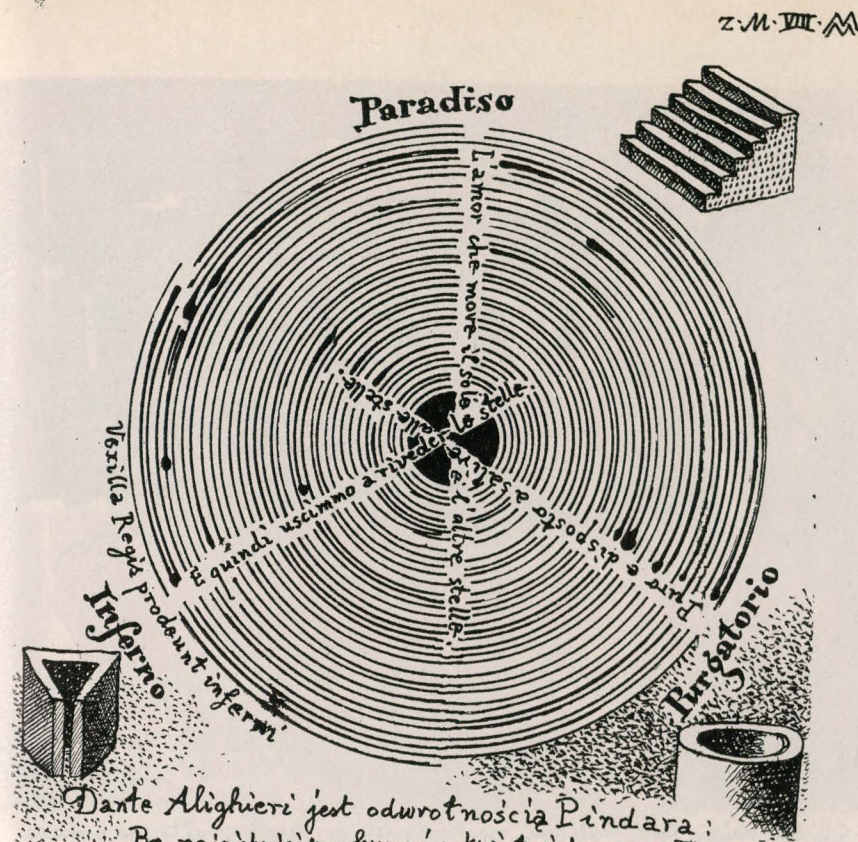
To podróż z mapą wyspy skarbow. Nie każdy rozpozna znaki, łatwo zginać, niewłaściwie odczytawszy symbole, dobrze

znać wiele języków i czytać między wierszami. Do celu nie prowadzi jedna droga. Trzeba umieć szybko przenosić się w czasie, a nawet być jednocześnie w dwóch miejscach czasoprzestrzeni.

Miejsca i kolory

Podróż zaczyna się w Warszawie na ulicy Wąski Dunaj, gdzie zwodnicza Syrenka kusi słodkim śpiewem. To chyba dobry znak dla podróżnika urodzić się

w pobliżu syreny. To miejsce Makowski nazywa łąką dzieciństwa. Tam odnalazł pierwsze skarby – pierwsze obrazy, kolory i kształty: matka w żółtym szlafroku w duże czarne kwiaty, błękit górski i manganowy znalezionych skorupki ptasich jajek. Kiedy pierwszy raz spotkał się z krwistą czerwienią? Może miał lat dziewięć jak Dante – „po raz dziewiąty licząc od mych narodzin, niebo światłości wróciło prawie na to samo stanowisko” –



Dante Alighieri jest odwrotnością Pindara:
Bo najpiękniejszy hymnów kwiat jak pszczoła
To tu, to tam przeskakuje myślą

ἔρχω μίον χάρ ζωτος ἔμνων
ἐπ' ἄλλοτ' ἄλλον ὥτε μέλισσα δύνει λόγον
ΠΥΤΗΙΑΧ

S. J. Colendge chciał przetłumaczyć ELEMENTA Euklidesa na Pindarejskie Ody, w 28 000 wersów Homera występuje 25 000 powtórzonych zwrotów, ja Alighieriemu zawdzięczam największą Lekcję (celności) Metafor: mi parca vedere una persona dormire nuda, salvo che involta mi parca in un drappo sanguigno leggeramento; (LA VITA NUOVA)

gdy przyśniła mu się ta purpura. Nie wiadomo, chociaż to właśnie z „La vita nuova” ów kolor – sanguigno.

Trzeba uważać na łące dzieciństwa, bo – zapewne za sprawą syreniego śpiewu – łatwo pogrążyć się we wspomnieniach i nie wyruszyć w drogę wcale. A przed nami Sandomierz – miejsce magiczne. Tam, jeśli podróżnik odnajdzie szmaragdowozieloną łąkę i jeśli dostrzeże w niej odrobinę kobaltu, spotkać powinien Animę, która – mimo lat dwunastu zaledwie – wskaże różnicę między Twórcą i Wykonawcą. Sandomierz łatwo też poznać po tym, że w 1954 roku ktoś pomalował na zielono wszystkie futryny, drzwi i żaluzje na rynku.

Nie wiadomo, po ilu dniach, miesiącach czy latach podróży na zachód można dotrzeć do Wambierzyc. Stamtąd, zgodnie z mapą, jechać należy pięć przystanków do Polanicy, gdzie trzeba skrócić

pod kątem prostym na wschód i już się jest w Wielistawiu. Tam właśnie autor dziennika 15 kwietnia 1954 roku odrzucił kolory, tak skrupulatnie zbierane przez dwadzieścia cztery lata. Znamienne, że zostawił sobie glinianą ochrę – kolor wyschniętej sangue, czyli krwi.

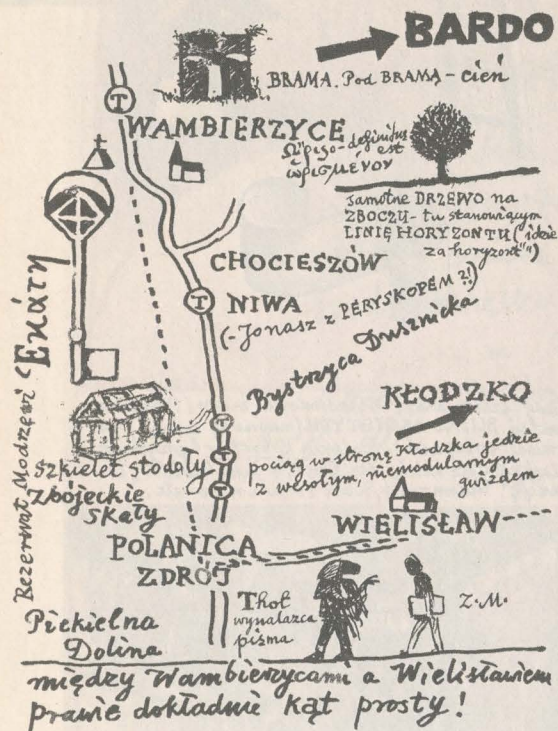
Te dwie wioski położone u podnóża Gór Stołowych są dla Makowskiego źródłem siły, energii i odniesieniem do wypraw dalszych – Lozanny, Brna, Paryża, Chartres, Awinionu, Wenecji, Padwy, Florencji. To miejsca pełne przejść – bram, studni, drzwi czarnych, jak wielki otwór, który kusił Ignacego Loyolę. Strefa światła i strefa cienia. U dołu mapy dwie sylwetki – jedna z tęczką pełną rysunków najzwyczajniej idzie sobie drogą i opisana jest inicjałami Z.M. Druga to król z głową ibisa – Thot, egipski bóg, patron księżyca i pisarzy, opie-

kun nauki i świętych tekstów. Czy tam właśnie, w Piekelnej Dolinie, spotkał go Makowski?

Znaki

Czasami trzeba ich szukać w tekście itinerarium, czasami w miejscu, do którego dotarliśmy w podróży, czasami zaś w sobie. Te ostatnie, co oczywiste, zauważyć najtrudniej. Znakiem może być krzak bzu czarnego, *Sambucus nigra*, który „jest drzewem nietykającym. Szczególnie należy unikać korzeni – siedliska zła”. Albo padalec, *Anguis fragilis*, w straszne plamy, „a dobra rzecz przeciw nie może mieć plam”. Turkuć podjadek *Gryllotalpa gryllotalpa*, który „wstrętniejszy od stonogi (*Oniscoides*), np. prosionek – pisze Encyklopedia PWN) i razem z Bieluniem dziedzicząwą (*Datura stramonium*) i innymi chity-





„Nie odbyłem bynajmniej
mojej podróży po to,
by ją opisać; miałem zupełnie
inny zamiar (...)
Pojechałem po to, aby szukać
obrazów; oto wszystko”.

Chateaubriand

nowymi, wielonogimi, trującymi - stano-
wią Mroczną Część Natury”.

Znakami na mapie, symbolami w tek-
ście dziennika są drabiny i schody, stud-
nie, wszystkie nawet pozornie przypadko-
we kształty geometryczne, klucze i mie-
cze, spirale, ornamenty. Czy ktoś poza au-
torem „Tabula Itineraria” potrafi odczytać
wszystkie znaki? Wątpię. To bardzo osobi-
sta wyprawa, śladem własnych fascynacji,
obrazów, wspomnień, emocji.

Drogi

Niezwykłość tej podróży tkwi w tym, że
odbywa się ona nie tylko w przestrzeni
fizycznej, ale również w głębi kilka tysięcy
lat liczącej przestrzeni kultury. Dla wy-
trawnego podróżnika, jakim jest Makow-
ski, to czysta przyjemność poruszać się

pośród takiego bogactwa. Dla nas pozo-
staje pełne napięcia śledzenie czyjejś
drogi i nieustanne orientowanie się, że
tam gdzie, jak sądziliśmy, już dotykamy
skarbu, tak naprawdę wędzeni jesteśmy
na manowce. Najwięcej można zrozu-
mieć, jeśli nie skupia się uwagi na roz-
wiązaniu tajemnicy, lecz na samej przy-
jemności szukania, czyli wędrówce. Spo-
soby podróżowania są przeróżne - mo-
żemy wędrować fizycznie, czy to do Ło-
zanny, czy Wielisławia; możemy oglądać
obrazy, szukać źródeł cytatów, tropić
strona po stronie znaczenia i skojarzenia
- wtedy będziemy, jakby to określiła Ani-
ma z Sandomierza, muzykami-wyko-
nawcami. Możemy też zamykać oczy
i szukać swojej własnej łąki dzieciństwa.

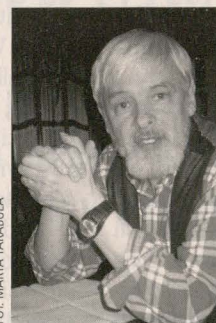


Ἡδὸς ἀνθρώπων δαίμων. Ἡρακλείδης
Wambierzyce 1959. Zbigniew Makowski f. VII

24. Gdy był zajęty tymi myślami, natchodziła go często gwałtowna pokusa,
zrobić się kuciem w dot. przez wielki otwór, który był w jego pokoju blisko
miejsca, gdzie zwykle się modlił. Ale wiedząc, że byłoby to grzechem
zabici świętego ścieżki (...) św. Ignacy Loyola OPOWIEŚĆ PIĘT GRZYMA. ROZDZIAŁ
III. Manresa (marzec 1522 - luty 1523) 24. - Zauważyć: „Szatan, mając zaatakować
człowieka, biega najpierw, jakby jest jego słaba strona i w czym jest bardziej opie-
szalszy; tam zatacza swoje machiny, obłąkując i tam skłonić pragnie przetrwać”.



Jonasz w księżcu wieloletnim. z.m. 1959.



FOT. MARTA TORBULA

ZBIGNIEW MAKOWSKI

— ur. 1930 w Warszawie,
jest jednym z najbardziej
znanych na świecie polskich
artystów. W 1956 r. ukończył
warszawską ASP. Na początku
lat 60. wyjechał do Paryża,
gdzie wystawił z André
Bretonem i innymi
surrealistami. Reprezentował Polskę na XXXVI Biennale
Sztuki w Wenecji. W Genewie, w siedzibie ONZ znajduje
się jego obraz „Mirabilis secundum diversos modos
exire potest a rebus”. Mieszka i pracuje w Warszawie.
Obok malarstwa, opartego na motywach surrealizmu,
uprawia twórczość poetycką. W 1997 roku krakowska
Galeria Zderzak, stale współpracująca z artystą, wydała
„Florilegium” — unikatową książkę artystyczną,
zawierającą wybór ulubionych utworów Makowskiego,
ręcznie przez niego przepisanych i zilustrowanych.

All is an endless fleeting abstraction; the whole is reality. S.T. Coleridge



24. XI. 1984.

Sen S.T. COLERIDGE'A

Demon lubi miejsca jadowite,
Wodnisty oplatał mi głowę,
Pindarejskie Ody
Elementa Euklidesowe,
Teorematy, Ogrody,
Ewa, Anna, Beata,
Chwytały się za ręce i
są w sukienkach
sekanatnych
Ewa, Anna, Beata,
Beata je obejmują,
Umarte już dla świata!

Zbigniew Makowski f. VIII

PARADA OSZUSTÓW

Nie wszystko, co królewskie, musi być święte. Niedawno w Madrycie, na słynnym Estadio Santiago Bernabeu dokonano futbolowego bluźnierstwa, a niemal stuletni Real odarto z czci i chwały.

Paradoksalnie, dokonał tego piłkarz o niewinnej twarzy i dotąd czystych rękach. W dodatku sztandarowa postać „królewskiego” klubu. Gola strzelonego Anglikom przez Raula Gonzalesa ręką zauważył każdy, poza polskim sędzią. Ryszard Wójcik po raz kolejny dowiódł, że nie zasługuje, aby decydenci z UEFA w nieskończoność rozpościerali nad nieudacznym arbitrem parasol ochronny. Sprawa Wójcika, to jego szczęście, jest jednak czymś drugorzędym. Raul, chcąc nie chcąc, odnowił bowiem zdecydowanie ważniejszy temat do dyskusji.

Dokąd zmierzasz, futbolu?

Na gole strzelane w niezwykle sposób zapotrzebowanie jest zawsze. Jeszcze w latach 50. Henryk Szymborski bramkę dla ŁKS zdobył plecami. Na stadionie Cracovii w jego ślady poszedł w pamiętnym meczu z Ruchem Chorzów Ryszard Sarnat. Oba te niecodzienne gole padły zgodnie z przepisami, wdzięcznie zachowując się w pamięci kibiców.

Kiedy jednak przychodzi analizować polski wkład w szlachetność i uczciwość na boisku – polaryzacja jest nieunikniona. Na



Maradona pomaga Panu Bogu lewą ręką...

jednym biegunie doceniony przez UNESCO wspinały gest Włodzimierza Lubańskiego, który, zamiast staranować duńskiego bramkarza w Chorzowie, wolał go w dogodnej sytuacji strzeleckiej przeskoczyć. Z drugiej strony – postępek Jana Furtoka. Ten obyty w świecie napastnik potraktował honor diametralnie inaczej od Lubańskiego. W roku 1993 na stadionie Widzewa wbił piłkę ręką do bramki potentata piłkarskiego z... San Marino.

Dar od Boga

Tylko dla cyników okolicznością łagodzącą paskudztwo mogło

wet w autobiografii „Yo Soy El Diego” nadal urządził kpiny. „Cudowny gol. Cudowny gol. Poszedłem do kościoła i płakałem. Powtarzam: nie mam zamiaru powątpiewać w uczciwość sędziego” – tyle miał do powiedzenia geniusz, który, odsłaniając twarz oszusta, łaskawie „zapomniał” o skromnym udziale własnej ręki w aferze.

Jednak Maradona wystarczająco często wpadał jako piłkarz do ryszotki, aby po meksykańskim incydencie czymkolwiek zdeprawować świat futbolu.

Klinsmann też

W przypadku Raula rzecz jest przykra i zarazem zdumiewająca. Wydawało się bowiem, do meczu z Leeds snajper jest akurat ostatnią osobą zdolną do tak nikczemnego postępku. Pozory jednak mylą, co zresztą odnosi się nie tylko do Raula. Dwa lata temu zszedł ze sceny wielki futbolowy aktor, Jürgen Klinsmann. Gracz świetny i uwielbiany nie tylko w Niemczech; w Anglii – jako filar Tottenham Hotspurs – również. Słusznie uważano go za człeka ułożonego, rozdającego uśmiechy na lewo i prawo, trzymającego fason w każdej okoliczności. Niestety, zdarzył się smutny wyjątek. W roku 1993 AS Monaco, w którego barwach występował wtedy Klinsmann, w ramach Champions League grało z AC Milan. W pewnym momencie włoski stoper, Alessandro Costacurta, mocno kopnął piłkę, ale od jego buta do twarzy Klinsmanna było jeszcze z 6 cali. „Klinsi” padł jak po prawym sierpowym Mike’a Tysona. Bogu ducha winny Costacurta wyleciał z boiska, co wykluczyło

udział defensora Milanu w urzekająco pięknym finale przeciwko Barcelonie, którą mediolańczyk rozgromili w Atenach 4-0.

Co robić?

Przy okazji sprawy Raula pojawił się podstawowy problem: co w takich przypadkach robić? Oto inny wielki futbolista, Portugalczyk Luis Figo, też okazał się w meczu z Leeds nielichem cwaniakiem. Celowo zainkasował żółtą kartkę, by nie grać w nieistotnym spotkaniu z Anderlechtem. Dzięki temu Figo jest teraz czysty jak łąka na dalszą, najbardziej istotną fazę rywalizacji w Champions League. Raula skazano (umiarkowanie), na Figo nie znaleziono żadnego „haka”.

Wypada wierzyć, że władze piłkarskie wciąż szukają skutecznego sposobu na oszustów. I że antidotum będące lekiem na całe



15 lat po Maradonie Raul Gonzales (z siódmką) poszedł w ślady mistrza

zło wreszcie zostanie znalezione. W tym również na bramki zdobywane ręką zamiast głową. Bezpośrednie korzystanie przez sędziów technicznych z zapisu wideo (oczywiście tylko w sytuacjach kluczowych) powinno naszym zdaniem pomóc futbolowi.

Przypadek Wengera

Właściwy kierunek zmian wskazał dwa lata temu znakomity menedżer londyńskiego Arsenalu, Arsene Wenger. W szóstej run-

dzie Pucharu Anglii przeciwnikiem Arsenalu był Sheffield United. Na kwadrans przed końcem było 1-1. Wtedy jeden z graczy Sheffield zaniemógł. Pomocnik „kanonierów”, Ray Parlour, zwyczajowo odkopnął piłkę rywalom, ale tę niespodziewanie przejął debiutujący w Arsenalu Nigeryjczyk, Nwankwo Kanu. Podał do Marca Overmarsa i ten dopełnił formalności.

Widownia wpadła w furję, Arsenal wygrał 2-1. I wtedy do ak-

cji wkroczył Wenger, przepraszając za niecny postępek własnych piłkarzy i wnosząc o powtórzenie meczu. Władze FA wyraziły zgodę, funkcjonariusze FIFA kręcili nosami. Formalnie nie stało się przecież nic złego. Jedyna w świetle prawa możliwość powtórzenia meczu otwiera się wyłącznie wtedy, gdy arbitrowi złamie przepis. Racje angielskiej federacji na szczęście przeważały. W powtórzonym na wniosek coacha drużyny zwycięskiej meczu prowadzony przez Wengera Arsenal znowu zwyciężył 2-1.

Jakie wartości wygrały przede wszystkim – dopisywać nie trzeba. A kibice powinni się modlić o to, aby Bozia odejmowała na boisku ręce Maradonom i Raulom, a zsyłała na futbolowy padół samych Wengerów.

JERZY CIERPIATKA
WIESŁAW KRAJ

Bogurodzica

PIOTR BARON QUINTET

Piotr Baron - saksofon, Piotr Wojtasik - trąbka, Artur Dutkiewicz - fortepian
Dariusz Oleszkiewicz - kontrabas, Kazimierz Jonkisz - perkusja

26. marca - Warszawa • klub Riviera Remont
27. marca - Łódź • klub Jazzga
28. marca - Przemyśl • MCK - klub Niedźwiadek
29. marca - Zamość • klub Kosz

30. marca - Tarnów • Kościół Księżych Misjonarzy
31. marca - Warszawa • Program III PR
Studio im. A. Osieckiej
01. kwietnia - Lublin • klub Hades

szczegóły na plakatach

ELEKTROWNIA
TURÓW S.A.

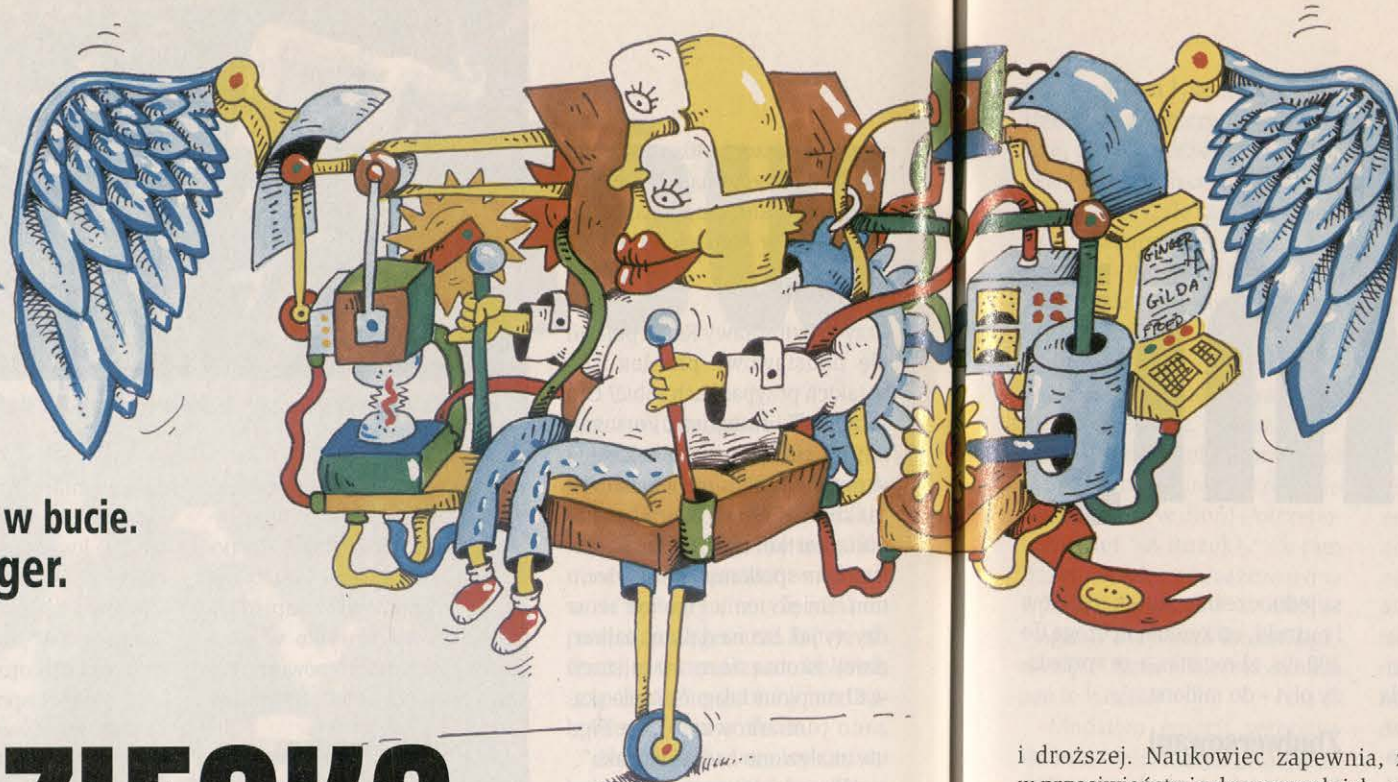
inter
card
DRUKARNIA

program
POLSKIE RADIO SA

ZYCIE

PRZE
KROJ

Na nowe milenium dostaliśmy niewygodny upominek. Prezent, który daje temat do rozmów tysiącom ludzi. Prezent, który uwiera jak kamyk w bucie. Ten kamyk nazywa się Ginger.



TAJNE DZIECKO JAJOGŁOWYCH

Zaledwie kilka osób wie, czym to jest, jak wygląda i czy w ogóle istnieje. Ścisłe grono szczęśliwców to wierzuszka światowego biznesu i nauki: najbogatszy Amerykanin – Bill Gates, szef internetowej księgarni Amazon – Jeff Bezos oraz Steve Jobs, twórca potęgi firmy Apple.

Wszyscy oni są zgodni: Ginger zmienia wszystko. Świat, w którym żyjemy i nas samych. Nasze miasta i drogi. Nasz sposób myślenia. A Bezos, bez wahania i z amerykańskim uśmiechem, pierwszy zainwestował w przedsięwzięcie 10 mln dolarów. Nic dziwnego – chwilę wcześniej stwierdził, że autor wynalazku niedługo będzie zamożniejszy niż cała wymieniona trójka.

Łebski krezus

Sprawca światowego zamieszania nazywa się Dean Kamen. I chyba nie narzeka na pustki w portfelu. Do pracy podróżuje własnym śmigłowcem. Jest jednym z tysięcy amerykańskich milionerów.

– Jestem naukowcem, odkrywca i mecenasem nauki – mówi o sobie Kamen. I na pewno żaden z niego hochsztapler. Choć samouk – nie ukończył college'u, mimo że sam jest wykładowcą – w swoim dorobku



Dean Kamen, sprawca światowego zamieszania

ma ponad 50 patentów. Trzy lata temu został laureatem nagrody Hoovera przyznawanej za wybitne osiągnięcia w dziedzinie ochrony zdrowia. Jest autorem tak przełomowych wynalazków, jak: automatyczna strzykawka, przenośny aparat do dializy i „i-Bot”, czyli rewelacyjny, naładowany elektroniką wózek inwalidzki, który pozwala na wjeżdżanie i zjeżdżanie po schodach, podróże po piasku czy żwirze. Bez ryzyka upadku. Prezentując pojazd w Paryżu, konstruktor osobiście pokonał nim trasę z podziemi metra do restauracji w połowie wysokości wieży Eiffla.

Dean Kamen jest typem klasycznego naukowca. Anglosasi nazywają takich „nerd”, czyli „jajogłowy”. Jego szkolni koledzy wspominają, że zamiast czytać komiksy czy zbierać baseballowe karty, wołał studiować opaste tomy Newtona i Pascala. Dziś jest 49-letnim samotnikiem, pochłoniętym pracą naukową i prowadzeniem własnej firmy badawczej – DEKA Research. Odludkiem, wiecznie ubranym w dżinsowy komplet. Pustelnikiem tak oderwanym od życia, że na obiedzie u prezydenta Clintona nie rozpoznał Shirley MacLaine ani Warrena Beatty. Trudno uwierzyć, że to Kamen ma być człowiekiem, który wstrząśnie światem.

Zbudujemy nowe miasta

O Gingerze prawie nic nie wiemy. Ci, którzy go widzieli, są związani tajemnicą milczenia. Sam Kamen zamknął buzię na kłódkę, a kluczyk wyrzucił. Zanim jednak to zrobił, zdradził – zapewne dla podgrzania atmosfery – kilka ogólników.

Otóż wynalazek poznamy w przyszłym roku. Jego cena nie przekroczy 2 tys. dolarów – to chyba niewiele jak na przełomowy wynalazek, zwłaszcza że pojawi się w dwóch wersjach – tańszej

i droższej. Naukowiec zapewnia, że w przeciwieństwie do poprzednich, nowy produkt nie ma nic wspólnego z medycyną. Dodaje też, że jego premiera może poważnie uszczuplić zyski wielkich koncernów – co doskonale tłumaczy tajemność „sprawy Gingera”.

Nieco mniej powściągliwi są inni wtajemniczeni. Opowiadają, że Dean Kamen podczas prezentacji wniósł do pokoi dwie torby. Po czym, śrubokrętem, w 10 minut zmontował dwie wersje – standardową o nazwie Pro i uboższą, ochrzczone mianem Metro.

Brzmi to mało wyszukanie. Ale wypowiedzi świadków zdarzenia są tak entuzjastyczne, jakby już samo użycie śrubokręta było odkryciem na miarę nowego tysiąclecia. Padają z ich ust zdania, których zwykle się nie wypowiada. Że Ginger to coś, co będzie ważniejsze od komputera i Internetu. Że trzeba będzie przeprojektować miasta i drogi. Że istniejące standardy – techniczne, prawne i kulturowe – odejdą do lamusa i będziemy potrzebować nowych. I że produkt już w pierwszym roku sprzedaży przyniesie więcej zysku niż jakakolwiek rzecz w historii.

Tańcząca niewiadoma

Tak naprawdę Ginger nazywa się inaczej. Dean Kamen i inni zatrudnieni przy projekcie nazwali go „IT” – po polsku „To”. Obiegową nazwę ukuły media, sugerując się wspomnianym już i-Botem, którego wcześniejsza nazwa brzmiała „Fred”. Skojarzyły oba produkty ze słynną parą tancerzy – Fredem Astaire'em i Ginger Rogers. Tak powstało imię naszej tajemnicy.

Także media zaczęły łączyć fakty i stworzyły dość spójną, choć mocno wybrakowaną układankę. Wyszperały patent Deana Kamena i kilku innych naukowców, złożony w amerykańskim urzędzie w 1999 r., który dotyczy urządzenia służącego „do przewożenia ludzi po nawierzchniach, które mogą być nierówne”. Wniosek był jeden: to urządzenie transportowe.

I zaczęła się burza spekulacji. Spekulują gazety, niewtajemniczeni naukowcy i zwyczajni internauci. Ginger ma być na przykład urządzeniem do teleportacji. Albo czymś na kształt perpetuum mobile. Albo uniwersalnym pasem transmisyjnym. A nawet silnikiem raketowym ukrytym w plecaku. Bardziej przyziemne idee też są niczego sobie: na przykład lewitująca deskorolka, tudzież stuprocentowo ekologiczny samochód. Zaś internetowy magazyn „Wired”, wyrocznia dla zainteresowanych nowoczesną techniką, z dumą donosi, że już prawie wie: to będzie niewyrotny, pokonujący wszystkie krawężniki skuter.

Technologiczny suspens

Bomba zaczęła tykać, gdy do prasy przeniknęła wiadomość, że jedno z poważnych amerykańskich wydawnictw zapłaciło ćwierć miliona dolarów za wyłączność na opisanie historii Gingera.

Kamen studzi zapal prasy i opinii publicznej.

– Przecieki o napisaniu książki sprawiły, że kilku prominentnym postaciom przypisano słowa wyrwane z kontekstu, pomijając ich wątpliwości i bardziej wyważone opinie. To, w połączeniu z uduchowionymi spekulacjami na temat nieznanego, wzbudziło przesadne oczekiwania – powiedział w swoim oświadczeniu dla mediów.

Co to znaczy? Czy to prawda, czy fałszywa skromność? Lęk przed konkurencją czy dokładnie zaplanowane dolewanie oliwy do ognia? Marketingowy chwyt czy chęć powstrzymania huczących plotek?

Poczekajmy. Miejmy nadzieję. Bądźmy dobrej myśli. Módlmy się, by był to prawdziwie epokowy wynalazek. W przeciwnym bowiem wypadku okaże się, że zrobiono z nas wszystkich milenijnych idiotów. I że Dean Kamen z przyjaciółmi, ze złośliwym uśmiechem nabił nas w Gingera.

ROMAN POLESEK
rpolesek@wp.pl

Biuro Podróży **JORDAN**

ZAPRASZA DO KORZYSTANIA Z NOWEJ, KONCESJONOWANEJ

LINII AUTOKAROWEJ



KRAKÓW - WIEDEN - LINZ - SALZBURG

Wyjazdy z Krakowa w piątki o godz. 20.00

Wyjazdy z Salzburga w soboty o godz. 16.00

UWAGA!

Możliwość połączeń z Wrocławiem, Katowicami, Tarnowem, Rzeszowem z przesiadką w Wiedniu.

INFORMACJE I SPRZEDAŻ BILETÓW M.M.

KRAKÓW, ul. Sławkowska 12, tel. 012/ 422 20 33, w godz. 10.00 - 18.00

WIEDEN, Südbahnhof - kiosk biletowy, tel. 01/ 796 85 52 12, w godz. 17.00 - 21.00

SALZBURG, Rudolf Biebl Str. 43 tel. 0662/42 10 84, pon., śr., pt. w godz. 12.00 - 17.00 wt., czw. w godz. 17.00 - 20.00

Ponadto polecamy przejazdy do:

Austrii (Wiedeń)
Belgii (Liege, Charleroi, Bruksela, Antwerpia, Genk)
Holandii (Hengelo, Utrecht, Amsterdam, Haga, Rotterdam Breda)
Włoch (Mestre, Wenecja, Verona, Bolonia, Brescia, Mediolan, Genua, Turyn, Rzym, Florencja, Neapol, S. Giuseppe)
i na Węgry (Budapest, Vác)

CAŁOROCZNE CHATKI GÓRALSKIE

Zakopane Kościelisko-Kiry (u wylotu Doliny Kościeliskiej)

Chatki 2 - 6 osobowe
Cena od: 60 zł/chatka/noc

Rezerwacje: Biuro **JORDAN**
tel. (012) 421 53 13, 429 36 01
turystyka@jordan.krakow.pl

Pomyśl, napisz i kliknij

Tysiące ludzi w Internecie
codziennie wyraża swoje opinie
na wszelkie możliwe tematy

Wszystkie portale dają możliwość skomentowania każdej wiadomości. Najwięcej emocji wzbudzają: polityka, sprawy Kościoła, sport i rozrywka. Bywają opinie wyważone i skrajne, pisane poprawną polszczyzną i z bykami ortograficznymi. Cenzuralne i pełne inwektyw.

Zarobki gwiazd

Koniec lutego, początek marca 2001. Wchodzę na www.onet.pl, a później na www.wp.pl. Chcę poczuć emocje, jakie szarpały w tym dniu moimi rodakami. Onet zamieszcza duży tekst, opisujący zarobki gwiazd show-biznesu.

„Najbardziej popularni ulubieńcy mediów, w dodatku pracownicy, zarabiają rocznie po kilka milionów złotych. Rekordzistą jest komik Marcin Daniec (...), otrzymuje stawki od 25 tys. za występ, a występuje 250-300 razy w roku, po potrąceniu kosztów agencji (10-20 proc.) wychodzi ponad 6 mln zł – i nawet po odliczeniu ok. 25 proc. kosztów własnych (ekipa techniczna, menedżer, itd.) zostaje mu niezła suma. Tuż za nim na drabinie zarobków są popularne piosenkarki. Najbardziej opłacają im się imprezy sponsorowane. Edyta Górniak i Kayah za występ biorą po ok. 40 tys. zł, nieco za nimi Urszula i Kora (po ok. 30 tys. zł), Justyna

Steczkowska i Maryla Rodowicz (ok. 25 tys. zł). Imprezy z biletami przynoszą kilkakrotnie mniejsze wpływy, za to czasem wpada coś ekstra, np. koncert sylwestrowy, na którym można dorobić nawet 200 tys. zł za trzy półgodzinne koncerty (Kayah), a w gorszym przypadku 70 tys. zł (Steczkowska).

Gwiazdy piosenki zarabiają także na sprzedaży płyt. Rekordzistą jest Budka Suflera, która na łącznej sprzedaży ponad miliona płyt zarobiła ok. 5 mln zł z tym, że kwota dzieli się na pięciu. (...) W podobnej sytuacji są Kayah, Anita Lipnicka, Edyta Bartosiewicz, Kora czy Justyna Steczkowska. Wykonawczynie, które

są jednocześnie autorkami słów i muzyki, otrzymują tą drogą do 200 tys. zł rocznie, a ze sprzedaży płyt – do miliona...”

Zbulwersowani

Internauci są zbulwersowani. Wyraźnie widać, że ich sympatie byłyby po stronie gwiazd popularnych – lecz biedniejszych. Komentarze są ostre:

* Nie dziwię się, że przewraca im się w głowach... * Jak to jest, że jedni nie mają co jeść i gdzie mieszkać, a inni nie mają pracy, a inni za zdjęcie biorą astronomiczne sumy? Straszne!!! * To skandal, że Daniec jest na początku tej listy. * To MY za to płacimy, tylko pośrednio! * Steczkowska nam powinna płacić... * Kiedyś Kazik śpiewał: wszyscy artyści to p..., chyba to prawda! * Słuchając Steczkowskiej, zaczynam rozumieć ludzi popierających piractwo... * To miło słyszeć, że w Polsce osoby publiczne tak wiele zarabiają, ale tym bardziej przykry jest fakt, że inni – pracując dzień w dzień od rana do wieczora, zarabiają miesięcznie dzienną stawkę w najniższym pułapie przeciętnej aktorki. * Jeśli są tacy, którzy dają, to dlaczego nie brać? * Oni zarabiają tyle, bo to wy chodzicie na filmy, kupujecie płyty!!!

Podobnie jak całą Polskę, tak i Internet opanowała małyszomania. Kilkaset opinii towarzyszy wywiadowi Małysza dla Wirtualnej Polski przed – i po Lahti: * Jeśli Małysz nie wygra w Lahti,

obetnę się na tyso... * Gwarantuję ci, że zaoszczędzisz pieniądze na fryzjerze! * Tnij!!!!... * Drugie miejsce to pierwszy PRZEGRANY, ale i tak jest najlepszy. * Załamać się idzie... * Małysz jest the beściak, a tak na marginesie to ciekawe, co bierze, że tak daleko...

Codziennym, rutynowym wiadomościom też towarzyszy mnóstwo emocji. Janusz Tomaszewski uniewinniony przez Sąd Lustracyjny. Komentarze: * Janusz, szabla w dłoń! Potrzebujemy Cię! * A Buzek? * Co tam Buzek, Bolek...! * Jeszcze jedna wpadka „geniuszy” z AWS!!! * Agenci wszystkich krajów, łączcie się! * Panie Nizieński, skończ pan te harce!!!

Mnóstwo emocji wzbudza skromna informacja: „Watykan: na konsystorzu godność kardynalską otrzyma 44 duchownych”. Aż 57 internautów żołądkuje się na potęgę, używając niecenzuralnych określeń. Liczba kardynałów wydaje im się za duża. Ktoś gniewnie spuentował: „Wirtualna Polska powinna zająć się wypowiedziami obrażającymi Papieża”. Ale Wirtualna Polska, podobnie jak inne portale, ogranicza się do podkreślenia, że „nie ponosi żadnej odpowiedzialności za wypowiedzi użytkowników”.

Szaleją

Internauci szaleją po przeczytaniu skromnej informacji, że Lech Falandysz chce pozwać ministra Kaczyńskiego po ogłoszeniu, że prezydent Wałęsa ułaskawił niegdyś gangstera „Słowika”. * Nie dość, że macie brudne łapska, to jeszcze, chamy, głosujecie!!! * A pamiętacie jasną pomroczność? * Panowie, nie róbcie jaj, skończcie z pieniactwem...

W dziale rozrywka mnóstwo opinii – na ogół sprzecznych: „Kanibal za 140 milionów dolarów”. „Hannibal” w ciągu 11 dni od premiery przyniósł 140 milionów dolarów dochodu. Wpływy z „Hannibala” lokują go na razie pod koniec pierwszej piędzi siatki najlepiej sprzedających się filmów wszech czasów. Pierwsze miejsce od 1997 roku zajmu-

je „Titanic”. Najbardziej kasowym tegorocznym filmem w Polsce jest komedia z Melem Gibsonem i Helen Hunt „Czego pragną kobiety”.

I pierwsze głosy: * Byłam na tym obrzydliwym filmie i jestem wstrząśnięta. Mówię pornografii stanowcze nie. Pokazywanie M. Gibsona z gołym „interesem” przekracza granice dobrego smaku. * Gibson z...?! Na jakim filmie, kobieto, byłaś?!!! Film zasługuje na polecenie. Nie ma tam żadnej pornografii, a co do gołego, to chyba mamy bujną wyobraźnię, co? * Co ma wspólnego Kanibal z Hanibalem, przecież on tylko zjadł jedną ludzką wątróbkę i żeby od razu Kanibal, to trochę przesada, czyż nie tak?

Amerykańska sieć informacyjna CNN ujawniła, iż urządzenia radiolokacyjne okrętu podwodnego „USS Greenville”, już na godzinę przed zderzeniem z japońską jednostką rybacką, wykryły obecność szkoleniowego kutra w rejonie manewrów. * Kto jest winien kolizji? Oczywiście, że Japończycy! * Dobrze, że to nie Rosjanie, bo by ich zlinczowali... * Arogancja, nieposzanowanie cudzego życia, poczucie bezkarności. Na wszystko to Amerykanie dają dowody w codziennym życiu i polityce...

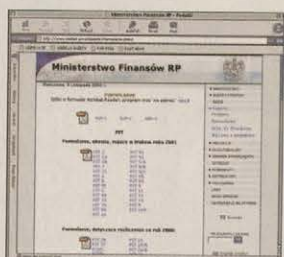
Rozkoszni

Internauci z rozkoszą dzielą się swoimi opiniami na każdy temat. Kto to czyta? Są tacy, którzy wolą je od oficjalnych komentarzy – gdyż mówią one więcej o stanie naszych umysłów niż wyważone opinie profesjonalistów. Zapewne psychologowie też chwalą ideę, która pozwala odreagować strach przed światem i stres, że musimy w nim żyć. A zresztą, na kilkanaście opinii mocno skrajnych pojawia się jeden głos rozsądku – jak w życiu. A czy w naszym parlamencie proporcje między rozumem a głupotą są lepsze...?

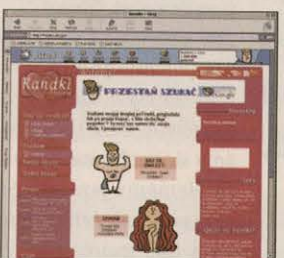
DOROTA TERAŁOWSKA
<http://terakowska.art.pl>



NA POLSKĄ NUTĘ
Wyszukiwarka plików MP3 po polsku i na polskich serwerach to kolejna alternatywa dla Napstera. Oprócz niej w witrynie znajduje się serwis informacyjny z muzycznymi aktualnościami. Można też podyskutować. Po koncercie Marilyn Mansona było bardzo żywo. W dziale „Legalez” – zbiór plików MP3 polskich wykonawców wszystkich nurtów muzyki, od techno po heavy metal, raczej tych, co o sławę dopiero zabiegają.
<http://nuta.pl>



DLA CIEBIE, PODATNIKU!
Oglądając stronę Ministerstwa Finansów podatnik może nawet będzie dumny z tego, że to on jest jej sponsorem. Wita nas informacja o inflacji w ostatnim miesiącu. Oprócz wiadomości o PIT-ach i instrukcjach dotyczących ich wypełniania można pobrać pliki z formularzami zeznań podatkowych, przejrzeć ustawę budżetową lub informacje o zadłużeniu państwa. Można wysłać e-mail do ministerstwa lub przeszukać zakamarki witryny za pomocą podręcznej wyszukiwarki. Ciekawe tylko, co miała na myśli osoba, która wymyśliła adres tej strony. Nie jest to przecież ani skrót nazwy resortu, ani angielski jej odpowiednik.
www.mofnet.gov.pl



RANDKA W CIEMNO
Można szukać dziewczyny lub chłopaka według wieku albo regionu zamieszkania. Można znaleźć partnera, kochanka, przyjaciela lub kumpla. Można też zamieścić swoje dane i czekać na maila. Oprócz tego – przeczytać horoskop dzienny i dowiedzieć się, czy akurat dzisiaj jest pogoda na miłość; podyskutować z innymi, np. na temat „co w mężczyźnie jest najbardziej wkurzające?” lub wziąć udział w zabawnej ankiecie dotyczącej wierności. Kto jest wierny? – zdaniem internautów prym wiodą czterej pancerni i pies przed mężczyznami i wierną rzeką. Stawkę zamykają kobiety.
<http://randka.ahoj.pl/>



NIECH ŻYJE iMESH!
Napster nie umarł. Nie umarł do końca, choć sąd zakazał mu udostępniać utwory chronione prawem autorskim. Za pół roku ma ruszyć Napster płatny, o czym zdecydował jego nowy właściciel, Bertelsmann. Tymczasem powstają inne programy umożliwiające wyszukiwanie ulubionych utworów muzycznych. Jednym z nich jest iMesh. Piosenki można poszukać dzięki pobranemu programowi lub w wyszukiwarce znajdującej się na firmowej stronie.
<http://imesh.com>

MATYSOSS



Wiadomos' c' : [Druga seria odwo?ana - Ma?ysz zwycie. z' y?](#)

MARTIN SCHMITT JEST FAJNIESZY!!!

Jestem dumna z osia_gnie_c' Ma?ysza. Jednak MARTIN SCHMITT jst ?adniejszy !!!
Kaz'da dziewczyna i kobieta zwraca uwage, na wygl_d. Martin jest o wiele wiele wyz's Ma?ysza. I exstra babowy ma kolor w?osow!!! ?adnie sie_ ubiera i w ogole jest COOL!!!!
Tina (tinatwist@poczta.onet.pl)

OPINIE

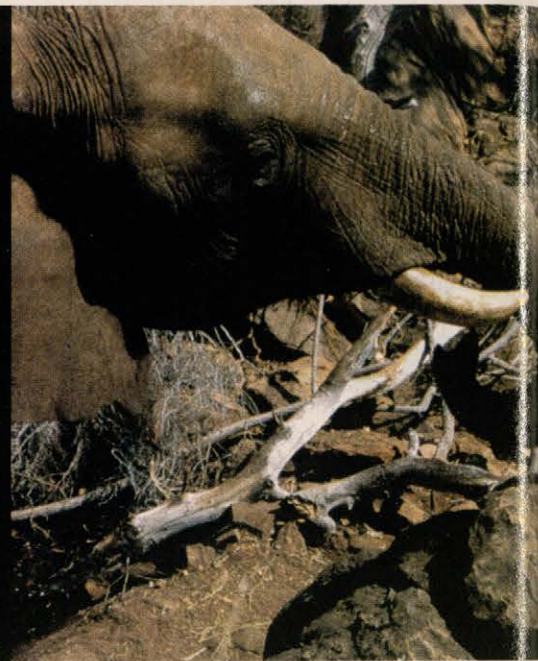
- ✉ [Shmitt is the best ! kocurek \(\)](#)
- ✉ [To sport nie polityka G \(\)](#)
- ✉ [Boski Ma?ysz! MoniaczekOsa \(Monia_czek@wp.pl \)](#)
- ✉ [Schmitt Parowa Matti Nykkannen \(\)](#)



Waldemar Dziński – producent

Henryk Sienkiewicz w polskim kinie (i serialu telewizyjnym) – wybór

- 1957 SZKICE WĘGLEM, reż. Antoni Bohdziewicz
- 1960 KRZYŻACY, reż. Aleksander Ford
- 1968 PAN WOŁODYJOWSKI, reż. Jerzy Hoffman
- 1973 W PUSTYNI I W PUSZCZY, reż. Władysław Ślesicki (także serial TV)
- 1974 POTOP, reż. Jerzy Hoffman
- 1999 OGNIEM I MIECZEM, reż. Jerzy Hoffman (w przygotowaniu – serial TV)



Karolina Sawka – Nel

Afrykańska opowieść romantyczna

Nasz film ukazuje
Czarny Ląd
widziany oczyma
kogoś stamtąd.

Mówi **WALDEMAR DZIŃKI**,
producent filmu

„W pustyni i w puszczy”:
Chcieliśmy zrobić przygodowy
film familijny, nie tylko dla dzieci,
ale również dla rodziców. Starali-
śmy się zachować wszystkie istot-
ne elementy powieści Sienkiewi-
cza, przy założeniu jednak, że ro-
bimy film współczesny. Nie intere-
sowało nas jedynie zilustrowanie
książki, która w dużej mierze nie

jest zgodna z dzisiejszą wiedzą
o rzeczywistości. Myślę, że wzięli-
śmy z Sienkiewicza to wszystko,
co jest esencją jego opowieści.
Kompozycja tego materiału właści-
wa jest filmowi, a nie książce.

Kiedy musieliśmy zdecydować,
kto przejmie reżyserskie obowiązki
chorego Macieja Dutkiewicza, wy-
braliśmy – spośród trzech kandyda-
tów – Gavina Hooda. Jest to, moim
zdaniem, twórca o kolosalną przy-

szłością, według „Variety” jeden
z dziesięciu najzdolniejszych mło-
dych reżyserów ostatniego sezonu.
Jestem przekonany, że nasz wybór
był dobry, że powstał dzięki niemu
bardzo interesujący film. W gruncie
rzeczy nie bardzo wypada mi za-
chwalać tę produkcję, ale ja ten film
lubię. Stało się przy tej okazji coś
ciekawego – można by to określić
jako szczęście w nieszczęściu – otóż
Gavin jest Brytyjczykiem, który wy-
chował się na afrykańskich far-
mach, patrzy na tamten świat jak
my na własne podwórko. Nasz film
ukazuje więc Afrykę widzianą oczy-
ma kogoś stamtąd. To nie jest spoj-
rzenie osoby nie mającej pojęcia
o tym kontynencie.

Fakt, że Gavin Hood wprowa-
dził zmiany do adaptacji Roberta
Bruttera i Macieja Dutkiewicza, to
wynik naturalnego procesu. Tekst
skrojony na miarę jednego reżyse-
ra niekoniecznie w pełni odpowia-
da innemu. Poprawki Gavina doty-
czyły głównie rytmu opowiadania,
zmian w niektórych dialogach, pu-
entowania scen. Podstawowa
struktura fabularna została oczy-
wiście zachowana.

Jakie będą recenzje? Nie wiem.
Będę je czytał z przyjemnością
i zainteresowaniem. Dla mnie naj-
ważniejsze jest, że chcieliśmy zro-
bić, najlepiej jak potrafimy, film dla
dzieci. Pokazać im w inny sposób
kawałek Afryki, a przy tym opo-
wiedzieć Sienkiewiczowską, czyli
polską, romantyczną, wzruszającą
opowieść. Mam nadzieję, że to się
w pewnym stopniu udało. Ton re-
cenzji będzie zależał od przyjętego
w nich punktu widzenia. Nas naj-
bardziej interesują wrażenia mło-
dego człowieka, siedzącego w kinie
razem z rodzicami i przeżywające-
go opowiadaną na ekranie historię.

Mówi **GAVIN HOOD**,
reżyser filmu:

Ciekawie wypada porównanie
Sienkiewicza z innym polskim pi-
sarzem – Conradem, który w „Ją-
drze ciemności” naprawdę dociera
do wnętrza tego kontynentu, do je-
go istoty. Sienkiewicz widział Afry-
kę jako mityczną krainę, oczywiście
miał o niej pewne pojęcie, ale po-
służyła mu ona przede wszyst-
kim jako tło dla opowieści, która
nie zawsze jest realistyczna. W fil-
mie próbuję równoważyć oba po-
dejścia. Nie jest to więc ani obraz
w pełni realistyczny, ani czysto mi-
tyczna historia.

Notował **MARCIN SENDECKI**



●●●

W **PUSTYNI I W PUSZCZY**

Ekranizacja młodzieżowej powieści Sienkiewicza A.D. 2000 prezentuje się całkiem
zacznie. Rzecz zainscenizowana jest pomysłowo i z nerwem. Południowoafrykański
reżyser Gavin Hood zasłużył na duże brawa. Nie do niego przecież kierować trzeba
pretensje, że film nie jest odrobinę dłuższy, że kilkakrotnie odnosi się wrażenie, iż ak-
cja rozwija się za szybko, przez co ginie obraz długotrwałej i mozolnej wędrówki ma-
łych podróżników. Skrócenie opowieści do półtorej godziny uczyniło zadość świętym
prawom dystrybucji, ale filmowi się nie przysłużyło. Tak czy inaczej, w ogólnonarod-
owej dyskusji, która niechybnie się rozpęta, ważniejsze będzie pewnie dociekanie,
czy twórcy mieli prawo pominąć w scenariuszu przesłanną „filozofię Kalego” i cywi-
lizacyjną misję Stasia, nawracającego tegoż na chrześcijaństwo. Dostosowywanie wi-
dowiska do wymogów politycznej poprawności jest niekiedy cokolwiek natrętne, ale

– generalnie rzecz biorąc – zrobiono to sympatycznie i ze smakiem. Nie zawiedli aktorzy. Najlepsi, strach powiedzieć, okazali
się groźni Arabowie, dobry jest Kali (Mzwandile Ngubeni). Dzieci są miłe, choć mają oczywiście lepsze (szczególnie Nel – Ka-
rolina Sawka) i gorsze momenty. Najslabiej, niemal groteskowo, wypadł Artur Żmijewski, ale dziecięca widowia – a dla niej
jest przecież ten film – leż z tego powodu ronić chyba nie będzie. (MS)

Reż. Gavin Hood, Maciej Dutkiewicz, Polska 2000

●●●●●●●●
SŁABE PRZECIĘTNE ZACNE ZNAKOMITE WYBITNE



POWRÓT IDIOTY

Na seansie ledwie pięcioro widzów. Na ekranie małe dramaty
w tematycznym i stylistycznym odwołaniu do małego realizmu
wczesnych obrazów Formana i Menzla, choć tutaj więcej
nastrojów elegijnych, a to za sprawą inspiracji postacią
z Dostojewskiego. Głównym bohaterem jest odbiegający od
normy boży prostaczek o obliczu zdziwionego zwierzątka,
osoba wykluczona i odrzucona. Mimo woli wpływa on na
przemianę grupy młodych – normalnych (?) ludzi. Sugestywny
portret fragmentu życia pokazany z goryczą, ale i z wolną
od złudzeń afirmacją; czuła kontemplacja twarzy bohaterów
przez kamerę oraz przekonujące, skupione aktorstwo –
to niepoślednie przymioty filmu. (TP)

Reż. Sasza Gedeon, Czechy 1999



WIAROŁOMNI

Drugi autobiograficzny scenariusz Bergmana nakręcony przez
Ullmann, towarzyszkę jego życia i ofiarę jego egotyzmu. Zna-
go na wylot, więc arcywernie oddała szczególnie ton
wiwisekji psychicznych, uzupełniając całość o bardzo ważny
kierunek spojrzenia, czuły i tragiczny: od strony małej Isabelle,
która doświadcza zdrady rodziców i rozpadu ich małżeństwa,
ponieważ mama ślepo zabrnęła w romans z neurotycznym
reżyserem. Któż zgadnie, co w nim skusiło Marianne? Ale to
właśnie on ma cechy samego Bergmana sprzed lat.
Scenariuszową spowiedź sfilmowano w scenerii samotni

autora na wyspie Farö. Opisana została jako historia powstająca w głowie starego pisarza nazwiskiem
Bergman. Owszem, za dużo tych teatralnych dodatków pirandellowskich i literackich, prawie
pretensjonalnych kombinacji z Erlandem Josephsonem wbijającym wzrok w przestrzeń wyobraźni – ale
całość przykuwa uwagę, jest cudownie zagrana przez Lenę Endre i wstrząsa ekshibicjonistycznym opisem
egoizmu zimnych wiarołomców. Po „Milczeniu” to najokrutniejszy film mistrza – i bodaj lepszy, niż gdyby
go reżyserował osobiście. (AG)

Reż. Liv Ullmann, Szwecja/Włochy/Niemcy 2000

Capisz fajami

Biegłych jeno w tradycyjnej polszczyźnie objaśniam
od razu, że tytuł oznacza „jesteś waszmość zataba-
czony”. W akcji odstręczenia małolatów od palenia
zapropozowała takie hasło należna organizacja, lecz
grona pedagogiczne orzekły, że są przeciwnie wy-
pędzaniu Rokity Belzebubem, czyli perswadowaniu
ordynarnym językiem (i tym bardziej wulgarnymi ry-
sunkami ilustrującymi obrzydliwość używek). Racja
to czy nie? Inaczej: czy łomot słowny, powszechnie
dziś dudniący na co dzień, pomaga nam odreagować
stresy i trzeźwiej widzieć stan rzeczy, czy wpędza
w zdziwienie?

Łomot zaczął dobiegać z Ameryki, przenoszony przez
ekrany kinowe, i wciąż się, od 30 lat, potęguje. Bez
wątpienia winna jest wolność. Złote czasy słowa
„fuck” przyszyły z kontestacją. Mowa bez granic była
znakiem odrzucenia potulnej hipokryzji ojców w wy-
ścigu po dolary. Rychło jednak i radośnie zapelnili tą
mową wszystko, co się da, bossowie z Hollywoodu,

oczywiście dla dolarów: kasę kin robi przecież mło-
dzież. A ponieważ film daje wzory oku i uchu (już na-
si pradziadkowie uczyli się całować jak Valentino)...
Ale czy chodzi o wyrazy, jakich się używa, czy o ob-
jawianie nimi złych emocji? O luz czy o nienawiść?
Tadeusz Różewicz (a nie jest to ktoś piszący dla
grzecznych dzieci) zdradził przerażenie głupotą i za-
jadłością publicznych wypowiedzi. Pyta, jak wpływa-
ją na naszą agresję i anarchię czynną. Wpływać bo-
wiem muszą. Od słów do czynów.

Wprowadzanie mocnych słów tam, gdzie mają potę-
gować podłe myśli, wiedzie zapewne w tępe barba-
rzyństwo. Nie tylko zaciera różnice formy i treści, i nie
tylko skutkuje zdziwieniem codziennych manier. Do-
wodu pośredniego dostarcza najbardziej podobno
wulgarny język europejski. Który? Proszę zgadnąć.
Właśnie z tego powodu „chamskie kino polskie” po-
przedniej dekady służyło niedobrej sprawie. Może
przysłużyłoby się więcej oporu przeciw temu, że na-
sze kasowe filmy tak capią bluzgami?

ADAM GARBICZ

ZAPOLSKA KONTRA ZAPOLSKA

O czym jest „Żabusia”? Żona-trzpiotka zdradza pocziwego męża-pantoflarza. Kochan-kiem okazuje się narzeczony szwagierki. Narzeczony tchórzy, szwagierka odchodzi ze złamanym sercem, a rodzinna sielanka trwa nadal. Jak to u Zapolskiej – banalna historia kryje tragedię, a autorka piętnuje mieszczańską moralność.

Na scenie widzimy apartament z przełomu XIX i XX wieku, w którym panuje typowy dla mieszczańskiego gustu eklektyzm – obok stylowych mebli kiczowata figurka pieszka, gipsowe popiersie, plusze, koronki i złocene ramy. Mieszkanie pozbawione

jest ścian, podział na jadalnię, salon, kuchnię akcentują jedynie framugi drzwi. Scenografia stanowi ilustrację dramatu, bezlitosna satyra przenika ściany, za którymi prane są domowe brudy. Niestety – na tym inwencja twórców spektaklu się kończy. Zamiast dramatu, oglądamy paradę zużytych gagów i komicznych chwytów. Tempo w spektaklu kuleje, a komizm grzęźnie w dłużyznach. Dają się one we znaki zwłaszcza w pierwszym akcie, pomyślanym jako przygotowanie na zjawienie się głównej bohaterki. Pełne entuzjazmu wypowiedzi na jej temat

przeplatane są dochodzącymi zza sceny odgłosami miłosnej ekstazy, dobitnie wskazującymi, czym Żabusia zajmuje się w trakcie spacerów.

Trudno doszukiwać się głębszej psychologii w kreacjach postaci – niemal wszystkie to grubo ciosane, płaskie figury. Tylko Joannie Mastalerz udało się wzbudzić nieco zainteresowania uwielbianą przez wszystkich, a głupiotką i w gruncie rzeczy zepsutą Żabusią. Zapolska potraktowana jako pełna uroku ramotka zgubiła to, co wydaje się najistotniejsze – cieniowanie psychologicznego rysunku i drapieżną ironię obnażającą ludzkie śmieszności i wstydlive sekrety. „Żabusia” stała się historią ką wygrzebaną z babcinego lamusa.

JADWIGA ROŻEK

Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, „Żabusia” Gabrieli Zapolskiej. Reżyseria Jerzy Goliński. Premiera 2 lutego 2001.

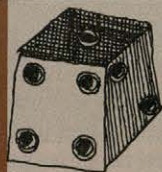


„Sanatorium Pod Klepsydrą”. Od lewej Jan Peszek, Irena Jun, Maria Peszek.

Przestawienie rozpoczyna burza odgłosów. Z nieładu uderzających o siebie dźwięków wyłania się miarowy stukot pociągu. To przybycie Józefa syna Jakuba (Rafał Maćkowiak) do miejsca, w którym przebywa jego Ojciec. Ten rytm jest klamrą przedstawienia, obudzeniem opowieści i jej zamknięciem.

Dziwaczne postacie na scenie to nie tylko pensjonariusze sanatorium, ale jednocześnie bohaterowie innych opowiadań Schulza. Emeryt (Stanisław Brudny) z przymocowanym do pleców krzesłem, Bianka z „Wiosny” (Maria Peszek) nosząca lusterko niczym pensjonarski tornister. Są tu nawet postaci, którym reżyser

nie pozwoli opowiedzieć swojej historii – pielęgniarzka (Izabela Szela) przypomina specjalizującą się w tresurze ludzi bohaterkę „Księgi”. Z historii Doda (Andrzej Mastalerz) pozostaje tylko jego krzyk. Józef podgląda je w lusterku, powołuje do zwierzeń lub działania odbitym w nim światłem.



W ZWIĄZKU Z NIKŁYM ZAINTERESOWANIEM TEGOROCZNĄ EDYCJĄ KONKURSU DRAMATOPISARSKIEGO IM. VILLQISTA I NIEWIELKĄ WARTOŚCIĄ ARTYSTYCZNĄ JEDYNEGO NADEŚLANEGO W TERMINIE UTWORU – JURY POSTANOWIŁO ŻADNYCH NAGRÓD NIE PRYZNAWAĆ. WYJĄTKOWO PUBLIKUJEMY CZTERY RECENZJE KONKURSOWEJ SZUKI. DRAMAT NOSI TYTUŁ „WESELE”, A JEGO AUTOREM JEST DEBIUTANT STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

1. Sztuka pana Wyspiańskiego bardzo mi się nie podoba, a nie podoba mi się z trzech, by tak rzec, powodów fundamentalnych: po pierwsze sztuki tej nie napisał Sławomir Mrożek. Po drugie – nie wyreżyseruje jej już nigdy Giorgio Strehler, bo w niebie, gdzie akurat reżyseruje, reżyseruje z pewnością inne sztuki. Trzeci powód fundamentalny jest wręcz dyskwalifikujący: niestety, ta sztuka nie jest o mnie.

PAWEŁ GŁOWACKI, „DZIENNIK POLSKI”

2. Pierwszy raz spotykam się z utworem w tak znacznym stopniu nasycenym literackimi cytatami, sentencjami i ludowymi powiedzonkami. Prawie każda kwestia sztuki brzmi dziwnie znajomo: „Cóż tam, panie, w polityce?”, „Chłop potęgą jest i basta!”, „A to Polska właśnie!”, „Pan się bojom we wsi ruch!”. Najpierw podejrzewałem autora o wirtuozerskie posługiwanie się kunsztowną formą centonu, potem jednak upewniłem się, że mamy do czynienia z bezczelnym plagiatem.

JACEK WAKAR, „ŻYCIE”

3. „Wesele” to, owszem, utwór ciekawy, ambitnie pomyślany, proponowałbym jednak panu Wyspiańskiemu kilka znaczących korekt. Proszę napisać wszystko jeszcze raz, ale prozą. Sztuka powinna mieć jednego bohatera, na przykład o imieniu Henryk. I tak na marginesie: „Ślub” to chyba lepszy tytuł.

JANUSZ MAJCHEREK, „TEATR”

4. Pierwsza sztuka Wyspiańskiego utrzymana, jak deklaruje autor, w modnej poetyce „teatru krwi i spermy” nie spełnia jej wymogów gatunkowych. Bohaterowie „Wesela” nie są ani sadystycznymi mordercami, ani chorymi na AIDS ćpunami. Na scenie nikt nikogo nie zabija i nie gwałci. Próbuje ukazać środowisko wiejskie, autor nawet nie zająknął się o narastającym problemie przestępczości nieletnich i homoseksualizmu wśród byłych pracowników pegeerów. To właśnie dlatego w sezonie 2000/2001 nie sięgnął po ten utwór żaden z młodych reżyserów. Obawiam się, że do prapremiery „Wesela” nie dojdzie nigdy.

ŁUKASZ DREWNIAK, „TYGODNIK POWSZECHNY”

Czy teatralny język Oskarasa Korunowsa jest bliski prozie Schulza? „Do obsługi każdego słowa, każdego czynu powołamy do życia osobnego człowieka”, mówił w „Sanatorium” Ojciec. Słowa te dotyczą większości bohaterów litewskiego reżysera. Nie interesują go pełnowymiarowe sylwetki, ale byty drugiej jakości: ułomne w języku, zwierzęco-ludzkie, nieustannie na skraju rozpadu. Zatrzaśnięci w klatce natrętnie powtarzanego gestu: Ojciec (Jan Peszek) macha liczydłami niczym ptasimi skrzydłami, ciało doktora Gotarda (Piotr Bajor) wygina się niezmienne w ten sam irracjonalny sposób. Można zarzucić Korunowasowi, że „przebiegli” po prozie Schulza, nie pochylając się prawdziwie nad żadnym motywem. Ale w spektaklu teatru Studio zwraca uwagę niezwykłość tworzącej go wyobraźni i pomysł reżysera, który pozamykał opowiadania Schulza w szklanych klatkach, każąc im opowiadać „siebie same”.

Schulz chciał dotknąć w swojej prozie fenomenu czasu, pragnął uobecnąć jego naturę. Korunowas zdradza podobną fascynację. W Sanatorium Pod Klepsydrą leczy się pacjentów cofaniem czasu do chwili, gdy jeszcze byli zdrowi. Aktorzy demonstrują to, mówiąc wstecz niektóre sekwencje, cofając się jak na przewijanej do tyłu taśmie filmowej. A jednak inspirujący motyw poddanego manipulacji czasu ograniczony zostaje do zgrabnego gagu. Nic nie wynika z podobieństw między bestiariem Korunowsa i Schulza: każda z postaci to tylko łatwo rozpoznawalny element reżyserskiego stylu. Nasycając nimi przestrzeń, Korunowas niczego nie wyjaśnia – stawia znak własności. Mówi: to jest moje przedstawienie. Odrzuca to, co mogłoby być najbardziej twórcze w jego spotkaniu z Schulzem i robi spektakl o... No właśnie – o czym? Prawdziwymi bohaterami przedstawienia są opowiadania Schulza. Nie ich treść, ale fantazmatyczne, leniwe obrazy.

MONIKA ŻÓŁKOŚ

Teatr Studio w Warszawie, „Sanatorium Pod Klepsydrą” Brunona Schulza. Reżyseria i scenografia: Oskar Korunowas, scenariusz: Rolandas Rastauskas, muzyka: Sarunas Nakas. Premiera 17 II 2001.

Mały, rudy, blady



Głowacki

Rocznik 1965. Krytyk. Krytykował wszystkich na łamach „Teatru”, „Tygodnika Powszechnego”, „Rzeczpospolitej” i „Dziennika Polskiego”.

101 lat temu przez całą noc weselną stał oparty o jedną z framug drzwi bronowickiej chaty. Powiadają, że nic nie jadł, nic nie pił, że nawet słowa nie raczył wycedzić, jeno tak stał i się gapił dziwnie jakoś, dziwnie i lodowato. Później jedni oznajmiają, że hipnotyzował realność, inni, że to ona jego czarowała niechcący. Wszystko jedno. Grunt, że skamieniał tam wtedy.

Makaron najdziwniejszych rytmów, skocznych i zaspanych, nawijał mu się na uszy. Papuzia migotliwość sukman, sukien, wstążek, świecących skór, zamglonych spojrzeń, wirujących płomieni naftowych, wszelakiej maści mięsów, chleba, masła i kiszonych ogórków – pysznie dziurawiła oczy. Kontredans parującego potu i gorzalki, co bezlitośnie rozsadała czaszki – wiorował w nozdrzach. Pewnie się kulił, słysząc mlask pysków, stawał pięścią Czepca miazdżonych. Czasem, gdy ktoś obok przemknął do sieni, by odsapnąć, łapał wióry fraz, których już nigdy nie miał zapomnieć. „Cóż tam, panie, w polityce?... Przyszła Mosiek na wesele... Jestem sobie pan, żurawiec... Tak się w każdym z nas coś burzy... Topi się, kto bierze żonę... Czepiłeś się chamskiej dziewczki?...” Była noc

listopadowa. Rano nie miał kaca. Wrócił do domu, wyjął kartkę i zmoczył pióro. Trochę trwało, jak postawił zdanie: „Miałeś, chanie, złoty róg...”. Odłożył pióro. Z tamtego, najzwyklejszego kawałka ludzkiej radości, pachnącej kielbasą, potem i gorzalką, wycisnął dramaturgiczną pestkę „Wesela”, pestkę o arcypolskiej fakturze i arcypolskim stęzeniu wewnętrznych napięć, rytmów i zakłęb. Dał zagwozdkę dla późniejszej naszej dramaturgii nie do przejścia.

Piękna, kragła jak każde zero rocznica prapremiery „Wesela” właśnie pękła. 100 lat! Więc? Więc trzeba uciekać! Trzeba się zaszyć gdzieś, zatkać uszy i oczy, trzeba nie być, trzeba się ratować. Kolejny cyrk jubileuszowych sympozjów „weselologicznych” już rozbił namiot, wolno rusza legion bombastycznych akademii, znów się o pestce nie do przejścia dowiemy szeregu nowych, nieoczekiwanych rewelacji, znów będziemy o parę kilo re-

feratów mądrzejsi. Rzecz jasna – nic w tym złego. Lepiej być mądrzejszym niż głupszym. Gorzej jednak, a właściwie tragicznie, gdy o teatr zapytać. Bo niby na czym mądrość teatru ma polegać? Ile „Wesela” w życiu przełknąłem? Z dziesięć. I co? Ano, każdemu z rzędu – wyłączywszy film Wajdy – coraz dalej było do „Wesela”. Coraz mniej świędu kielbas, gorzały i potu, coraz mniej namacalnie tnących uszy rytmów, coraz mniej tamtej zwyczajnie ludzkiej sensualności. Coraz więcej jak każdy papier suchego intelektualizmu. Niewiele skłamię, gdy powiem: „Wesele” jest już dziś jak pień do tyła zarosły interpretacyjną hubą uniwersytecką,

że oko wykol, a kory nie dojrzysz. I teatr łapie się na tego pożerającego istotę teatru grzyba. Teatr mozolnie brnie przez zwały mądrości i prawie nigdy nie dotyka sedna. Miast wiadomych chocholeń nut było już disco polo, były jakieś zdalnie sterowane zabawki, było napuszone, publicystyczne dyrdymalenie o współczesnych polskich niemożnościach, były telefony komórkowe, aluminiowe stoliki, jakieś wygibasy z żelazkami, jakieś wnętrzności rozprutych fortepianów, jakieś maniackalne na-

ginanie poezji do gorących tematów dzisiejszej ulicy, nawet narodził się spektakl w ogóle bez muzyki, było to, i jeszcze tysiące innych, równie lotnych chwytów prawą dłońią za lewe ucho było, a boskiego swądu kielbasy, gorzały i potu – co kot napłakał. Sensualność oryginału zdycha. Bezcielesne mędrkowanie śmiało podnosi fęb, co jest jak kiełisek z cieczą bez mocy. Czas umierać – woda destylowana na weselu!

Boy pisał: „Czy nie za wiele zaczęto na temat »Wesela« medytować, zamiast bawić się nim i wzruszać”. Zaiste. Może by więc tak teatr wreszcie przestał się wygłupiać? Może by zechciał mądrym być, zaczął omijać hubę, i na powrót stanął – jak ongiś „mały, rudy, blady” – w tamtej framudze? Żeby naprawdę powąchać, zobaczyć i usłyszeć. Żeby znów zacząć być zwyczajnie ludzkim.

PAWEŁ GŁOWACKI

ABSTRAKCJE

LUDZKIE DYWANY

9 marca w warszawskiej galerii Foksal otwarto wystawę prac Katarzyny Józefowicz. Artystka prezentuje trzy cykle: Miasta, Habitat i Dywan. Zainteresowanie budzi zwłaszcza ostatni. Zajmuje 25 mkw. i jest zrobiony z kilkuset tysięcy niewielkich twarzy i postaci ludzkich wyciętych z gazet. Prace nad takim dziełem trwają kilka lat.



FOT. PRZEMYSŁAW POŚCICKI/REPORTER

ANATOMICZNA ROZRYWKĄ

W Berlinie otwarto wystawę „Bodyworlds”. Jej twórcą jest niemiecki lekarz Günther von Hagens. Temat wystawy to ludzkie ciało. W sensie dosłownym. Hagens prezentuje widom prawdziwe, spreparowane ciała, które zostały podarowane „sztuce” przez ochotników. – Nie pokazuję czystej anatomii, moje prace to raczej anatomiczna rozrywka – mówi Hagens. Przedstawiciele niemieckich kościołów nie uznają za sztukę eksponowanych kości, mięśni i organów. Niektórzy krytycy prac Hagensa porównują go do nazistowskiego doktora Josefa Mengela.

OBIEKTYW

CAŁKIEM NOWE

■ HARUN FAROCKI. RETROSPEKTYWA

Eksperymentalne filmy jednego z najbardziej kontrowersyjnych twórców europejskich.

26–29 marca. Kraków, Bunkier Sztuki, pl. Szczepański 3a
www.bunkier.com.pl

TRWA

■ MARC CHAGALL. GRAFIKA

Wielkie cykle graficzne: „Biblia”, „Martwe dusze”, „Arabskie noce”, „Siedem grzechów głównych”.

Do 31 maja. Warszawa, Teatr Wielki, Muzeum Teatralne,
pl. Teatralny 1 www.teatrwlki.pl

OSTATNIA SZANSA

■ OD MANETA DO GAUGUINA.

Impresjonści i postimpresjonści z paryskiego Musée d'Orsay.

Do 25 marca. Warszawa, Muzeum Narodowe,
Al. Jerozolimskie 3

Sztuczne raje

Kateřina Vincourová robi sztukę inteligentną, sugestywną i nowoczesną. Mówi o tym, że nasz sztuczny raj nie jest wcale taki rajski, na jaki wygląda. Przewrotne wizje młodej gwiazdy czeskiej sztuki można oglądać w warszawskim CSW.

Artystka robi błyskawiczną karierę na europejskiej scenie artystycznej. Prace pokazane w Warszawie powstały podczas pobytu Vincourové na prestiżowym stypendium galerii DAAD w Berlinie. Wystawa zatytułowana jest „Hobbyraum”. Znaczący to mniej więcej „przestrzeń hobby” i opisuje zjawisko, które artystka zaobserwowała w Niemczech.

„Zacząłem się od sklepów dla hobbyistów hodujących małe zwierzątka. Zafascynował mnie ten osobliwy przemysł, który tam jest wyjątkowo rozwinięty. Sklepy oferują wszystko, o czym może zamarzyć właściciel terrarium lub akwarium – fototapety z naturalnym środowiskiem zwierzęcia, sztuczne rośliny, gadzety. Przypomina to budowanie sztucznego raju dla więźnia. Zacząłem fotografować owe namiastki środowiska naturalnego. Zdjęcia zapoczątkowały projekt „Hobbyraum”.

W centrum wystawy znalazły się fotografie dekoracji terrariów i akwariów. Zdjęcia umieszczone zostały w formach z przezroczystej, cienkiej folii. Małe dmuchawy pompują w nie powietrze, dzięki czemu folia utrzymuje kształt zbliżony do terrarium. Fotografie przedstawiają morskie głębiny z pirackimi statkami, pustynne pejzaże, obrazy dżungli wzbogacone sztucznymi roślinami. Tworzą mieszaninę kiczu, scenografii i egzotycznej romantyki.



„Zainteresował mnie brak krytycyzmu i powaga, z jaką podchodzi się do wystroju terrariów i akwariów. Ta estetyka kojarzyła mi się ze scenografią do Bondów czy filmów s.f. z lat 70. – z otoczeniem wyidealizowanym, niby nowoczesnym i zarazem nierealnym. Ludziom się to podoba. Starają się stworzyć dla uwięzionych zwierząt perfekcyjną namiastkę raju. A jak to widzą zwierzęta? Postanowiłam postawić widza na ich miejscu”.

Drugą część pracy również zainspirowały rzeczy znalezione przez artystkę w sklepie. Były to piłki, tyle że wykonane z futer pozostających pod ochroną fok. Do ich produkcji wykorzystano białe skóry małych foczek i czarne dorosłych zwierząt. Z czarnej, syntetycznej skóry przygotowano meble i rodzaj psiej budy. Wszystkie elementy artystka połączyła plastikowymi łańcuchami, do których, niczym kula do nogi, przy-

czepione są focze piłki. Odbiorca jest otoczony perwersyjnym luksusem – drogimi, choć odrażającymi ozdobami z foczych futer i obiektami, które łączą elegancję z sadomasochistyczną estetyką. Pracę dopełnia wykonana w sklepie fotografia, przedstawiająca piłki ułożone na wystawie i opatrzone cenami.

Wątek metaforycznej klatki na widza odnajdujemy także w następnej przestrzeni. Tu również nie jesteśmy pewni, czy powinniśmy się czuć jak władcy natury, czy jak zwierzęta doświadczać. Vincourová zaaranżowała obszerną salę, sugerując, że jesteśmy w klatce drapieżnego kota. Zwierzęcia nie widać, ale słyszemy jego ryki. Na ścianach ślady tuszczy i futra. Na podłodze leży niepokojąco duża miska, a w kącie odkrywamy kałużę moczu. Jednak najbardziej przykuwa uwagę sztuczna jaskinia prowadząca do następnego pomieszczenia. Pełni obaw, wchodzimy na czworakach do niskiej pieczary. Na jej drugim końcu odnajdujemy jednak nie drapieżnika, lecz cztery monitory. Filmy przedstawiają laboratoryjne myszki biegnące bez końca w obracających się kulach. Znów jesteśmy panami sytuacji, czujemy jednak zażenowanie – przed chwilą sami byliśmy doświadczalnymi myszkami.

Vincourová opowiada o pozornej wolności, zniewoleniu i klaustrofobii. Sztuczne raje Vincourové, które budujemy dla zwierząt, rażą fałszem i niepokojąco przypominają te, które tworzymy dla siebie.

STACH SZABŁOWSKI

Kateřina Vincourová: „Hobbyraum”.

Centrum Sztuki Współczesnej

– Zamek Ujazdowski w Warszawie.

6.03 – 8.04.2001.

300 słów KATARZYN KOZYRY

38 LAT, JEDNA Z CZOŁOWYCH POLSKICH ARTYSTEK, LAUREATKA WYRÓŻNIENIA HONOROWEGO NA MIĘDZYNARODOWYM BIENNALE SZTUKI W WENECJI W 1999 ROKU.

ŚWIĘTO WIOSNY

Dwa i pół roku temu zobaczyłam w telewizji program o balecie „Święto wiosny”. Pierwszą z pięciu omawianych choreografii był balet Wacława Niżyńskiego z premierowego przedstawienia z 1913 r. Premiera okazała się skandalem, co spowodowało, że balet przepadł na prawie 70 lat. Millicent Hodson i Kenneth Archer pracowali prawie 10 lat nad jego odtworzeniem. To, co oglądałam, to były już zrekonstruowane i wystawione fragmenty. Byłam zafascynowana historią, podziwiałam tych ludzi, a przede wszystkim choreografię, która przypominała kukielki poruszane sznurkami.

POMYSŁ

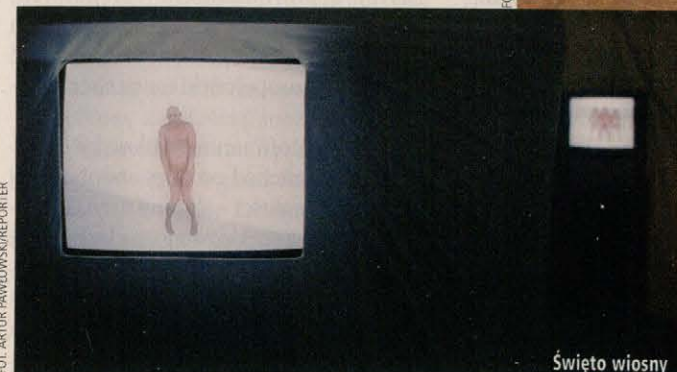
Uznałam, że można by wykreować fragmenty tej choreografii w technice animacji, gdyż wyraźnie dotarł do mnie dwuwymiarowy charakter ruchów. Tak przyszedł mi do głowy ten pomysł.

Razem z Ewą Łuczak, specjalistką od animacji, rozpoczęliśmy pracę nad animowaniem pierwszych 30 sekund „Świętego tańca”. Nie miałam pojęcia o balecie, moi „tancerze” (starzy ludzie wybrani podczas castingu) też nie mieli. Taka jest część idei: zwykli, starzy ludzie wykonują trudny i wyczerpujący taniec. Według Niżyńskiego tancerz ma na końcu umrzeć. Takie jest znaczenie rytuału wiosny. Raz do roku ziemia musi być obudzona przez dziki, nieobliczalny taniec dziewczycy. W trakcie wyczerpującego, rytmicznego tańca dziewczica oddaje życie, przekazuje swoją energię ziemi.

INSTALACJA

„Święto wiosny”, złożone z kilku monitorów ukazujących tancerzy, tylko się wydaje skomplikowaną instalacją. Cała jej idea odnosi się do świętego kręgu, w którym dokonuje się ofiara. Dlatego ustawiłam monitory telewizyjne w dwóch kręgach (wewnętrznym i zewnętrznym). „Tancerze” mają zmienioną pleć, bo chciałam zamienić ich ciała w kostiumy.

Pierwszy dzień kalendarzowej wiosny przypada na 21 marca.



FOT. MICHAŁ MUTOPIA/AGENCJA GAZETA

ZBYLUT GRZYWACZ

Antykariera Adama Hoffmanna



Nie cierpiał rozgłosu i artystów, którym na sławie zależało. W sztuce wyrażał świat swoich przeżyć, swój los, spotkania z ludźmi. Zmarł w Krakowie 3 marca 2001 roku.

Był bez wątpienia jednym z najoryginalniejszych artystów polskich drugiej połowy minionego wieku, ale nie zrobił kariery. Dlaczego? To bardzo proste: nie zrobił kariery, bo był jednym z najoryginalniejszych artystów polskich drugiej połowy minionego wieku. Jego twórczość nie przystawała do żadnego ze znanych wyobrażeń o sztuce, której należy się rozgłos i poklask. Nie spełniała ani akademickich reguł gry i smaku artystycznego, ani awangardowego postulatu równania kroku z awangardą światową. Polska jest prowincjonalną krainą, której mieszkańiec albo kroi sobie kostium wedle wskazań mody dyktowanej przez zachodnie stolice, albo kurczowo trzyma się własnej, lokalnej i ma za złe każdemu, co się nosi inaczej. Hoffmann ani chciał, ani potrafił układać się z Akademią i z Awangardą, malował, rysował i uczył w zgodzie z własnymi przekonaniem i upodobaniami, z własnym rozumieniem uczciwości i odpowiedzialności, którym był wierny w myśli, w mowie i w uczynku.

Swoje poglądy głosił żarliwie, z pełną powagą kraszoną orzeźwiającym dowcipem. Był znany ze znakomitego gadanego, którym rozbrajał każdego rozmówcę, spychał go do defensywy. Nie godził się na zagłaskiwanie problemów. Co to za rozmowa, kiedy sobie ludzie wzajemnie kładą. Kłócił się, szydził, w zapalczywości obrażał, ale częściej zjednywał, uwodził. Lecz jakże się miał nie kłócić, kiedy tak często spotykał się z dyktowanym modą myśleniem stadnym, z powtarzaniem obiegowych, uznanych za obowiązujące maksym i poglądów. Był outsiderem, bo być w Polsce Europejczykiem oznacza outsiderstwo.

Gdyby Hoffmannowi dane było urodzić się na zachód od Odry – w obojętnej zresztą odległości – albumy z cyklami jego rysunków i szkiców można by było już od wielu lat znaleźć w księgarniach i bibliotekach. Współtworzyłyby kanon współczesnej sztuki niemieckiej (obok George'a Grosza), angielskiej (jako kontynuacja

graficznej moralistyki Hogartha), francuskiej (nawiązanie do Daumiera) czy hiszpańskiej (echo „Kaprysów” Goi). U nas jednak, w kraju ludzi może i umiemy, ale nie doceniamy, a nawet dostrzegania w sztuce zjawisk wyjątkowych i nietypowych.

A twórczość Hoffmanna to takie właśnie zjawisko. Tysiące obrazów, rysunków i szkiców powstałych od lat czterdziestych do dziewięćdziesiątych układają się w cykle, spośród których dwa, najobfitsze, noszą tytuły: „Malarz i modelka” i „Metamorfozy” (albo „Zwierzyńiec”, „Bestiariusz”). Pierwszy to wielowątkowa autobiografia artysty, wariacje na temat malarza i modelki; drugi to rodzaj komedii ludzkiej, której bohaterami są mężczyźni i kobiety na poły przemienieni w zwierzęta lub odwrotnie: zabeczki, modliszki, rybki, pieseczki i osiołki, odgrywające ludzkie komediodramaty – jak u La Fontaine’a ilustrowa-



recht-opera za trzy grosze.

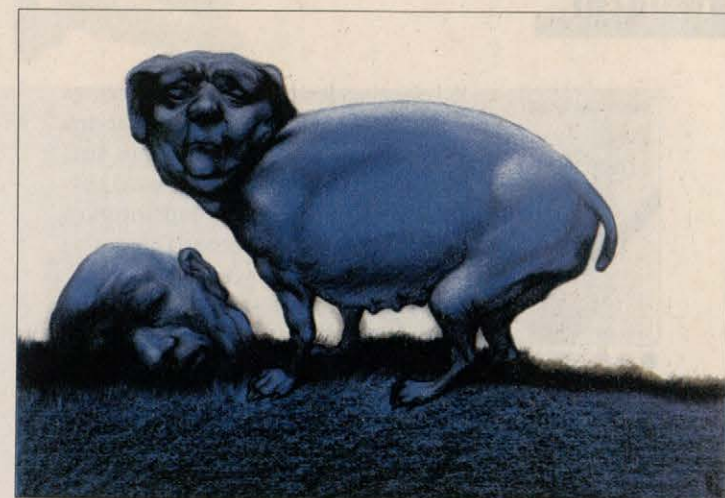
nego przez Gustawa Doré. W obu cyklach co krok natknąć się można na autoportrety artysty; szyderstwo, którego tu pełno, nie oszczędza autora – może nawet przede wszystkim to on pada jego ofiarą.

Kariera to brzydkie słowo, stosowne raczej dla kategorii losu szansonistki, sportowca albo biznesmena; może lepiej jej nie robić, kiedy się jest artystą? Więc może idzie o uznanie? Albo o znaczenie? Znaczenie Hoffmanna w jednej przynajmniej dziedzinie nie ulega dziś wątpliwości – a i uznanie przynajmniej w jednej dziedzinie zdobył jak mało kto albo nawet nikt: jako nauczyciel. Dziesiątki, a nawet setki artystów – w tym niemało tzw. wybitnych – mówi, że nie byłoby ich, gdyby nie Hoffmann. Sam się do nich zaliczam; byłbym traszką, geologiem albo babą, gdyby Adam nie dodłubał się we mnie hibernowanego artysty.

Jak on to potrafił? – Kochajcie i róbcie co chcecie – mówił słowami świętego Augustyna, kiedyś, kilku jego uczniów,

szli w akademickie belfry. Bez miłości nie ma sztuki i nie ma nauczania. Od przedszkolanki po promotora zawsze chodzi o to samo. – To proste: kiedy wchodzę do szkoły i widzę, że dzieci są żywe, pogodne, często się śmieją – znaczy dobra szkoła. A kiedy dzieciaki smutne i przestraszone – szkoła do niczego i nauczycieli, razem z dyrektorem, trzeba przegonić, bo się nie nadają. Rzecz nie w tym, jak uczniowi czy studentowi wcisnąć do mózgu wiadomości, ale jak rozbudzić ciekawość, jak rozmiłować. Reszta już idzie sama.

Potrafił rozmiłować, a reszta już szła sama. Sam był miłośnikiem, a tylko to, co robione z miłością, może być robione dobrze. Hoffmann był znakomitą rysownikiem. Ten gatunek artysty zdaje się współcześnie zanikać; pozostało już niewielu, którzy potrafią czarować bezbłędnym rysunkiem. A może w poprzek uznania jego artystycznej rangi stanęło i to, że wypowiedział się przede wszystkim w rysunku, dziedzinie wciąż



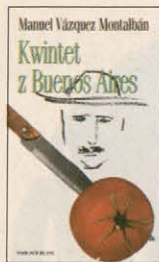
jeszcze traktowanej jako gorsza od malarstwa?

Adam wręcz nie cierpiał rozgłosu i artystów, którym na rozgłosie zależało. Brzydziła go bufonada zarówno Kantora, jak i Rzepińskiego. Mentor i erudyta, formułujący sądy o sztuce w sposób kategoryczny i pryncypialny, swoją sztukę traktował nie jak oni – jako eksplikację poglądów, lecz jako język, którym można wyrazić świat przeżyć, swój los, swoje spotkania z ludźmi. Swoje spotkanie z życiem i ze śmiercią.

Dwa lata temu, kiedy powstawał (pierwszy i ostatni) krótki film o Adamie Hoffmannie, Mieczysław Porębski, jego przyjaciel od wczesnej młodości, swoją wypowiedź zakończył słowami: „Rozświecał tę swoją całą wiedzę, która teraz zaczyna dopiero jakoś owocować. Bo mnie się zdaje, że – prawdę mówiąc – jego czas nadszedł dopiero dzisiaj, kiedy zaczynamy rozumieć jego twórczość”.

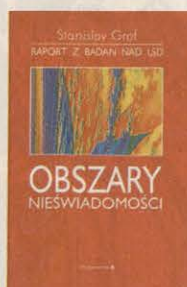
Kraków, marzec 2001

1. Malarz i modelka, 1969. Rys. węglem
2. Projekt plakatu dla „Groteski” – lata 60.
3. Psinka, 1975. Tempera, kredka
4. Szkic z cyklu „Salome”. Rys. tuszem



W kolejnej wydanej u nas powieści Vázqueza Montalbána jego bohater, kataloński detektyw Pepe Carvalho, zgłębia mroki Buenos Aires w poszukiwaniu ukrywającego się przed prześladowcami kuzyna. Wbrew zapowiedziom w nocy od wydawcy konstrukcja utworu nie jest bynajmniej „mistrzowska” (choć bez wątpienia dość zgrabna), jego lektura zapewne nie będzie „wstrząsającym przeżyciem” (chyba że sięgnie poń ktoś, kto – jak niektórzy miłośnicy nam panujący posłowie – żywi złudzenia co do metod łatynoskich dyktatur), a czytelnicy spragnieni obcowania nie tylko z zajmującym kryminałem, ale i z „wybitną prozą”, powinni przeczytać sobie coś zupełnie innego. Mimo to książka jest naprawdę ciekawa, zawiera parę wybornych pomysłów i na tle wydawanych u nas podobnych dzieł prezentuje się nader zacnie. Polecam. (MS)

Manuel Vázquez Montalbán: „Kwintet z Buenos Aires”. Przełożyły: Danuta Rycerz, Marzenna Gottesman. Noir sur Blanc, Warszawa 2001.



W kompetentnym przekładzie ukazuje się jedna z fundamentalnych i pionierskich prac poświęconych LSD. Substancja ta – otoczona kultem i obrosła wieloma mitami – przez jednych traktowana jest jako diaboliczny narkotyk, przez innych – jako jedno z największych odkryć XX wieku. Grof podszedł do niej bez uprzedzeń i na podstawie wieloletnich sesji przeprowadzonych w Czechosłowacji i USA napisał gęste i zarazem komunikatywne wprowadzenie do badań nad LSD. Ukazuje wieloraki i niejednoznaczny jego wpływ na ludzki mózg i psychikę, barwnie opisuje sesje i nie obawia się stawiania ryzykownych tez (np. nowatorskiej koncepcji „systemów skondensowanych doświadczeń” – obecnie już klasycznej). Lektura obowiązkowa, zwłaszcza w kraju, gdzie kwestie psychodelii ciągle zna się z drugiej ręki. Chwała krakowskiemu wydawnictwu za podjęcie ryzyka i zapowiedź wydania pozostałych tomów Grofa. (JAZ)

Stanisław Grof: „Obszary nieświadomości. Raport z badań nad LSD”. Przeł. Andrzej Szyjewski. Wydawnictwo A, Kraków 2000.

ZDANIEM mojej ŻONY...

...najlepszym określeniem tłumaczenia jest „French kiss”, francuski pocałunek. Gdy to usłyszałem, wpadłem w popłoch: skąd niby moja żona wie, co to jest francuski pocałunek, skoro nawet ja, erotoman-amator, pierwszy raz o tym usłyszałem właśnie od niej? Nie dałem jednak po sobie niczego poznać i pytam niewinnie: „Więc co z tym tłumaczeniem?”. „Ano to, że jak tłumaczy się jakieś dzieło, to tak, jakby jeden język wpadał na drugi, obwijał się wokół niego, czerpał z tego przyjemność i – co najważniejsze – w pewnym momencie nie wiadomo już, który język należy do ciebie, a który do tego drugiego”. Tu oczywiście przestraszyłem się nie na żarty, bo literatura literaturą, ale tłumaczenie jako „języczek uwagi” to jednak chyba przesada. Chwilę jednak pomyślałem i zrozumiałem, że moja żona ma rację (niech ma kobieta trochę przyjemności). Otóż dopiero ta zgrabna definicja uświadomiła mi, dlaczego tak wielu tłumaczy pisze wszystko, co im ślina na język przyniesie. **mąż**

Tureckie delikcje

Pamięć przejażdżki literackim Orient Expressem skłoniła mnie do lektury. Rzadko kiedy trafia się coś tak pobudzającego historyczną wyobraźnię.

5 maja 1932 r., na paryskiej wystawie przemysłowej, prezydent Republiki Paul Doumer odwiedził uprzejmie stoisko, gdzie podpisywał książki niemodny już literat Claude Farrère. Nagle z tłumy wychynął rosyjski emigrant Gorgułow. Pięć ogłuszających wystrzałów. Krew prezydenta bryzgnęła na powieść „Człowiek, który zabił”. Nazajutrz prezydent zmarł, a Farrère podpisał kontrakt na dzieła zebrane.

Historia ta winna skłonić do lektury. „Człowiek, który zabił” nie zawiedzie nikogo. To fascynujący kryminał, mający za tło równie fascynujący świat.

Sek w tym, że to świat turecki. Rzec dzieje się w 1902 r., w baśniowej scenerii Stambułu. Francuz zresztą ani przypuścił, iż jego szlachetny szef tajnej policji, Mehmed Dżelaleddin pasza, musi być synem budziela narodowości tureckiej, Mustafy Dżelaleddina paszy, czyli polskiego generała Konstantego Borzeckiego. I że właśnie w roku akcji powieści jego bohater zyska potomka, którym będzie nie kto inny jak Nazim Hikmet Ran, wielki poeta turecki i polski obywatel.

Pamięć owej przejażdżki literackim Orient Expressem skłoniła mnie do lektury „Gier i zabaw Turków osmańskich” Mariana Bałczewskiego. I znów nie doznałem zawodu. Rzadko kiedy trafia się coś tak pobudzającego historyczną wyobraźnię.

Wyczytawszy wszystko, co kryją biblioteki (od „Moich przelotnych miłości z młodą Bitynką” po „Niektóre sąsiedzkie próby względem zaprowadzania wiel-

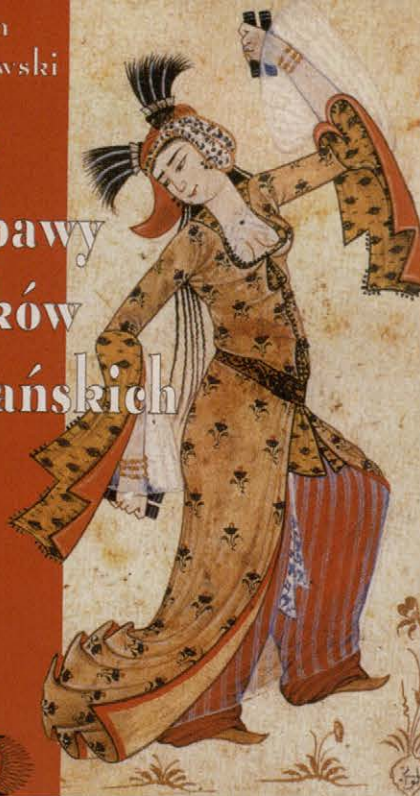
kich, obcych gatunków bydła”), a zwłaszcza sterty manuskryptów, Bałczewski odtwarza obraz osmańskiego świata w oczach dyplomatów i wojażerów z Lechistanu. Stąd jego opisy zdobi barwna staropolszczyzna, ujawniająca – niestety! – tyleż fascynacji, co wstrętu. Gdyż czar osmańskiego świata objawił się nad Wisłą dopiero po wiktoria wiedeńskiej, i to drogą okrężną, przez Francję. W dawnej zaś wyobraźni polskiej Turkowi przypadło miejsce, na którym przed dwustu laty zastąpił go Moskal. Dość wspomnieć „tureckie kazanie” czy przysłowia: „Nad Turki i Tatary nie ma gorszej wiary” lub „Bije się jak Turek, chowa się za murek”. Albo wierszyk krążący u nas, na Mazowszu: „Gonił Turczyn Mazura, bo się bał zawoja; gdy mu spadł, rzecze Mazur: o, już dobra moja!”. Nie dziwota, że o Turkach wiemy dziś mniej niż o Marsjanach, a zabarwione romantyczną turecczyzną dzieła stworzyły inne nacje.

Pozostał jeszcze zwrot „rozbiurmanić się”. I o tym właśnie traktuje książka Bałczewskiego. Przekonuje on, że długotrwała turecka „jesień średniowiecza” była w znacznej mierze kulturą ludyczną – w tym sensie, jaki przypisujemy kulturze sarmackiej czasów saskich. W miarę murszenia imperium osmańskiego żywot jego mieszkańców zyskiwał urok boskiej dekadencji. „Na dźwięk ich imienia świat drżał ze strachu, terrazniejsi krew swych przodków zmieszali z krwią narodów podbitych, od których wzięli pieśkliwość życia i zbytek” – powiada ślicznie Karol Wyrwicz, geograf króla Stasia. Toteż obok opisanych przez

Marian
Bałczewski

Gry i zabawy Turków osmańskich

DIALOG



Bałczewskiego z wielkim znawstwem ćwiczeń militarnych (strzelactwo z huku, rzut włócznią, dzygitówka) oraz publicznych i sekretnych egzekucji, od których biorą ciarki (pal, wieszanie na haku, odgłowiecie, topienie w worku, duszenie jedwabną ściągą) Turcy owych błogosławionych lat bawili się rozkoszami spacerów, strojów, parad, a przede wszystkim łoża. Stąd znaczna część dzieła prezentuje gry erotyczne Osmanów – dla ich bliższego zgłębienia niezbędny jest jednak harem.

W kraju, gdzie tytoń i kawa długo były, o dziwo, wzbronione, rozrywki dostarczało ogrodnictwo. I tu spotkała Osmanów godna uwagi przygoda. Jeden z esejów Herberta w „Martwej naturze z wędzidłem” ma za temat tulipomanię, jaka nawiedziła Niderlandy w latach trzydziestych XVII w. Tulipany do tego kraju przywiózł gęsto cytowany przez Bałczewskiego poseł Habsburgów na dworze Sulejmana Wspaniałego, Ogier Ghiselin de Busbecq. I oto w pół wieku po Holendrach zemsta losu dosięgła samych Turków. Złowieszcze kwiecie zakreśliło im pod turbanem. Grządki co najrzadszych tulipanów, podświetlane po zmroku lampionami, zawrotne ceny cebulek, ruina szacownych rodów... Szał!

Bałczewski pomija wzbronione poddanym osmańskim emocje ha-

zardu. Jednakże Antoni Waga, skądinąd nauczyciel Norwida, opisuje w roku 1845 za pewnym Anglikiem, C. White „Esq.”, rozgrywane potajemnie walki skorpiono-pajęczce: „Przez pewną chwilę poglądała jedna partya na drugą, z wyraźnymi oznakami nieufności i wstrętu. Wreszcie pierwszy niedźwiadek wykonał poruszenie, przyczem trącił niekiedy jednego z pajaków. W mgnieniu oka przyskoczył pajak i wymierzył napad ku oczom nieprzyjaciela. Ale walka trwała krótko. Niedźwiadek, przy oznakach poruszenia wielkiego, ostrych swoich szponów użył jak nożyczek i natychmiast nogi mu obciął, a w tym samym czasie wznosząc i krzywiąc swój ogon, ukłuł go jadowitem żądłem. W mniej niż piętnastu sekundach niedźwiadek pole bitwy owładnął...”. Wizja, przywołująca na myśl dzieje osaczonej przez wrogów Turcji i aforyzm policyjnego paszy z „Człowieka, który zabił”: „Wszyscy jesteście palcami u ręki Allacha. Cóż to szkodzi, że jeden z palców zbrojny jest w żelazny pazur?”.

JAN GONDOWICZ

Marian Bałczewski: „Gry i zabawy Turków osmańskich na podstawie polskich i obcych źródeł od schyłku średniowiecza do końca oświecenia”. Wydawnictwo Akademickie DIALOG, Warszawa 2000.



Życie tego świata jest tylko grą i zabawą

Rozmowa
z prof. dr. hab.
Stanisławem
Stachowskim
turkologiem



Panie profesorze, całkiem sympatyczne te gry i zabawy Turków osmańskich.

Owszem, narody Wschodu zawsze lubiły się bawić. Życie tego świata jest tylko grą i zabawą – powiada Koran. Zaletą tej książki jest także to, że bardzo poszerza naszą wiedzę, sięga do wielu źródeł nie znanych nawet specjalistom. W Polsce istnieje negatywny stereotyp Turcji jako kraju trochę barbarzyńskiego.

To prawda, ale wynika to z niewiedzy. Czasem dochodzi do groteskowych sytuacji. W pewnym towarzystwie jedna z pań zapytała mnie, czy są ludzie, którzy naprawdę mówią po turecku? Słyszała tylko, że mówi się: „Siedzieć jak na tureckim kazaniu”, czyli nic nie rozumieć.

Co przejęliśmy od Turków?

Jak wzbogaciła się nasza wrażliwość estetyczna w zetknięciu z tą egzotyczną dla nas kulturą?

Nie przesadzałbym z tym wpływem. Być może wpłynęła trochę na nasz barokowo-sarmacki gust, ich przepych bił nasz na głowę, na przykład to, jaką mieli architekturę, jak mieszkali, z jakim bogactwem urządzali swoje wnętrza. Można mówić o wpływach wojskowych, dotyczących organizacji wojska. Myślę, że łączy nas szacunek dla przeciwnika, mimo że braliśmy się porządnie za łby.

Wiele w naszych stosunkach zmieniła wiktoria wiedeńska.

A tak. Moja koleżanka, też turkolożka, która jest tłumaczką w sądzie, opowiadała mi, że kiedyś policja zatrzymała tureckiego kierowcę, który na widok policjantów zaczął krzyczeć: „Sobieski! Sobieski!”

To, co nas dzieli, to – poza religią, polityką, wojną – stosunek do erotyki, kult ciała. W przeciwieństwie do chrześcijan nie łączą oni pojęcia zła i grzechu z cielesnymi aspektami życia ludzkiego.

Więcej nawet – nieskrępowana manifestacja cielesnych pragnień, potrzeb, doznań i przyjemności, nie tylko na ziemi, ale także w zaświatach, stanowiła naturalny wyraz ich tożsamości kulturowej i wyznaniowej.

Rozmawiał KAZIMIERZ TARGOSZ

Moda na bałkańskie klimaty w muzyce ma szansę przerzucić się z folku na alternatywę. Uwaga na projekt Yugoton. O szczegółach mówi Olaf Deriglasoff znany z zespołów Apteka, Püdelisi, Kazik.

Wirtualny YUGOTON



Vlado Divljan i Darko Rundek podają sobie ręce. W tle Kazik i Olaf.

Kim jesteś w tym projekcie?

Producentem muzycznym, czyli osobą odpowiedzialną za wyraz artystyczny projektu Yugoton. Dobierałem muzyków i studio, dbałem o to, by nagrań dokonano na najlepszym sprzęcie. Robiłem aranże utworów, ponadto wystąpiłem jako muzyk oraz wokalista – zaśpiewałem dwie piosenki.

Yugoton. Co na to Kayah i Bregović?

Projekt ten nie ma z nimi nic wspólnego, poza głównym pomysłodawcą – Grześkiem Brzozowiczem. Yugoton ma odrębny artystyczny charakter nawiązujący, przynajmniej dla mnie, do romantycznego okresu, jaki każdy twórca przeżywa na początku swej działalności. Lata 80. – by-

łem wtedy otwarty na wszelkie nowości, a tych niezbyt wiele dochodziło do naszego kraju. Jugosławia miała o wiele szersze horyzonty; muzycy dysponowali lepszym sprzętem, lepszą realizacją studyjną i mieli ten swój Yugoton, który wydawał mnóstwo płyt krajowych i zagranicznych. Produkcje jugosłowiańskie łatwiej docierały do Polski niż zachodnie, w ten sposób wielu naszych muzyków poznawało nowe mody.

Tytuł płyty pochodzi od nazwy jugosłowiańskiej wytwórni. Na jednym z anonosów projektu znalazłem zdanie: „chcemy stworzyć rockandrollową utopię: miasto Yugoton, w którym życie upływa w rytmie muzyki do tańca”. Dlaczego utopia?

Dosyć istotne znaczenie miał w tym rozpad państwa zwanego Jugosławią, w którym współistniały artystyczne grupy serbskie i chorwackie połączone relacjami tworzącymi jedną scenę, coś w rodzaju gdańskiej sceny alternatywnej na początku lat 80. Potem nastąpił rozpad, wojna, nie tylko państwo, również scena muzyczna przestała istnieć, podzieliła się na serbskie, chorwackie i inne odłamy. Postanowiliśmy sprzeciwić się historii i zjednoczyć Jugosławię – muzycznie – to narzuca pewnego rodzaju wirtualność. Zaprośiliśmy dwóch czołowych przedstawicieli owej jugosłowiańskiej sceny alternatywnej lat 80. Vlado Divljan i Darko Rundek spotkali się u nas, w Polsce. Było

to zjawisko, rzekłbym, dosyć nietypowe, ponieważ de facto są przedstawicielami wrogich sobie narodów.

Czy Vlado i Darko wywarli duży wpływ na płytę?

Właściwie nie – byli naszymi gośćmi. Poznać ich było dla mnie wielkim zaszczytem, gdyż wysoko ceniłem ich zdolności twórcze, nadto wokalne, lecz nasze spotkanie miało charakter raczej towarzysko inspirujący. Ważne, że zaistnieli na płycie, dając głos – byli obecni, podzieliли się swoją energią – a to bardzo fajne. **Jeżeli czuwałeś nad projektem i dobiebrałeś muzyków, to czy również ty zaprosiłeś Vlada i Darka?**

Nie wolno zapominać o Grześku Brzozowiczu, który wszystko wymyślił. On również był selekjonerem utworów, to on je dobierał, jako wybitny znawca tematu.

Na płytę Yugoton składają się przeboje jugosłowiańskiej sceny alternatywnej lat 80., lecz zaśpiewane są po polsku.

Tylko w niektórych partiach chórkowych wzięli udział Divljan i Rundek. Płyta ma charakter reminiscencji, ale jednocześnie promuje nowe wersje znanych nie-

którym ludziom utworów. Gdyby wydać tę muzykę bez zmian, w wersji oryginalnej, nie wywołałaby zainteresowania, bo zabrzmiaby starością, poza tym język serbski i chorwacki nie jest w Polsce zrozumiały – a tekst ma kolosalne znaczenie. W projekcie Yugoton wzięli udział najlepsi w Polsce tekściarze: Nosowska, Kazik, Tymon, Kukiz. Każdy napisał do swoich utworów własne teksty, czasami inspirując się oryginalnymi, czasami pisząc zupełnie odrębne historie.

Jako reminiscencja dla znawców, a dla młodych nowe teksty, tak?

Nie. Muzyka i tekst są równorzędne, bo nie można powiedzieć, że tekst jest ważny, a muzyka nie czy odwrotnie. Jeśli mamy dobre utwory, w których jest dużo melodii, i jeśli to fajne granie ma zaistnieć również jako piosenka, potrzebne są zrozumiałe teksty, stąd polskie wersje. Jestem przeciwnikiem śpiewania w obcych językach. Uważam, że jest to kompletne nieporozumienie.

Kompletne może nie, ale na pewno niezupełne. Tymczasem niech zabrzmi Yugoton jako świadek w sprawie.

LAZARUS

GYMESIK DLA MELOMANA



Sesja 80: Andrzej Przybielski (trąbka), Alek Korecki (saksofon), Wojciech Czajkowski (kontrabas).

rająca nagrania Andrzeja Bieźana i zapis berlińskiego performance Jarosława Kozłowskiego „The Golden Violin”. Deklarowany nakład każdej płyty miał wynosić 1000 egzemplarzy, ale „manufaktura artystów” szybko się nudziła i prawdopodobnie nie pojawiło się ich na rynku więcej niż po kilkadziesiąt sztuk. Jest więc czego szukać, a przecież szukanie to dla zbieracza przyjemność najwyższa.

WITOLD GÓRKA

WONDER BOYS. Składanki filmowe są zazwyczaj mniej lub bardziej przypadkowym zbiorem piosenek rzadko wykorzystanych w filmie. Stary schemat: jeden hit i zapychacz plus dialogi z filmu. Ze ścieżką dźwiękową do nowego filmu Curtisa Hansona „Wonder Boys” na szczęście jest inaczej. Po pierwsze: 13 piosenek to same przeboje. Po drugie: album otwiera „Things have changed” – premierowa kompozycja Boba Dylana (nominowana w tym roku do Oscara). Przyjemnie się słucha tych piosenek, bo każda z nich żyje własnym, pozafilmowym życiem. W końcu John Lennon, Neil Young czy Dylan to historia rock’n’rolla. (RZ)

Columbia

FUN LOVIN’ CRIMINALS. Każda kolejna płyta trójki nowojorkczyków przynosi muzykę utrzymaną na coraz wyższym poziomie. Album „Loco” potwierdza tę regułę, chociaż otwierająca go toporna kompozycja „Where The Bums Go” prowokuje do natychmiastowego wyrzucenia krążka za okno. Jeżeli jednak uda się przetrzymać tę próbę, to czeka nas bardzo przyjemna niespodzianka – porcja eleganckich i wysmakowanych piosenek. Dobrych na każdą okazję – do samochodu, na potańcówkę czy do wysączenia szklanceczki smacznego trunku. Polecam zwłaszcza sztywne „pościelowy” – „She’s My Friend” i „Underground” – absolutne majstersztyki tej konwencji. (WK)

Chrysalis Records

LEONARD COHEN. Czy istnieje na świecie choć jedna osoba, która nie wie, kim jest Leonard Cohen? Jeśli tak, to gwoździ wyjaśnienia – jest jednym z największych poetów muzyki rockowej wszech czasów. Człowiek obdarzony niesamowitym, niskim głosem i talentem do pisania najsmutniejszych piosenek miłosnych. Od lat nie nagrał płyty z premierowym materiałem. „Field commander Cohen” to album koncertowy z trasy promującej „Recent Songs” – album z 1979 r. Świetna kondycja wokalna, znakomici muzycy, a przede wszystkim nowe aranżacje znanych utworów – to wszystko sprawia, że koncert ten powinien znaleźć się w każdej szanującej się płytowej kolekcji. (RZ)

Columbia

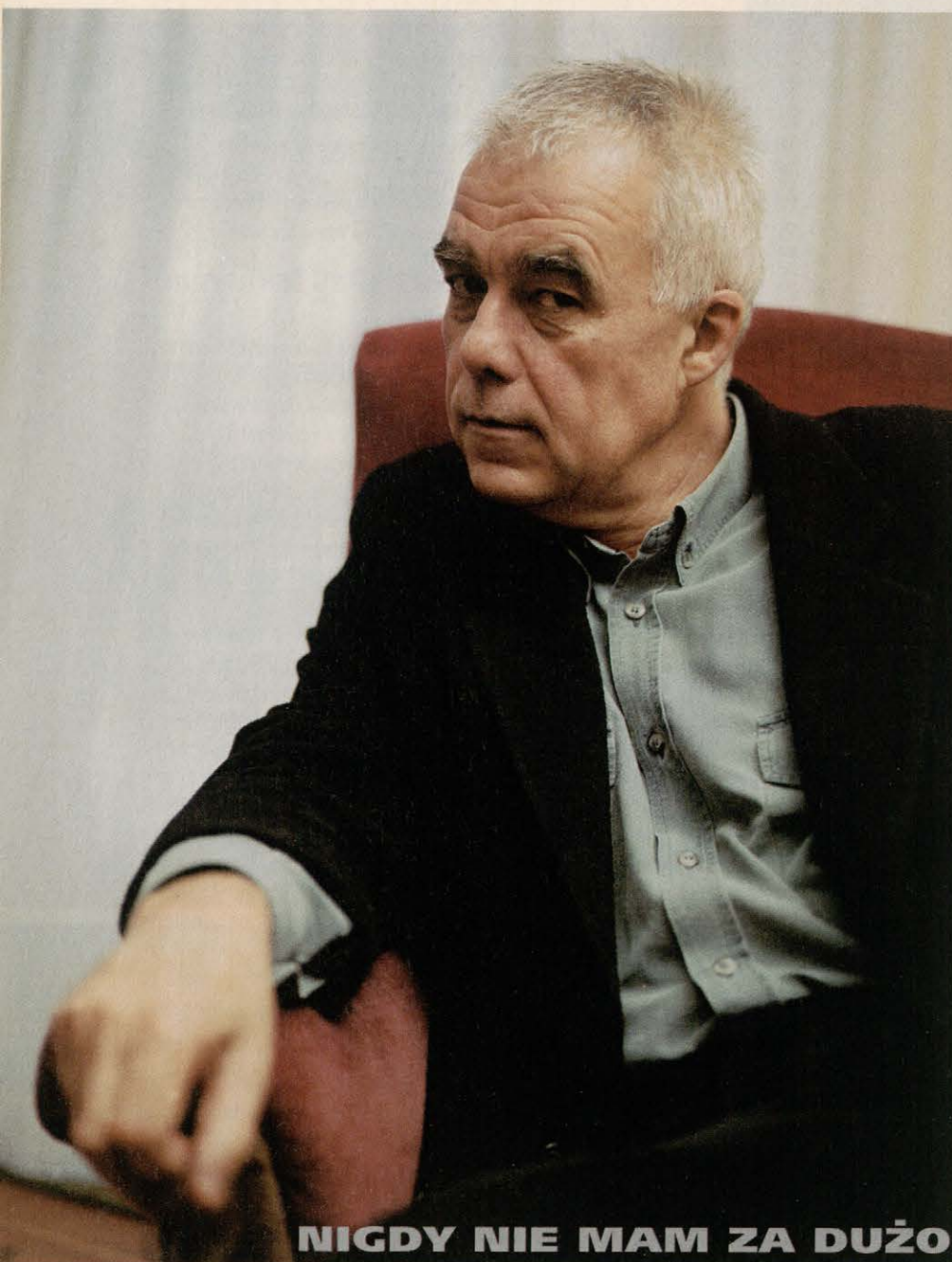
MANUFAKTURA MUZYKÓW

W 1984 r. grupa artystów nadających ton warszawskiemu klubowi Remont rozpoczęła produkcję niecodziennych płyt gramofonowych: awangardowa zawartość muzyczna opakowana w dzieło sztuki. Pomysły były przeróżne: okładkę „Lapisu” i „Low Sounds” Krzysztofa Knittla zdołał podpisać kompozytor wyklejony z jego włosów (Krzysztof pozwolił je sobie ściąć), opakowanie „W sferze dotyku” Andrzeja Przybielskiego i Sesji 80 (jedna z najlepszych polskich płyt nowoczesnego jazzu) było wykonane z weluru, „Ptaki” Andrzeja Mitana (zapis solowego śpiewu, w którego tle awanturuje się kilkadziesiąt ptaków ze sklepu „Egzotyka”) zamknięto w drucianej klatce, a jego „Psalm” zawinięto w biały obrus. W dwóch partiach wypuszczono 9 tytułów, wśród których znalazły się także: „Andrzej Mitan w Świętej Racji”, koncert Orkiestry Jubileuszowej Helmuta Nadolskiego, pośmiertna płyta zawierająca nagrania Andrzeja Bieźana i zapis berlińskiego performance Jarosława Kozłowskiego „The Golden Violin”. Deklarowany nakład każdej płyty miał wynosić 1000 egzemplarzy, ale „manufaktura artystów” szybko się nudziła i prawdopodobnie nie pojawiło się ich na rynku więcej niż po kilkadziesiąt sztuk. Jest więc czego szukać, a przecież szukanie to dla zbieracza przyjemność najwyższa.



YUGOTON. Dziwny to twór, jakby zmieszany. Niby składak, a jednak charakterny. Jugosłowiańska dusza wskrzeszona w polskiej materii – bałajki i bałkańskie okrzyki w tle dokonań naszych rodzimych wykonawców. Wspólna ścieżka melodyczna, harmonijna i taneczna, a na jej podstawie wybryki – każdy wokół trochę z siebie daje, a to barwę albo brzmienie mieszające się z następnym utworem – raczej w wersji popowej – jugosłowiańska stara alternatywa – polscy ambitni muzycy – w skrócie Yugoton pol-pop-ton pod patronatem jakiej muzy? Mimo to będą przeboje. (TSE)

BMG



FOT. ANNA WÓCZKAG

JAN KANTY PAWLUŚKIEWICZ

Kiedy jako student architektury poznał Piwnicę pod Baranami i Piotra Skrzyneckiego, było to dla niego przeżycie tak wielkie, jakby zobaczył wybuch wulkanu. Wkrótce potem założył zespół „Anawa” – nazwał go tak od okrzyku „en avant!”, którym ongiś zagrzewano do walki wojska francuskie – i zaczął pisać dla Marka Grechuty piosenki-przeboje. Zdobył też sławę jako kompozytor filmowy i teatralny. Pasjonując się większymi formami muzycznymi, stworzył m.in. sławne „Nieszpory ludźmierskie” i „Harfy Papuszy”. Dziś – oprócz muzyki – fascynuje go malarstwo i poświęca mu coraz więcej czasu.

Co tutaj robisz?

Próbuję jakoś wyjść z tej sytuacji.

Najbardziej niedoceniona z Twoich zalet?

Entuzjizm (choć niekiedy przesadny).

Pokusa nie do odparcia?

Temperatura wody 29 st. C.

Co sprawia, że życie jest wyjątkowe?

Opiekowanie się przypadkami.

Gdybyś był psem, kogo byś ugryzł?

Szkoda zębów.

Twoje grzechy główne?

Gwałtowność, niecierpliwość, egoizm.

Gdybyś był zegarkiem,

na której godzinie byś się zatrzymał?

9.20.

Czego powinno nie być?

Tlenku węgla.

Czego masz za dużo?

Nigdy nie mam za dużo.

Pierwsze największe marzenie?

Być na koncercie „Jazz Messengers” w klubie „Blue Note” w Paryżu.

Najbardziej staram się...

...pisać czytelne partytury.

Co odróżnia człowieka?

Wybitna tępota i geniusz.

Ostatnia tęsknota?

Hevis (Węgry).

Bez czego nie możesz zasnąć?

Wreszcie kiedyś zasypiam.

Wyjątek czy reguła?

Wyjątek.

Na co liczysz?

Życzliwość przypadku.

Kiedy jestem sam...

...cóż za ulga!

Za co zapłaciłbyś każdą cenę?

Możliwość nieograniczonych eksperymentów w muzyce i malarstwie.

Co podpowiadają ci złe siły?

Połączenie skrajnych sytuacji.

Twój najbardziej zaniedbany talent?

Prawdopodobnie skłonność do melancholii.

Jak chciałbyś być zapamiętany?

Nie mam na to wpływu.

Co nowego?

Dobre i to.

Poborowi płci obojga

Oglądam niedawno wiadomości w telewizji: reporter mówi o tzw. fali w wojsku z powodu procesu kilku oficerów marynarki. Przy okazji podaje, że rocznie z powodu prześladowań i maltretowania popełnia samobójstwo kilkudziesięciu żołnierzy. Sądziłam, że kilku, może kilkunastu. Na ekranie rzecznik MON oświadcza: Fala była, jest i będzie. Dlaczego ma jej nie być w wojsku, powiada, skoro podobne zjawiska są i w szkołach?

Kismet, fatum. Inszallah! Była i będzie. Niech panowie z ministerstwa wyniosą dywaniki i pomodlą się za mądry, odwieczny bieg rzeczy.

To ci rzecznik! Wylałabym go z posady w tej sekundzie. Choćby za to, że tak jawnie demonstruje lekceważenie dla ludzi, których zjawisko fali w wojsku oburza czy niepokoi. Nawet jeśli ministerstwo uważa, że może iluś tam młodych chłopców co roku spisać na straty jak podarte koce, to przynajmniej niech o tym nie trąbi ustami swojego rzecznika. Wiadomo też, iż wojskowi uważają, że cywilom wara od spraw wojska. Powoli będą musieli ten pogląd rewidować. Rzecznik powinien umieć wypowiedzieć takie zdanie: Jest nam przykro i dołożymy starań. (Podobno jesteśmy w NATO i trzeba staranniej upchnąć słomę w butach.) A myśleć może przy tym, co chce. Na przykład to (ach, te koncepcje gender), że zdrowa męskość polega na tym, żeby szczuć innych, a nie dać się samemu zaszczuć.

„Armio, armio” – jak śpiewa moje muzyczne bożyszcze, pan Maleńczuk (syn Edwarda, którego głowa to bomba, a pięść to petarda) – „Uczysz chamstwa, mściwości i zdrady/Nam do ręki bagnet nam do rąk karabin/Innym władzy kapraleskiej poznać dajesz smak”. Innym razem przeglądam sobie eleganckie pismo dla kobiet. Omawia się tu kosmetyki – i tego też szukam. Przy okazji jednak zatrąca się o poborowe kobiety, czyli takie,

**Zdrowa męskość
polega na tym,
żeby szczuć innych,
a nie dać się samemu
zaszczuć.**

które dla panów są atrakcyjne do poboru. A cóż tam panowie powiedzą na temat dobrej kobiety? Ach, dobre kobiety... Pewien aktor opowiada, że kiedy był chory, to jego narzeczona opiekowała się nim, ale jak! „Teraz myślę, że przemysłnie mnie podeszła. To najsilniejsza broń kobiety: umiejętność służenia (...), a zarazem parcie do osiągnięcia swoich celów”. To się kobieta dorobiła wizerunku: lisica, która zakradła się z posługą do jego łóża boleści, żeby przeć do swoich celów (pewnie do ślubu). No, a teraz, kiedy już go ma, da mu chyba umrzeć, kiedy bę-



FOT. BOGDAN KRZEL

Szatnia *Keff*

BOŻENA KEFF

Poetka, eseistka, krytyczka filmowa. Absolwentka filozofii i filologii polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Napisała doktorat z zakresu kulturowej tożsamości płci (gender).

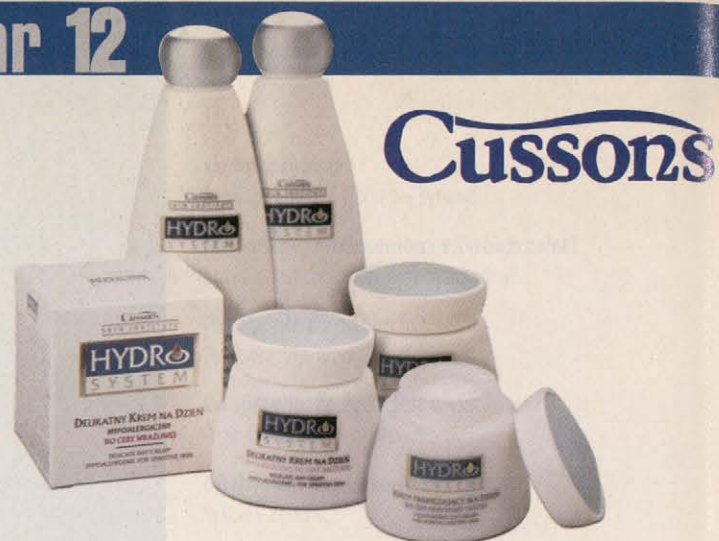
dzie chory? I słusznie. Inny pan powiada o swojej poborowej: „Szczególnie utalentowana, potrafi wstrześcić się w mój nastrój, odgadnąć potrzeby”. To dopiero DOBROĆ! Inny wymienia cierpliwość, wyrozumiałość, zaradność. Cechy DOBRE dla tego, kto z nich korzysta. Krótko mówiąc, dobra kobieta to taka, która jest niekłopotliwa i gotowa do posług. Ci mężczyźni w ogóle nie ujmują kobiet w oderwaniu od siebie, jako, za przeproszeniem, jednostek ludzkich, których dobroć mogłaby się kierować także (wszak nie jedynie!) ku zwierzętom, innym ludziom czy czemukolwiek na świecie. Lub wiązać z trudniejszymi cechami niż cierpliwa wyrozumiałość pielęgniarki.

Ileś tam stron dalej pani Danuta Stenka, moja ulubiona aktorka, mówi, że u mężczyzn ceni wrażliwość, poczucie humoru i poczucie sprawiedliwości. Poczucie sprawiedliwości? Ma sprawę w sądzie, czy co? Wrażliwość bywa kłopotliwa. Poczucie humoru zazwyczaj wiąże się z inteligencją, a inteligencja – to wymagania. Co ona taka wielkoduszna? A pan Maleńczuk (syn Edwarda, którego głowa to bomba, a pięść to petarda)? Który tak empatycznie życzy w tekście piosenki kobiecie w dniu Święta Kobiet, żeby jej życie było żywe? A mówi, że w kobiecie ceni połączenie robota kuchennego, opieki medycznej i usługi seksualnej: kucharka, pielęgniarka i dziwka. Taaak? To kto pisze te wrażliwe i ostre jednocześnie teksty piosenek? Nie wiem.

Ale słyszę, że wypowiada się armia. Kaprale, co władzy swojej lubią smak. ■



KRZYŻÓWKA nr 12



POZIOMO:

- 1 usterka
- 4 grzybowa plecionka
- 7 można w nim ugotować zupę dla 10 osób
- 8 odwrotna strona frontu
- 9 wieczne niezadowolenie ze wszystkiego
- 12
- 14 na mleko
- 16 atrybut liktora
- 17 zarysy
- 18 mistrz hebla
- 19 eksponat łancuckiego muzeum
- 21 przebój cieszący się dużym powodzeniem
- 22 piwny spójnik
- 23 zagraniczny ozdobny krzew o owłosionych liściach
- 24 waleń zębowiec czasami spotykany w Bałtyku
- 26 uprzedzenie do okazywania
- 29 płaszczowa tkanina
- 30 żelazna na głowie nieprawego syna Ludwika XIV
- 31 wschodnie
- 32 wisi w banku
- 35 listopadowa
- 36 brat i zabójca Ozyrysa

- 37 rzeczy namacalne
- 38 konkurentka żaluzji

PIONOWO:

- 1 zwolennik twierdzenia nie podlegającego krytyce
- 2 szalbiarz + błazen
- 3 Spartakus
- 4 niezgrabny kawał drewna
- 5 niewielka wcinająca się w ląd woda
- 6 inkaustu kontener
- 10 blogi odsap
- 11 siedmiu wyruszyło przeciw temu miastu
- 12 komórka wrażliwa na zmianę temperatury
- 14 pseudonim utworzony z liter imienia i nazwiska
- 15 tam kapusta w beczkach dojrzewa
- 20 słowo obraźliwe
- 24 laureat najwyższej stawki w popularnym teleturnieju
- 25 czego etatowi pracownicy najbardziej się boją
- 27 tatrzańscy zbójnicy Szymanowskiego
- 28 na jednego za dużo, na drugiego za mało
- 33 dzień i noc
- 34 lubi być w szarym sosie

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. Dla ułatwienia ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

G9 – M4 – B16 – D8 – G1 – B12 – K14 /

L7 – J10 – F3 – K12 – H6 – F10 – B2 – C15 – L2 – C6 – F5.

Wyrazy 11-literowe:

- to, za co można dostać honorowego Oscara
- sieciowy interes

Wyrazy 10-literowe:

- sezon na przymieranie
- rajska dziedzina koali
- grzebanie ludom w kulturach
- za drążkiem trójki

Wyrazy 9-literowe:

- kosmiczny gang
- z tak na siak

Wyrazy 8-literowe:

- imieninowy cukierek
- znana z wień z wieszczka
- przepycha się z przepychem
- ten to się śmieli!

Wyrazy 7-literowe:

- gratka to nie lada, kiedy sławny składa
- uderz w stół, a otrzymasz
- ambaras z koralikami
- żrący polityk

Wyrazy 6-literowe:

- pikowany atrybut Morfeusza
- mocny z ciała
- najszybszy Malinowski (poszukaj w rozkładach jazdy PKP)
- byłby nikim bez też publiki
- widzi mi się, że się
- walka Chińczyka z łącznikiem
- w planie wydatków roztargnionego
- konferansjer w klatce

Wyrazy 5-literowe:

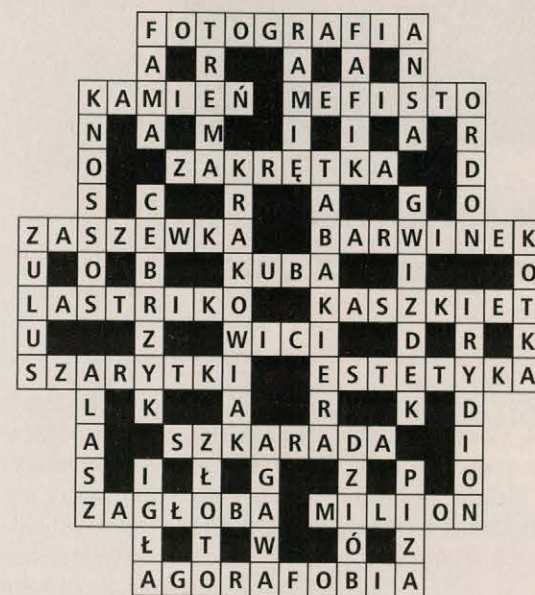
- Roger z aureolką
- jubileuszowy kamikadze

Wyrazy 4-literowe:

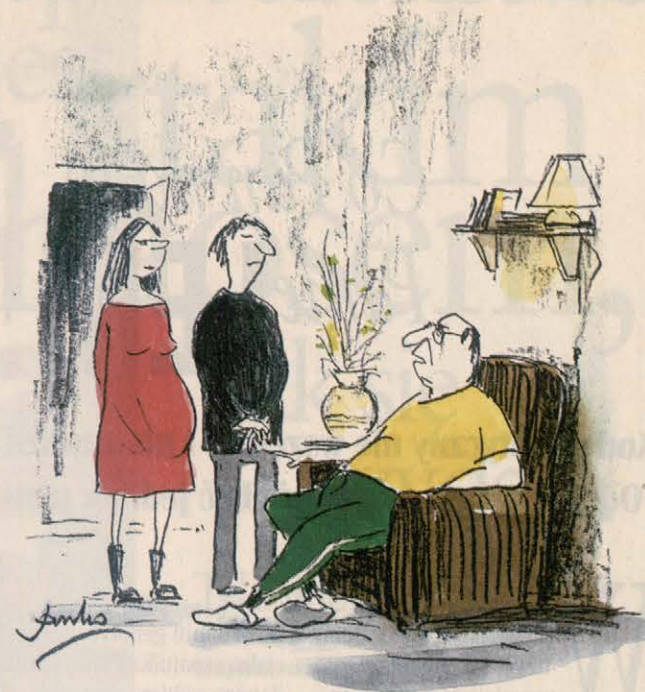
- ciernisty herbatkowiec
- gra jak koszulka
- jeden – to za mało, by spocząć
- w parze z operą od niedawna dopiero
- lepiej udawać, że czegoś takiego nie ma
- mag, a jak!

● **Pomiędzy Czytelników, którzy nadesłali poprawne rozwiązanie krzyżówki do niedzieli 1 kwietnia** (decyduje data stempla pocztowego), zostanie rozlosowanych **pięć zestawów kosmetyków Hydrosystem ufundowanych przez CUSSONS SA.** Nasz adres: **PRZEKRÓJ, 30-960 Kraków, skr. pocztowa 533, z zaznaczeniem „Krzyżówka 12”.**

Rozwiązanie krzyżówki nr 10

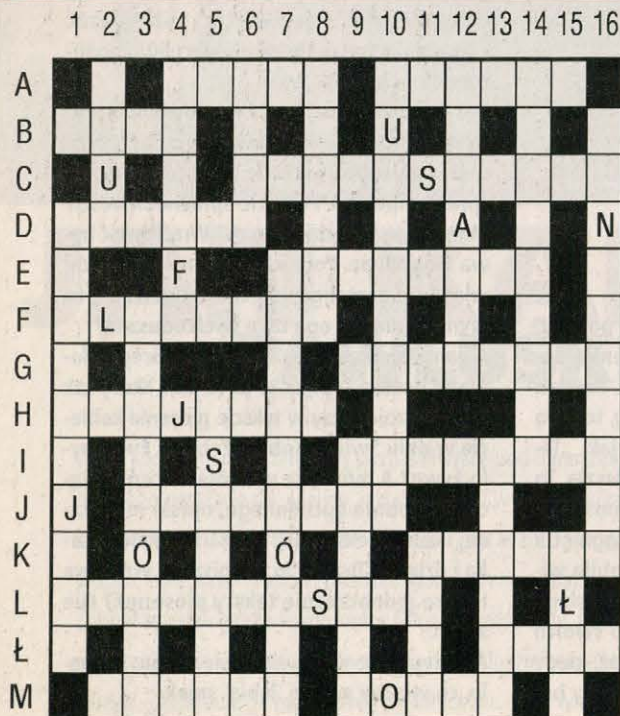


● **Za poprawne rozwiązanie krzyżówki 9 – pięć nagród-niespodzianek ufundowanych przez redakcję „Przekroju” wylosowali:** Tadeusz Wachowicz, Kędzierzyn Koźle; Monika Wiercholska, Gdynia; Sebastian Szymkowiak, Kostrzyn Wlkp.; Genowefa Kasprzak, Koźmin Wlkp.; Stanisław Grabias, Biłgoraj. **Gratulujemy!**



– Domyslałam się, synu, chcesz powiedzieć, że zrobiliście krzyżówkę z Jolką?

JOLKA nr 12



AUTOR: JERZY BUZEK

Ten numer „P” gości w:

ul. Wielopole 3
Kraków **Radtur**
tel. 423-16-76 421-80-92
bilety lotnicze
wczasy - cały świat
bilety autokarowe

intercars
EUROPEJSKIE LINIE AUTOKAROWE
KRAKÓW, ul. PIJARSKA 21
Tel.: (0-12) 422 73 48, 423 20 61
e-mail: krakow@intercars.pl
WARSZAWA, ul. ŻURAWIA 20
Tel.: (0-22) 625 53 54
e-mail: warszawa@intercars.pl
www.intercars.pl

radio TAK 98,0 i 106,5 FM
Biuro Reklamy
25-363 Kielce
Wesoła 47/49
tel. (041) 362 09 51

98.10 FM Radio MAKS Tarnów
Biuro reklamy Radio MAKS tel./fax (014) 621-29-29

TWOJE RADIO
WAŁBRZYCH 91,8 FM

radio Merkur 91.1 FM
POZNAN 91.9 FM
100.9 FM
102.7 FM
103.6 FM
Reklama: tel. (0-61) 865-83-73

RADIO KRAKÓW
Matopolska
Kredyt: 101,6 FM
Tarnów: 101,0 FM
Nowy Sącz: 90,0 FM
Zakopane: 100,0 FM
Krynica: 102,1 FM
Rabka: 87,5 FM
Sucha Beskidzka: 87,5 FM
Święto: www.radio-krakow.pl

RADIO ECHO 93.80 FM
ul. Wałowa 6
33-300 Nowy Sącz
tel. (0-18) 443-73-21

RADIO PARADA
96.00 FM

TWOJE RADIO
JOWISZ 106,2 FM

● **Pomiędzy Czytelników, którzy nadesłali poprawne rozwiązanie Jolki do niedzieli 1 kwietnia** (decyduje data stempla pocztowego), zostanie rozlosowanych **pięć upominków-niespodzianek ufundowanych przez „Przekrój”.** Rozwiązania prosimy nadsyłać do redakcji „Przekroju”, 30-960 Kraków, skr. pocztowa 533, z zaznaczeniem „Jolka 12”.

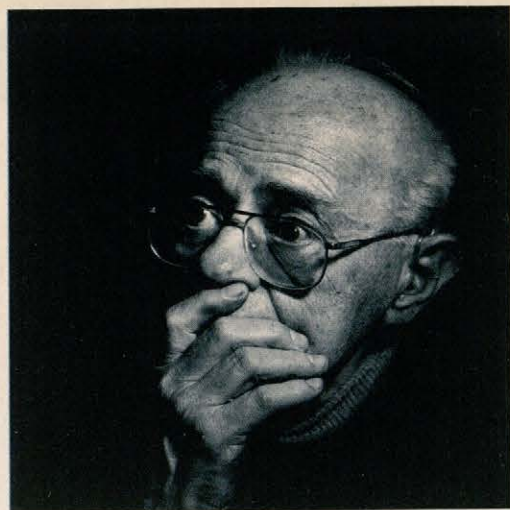
● **Rozwiązanie Jolki 10: MIŁOŚĆ I BÓL I ŚWIAT I MARZENIE**
(balet Johna Neumeiera do muzyki Gustava Mahlera).

● **Rzędami:** szansonista, zbiorak, antologista, renegat, czupurność, sezamka, nerwus, pierś, humorek, anglikanin, żurawie, technoparty, łapicki, eksternista.

● **Kolumnami:** czereśnia, nieuk, widnokrag, próg, sumienie, Ares, skat, harpun, całun, artyzm, mikrus, ukłon, salopa, żyła, Peru, nagórnik, ropa, ogrzewacz, Tatuś, ćwiczenie.

● **Za poprawne rozwiązanie Jolki 9 – pięć upominków ufundowanych przez redakcję „Przekroju” wylosowali:** Dorota Szot, Mięlec; Olek Orłowski, Tychy; Barbara Górka, Orneta; Barbara Dróżdz, Piła; Mirosława Brożyna, Mysłowice. **Gratulujemy!**

Co Pan na to, Panie LEM?



FOT. BOGDAN KRZEL

Kod genetyczny nie wszędzie i nie zawsze zdobywa rangę dowodu rzeczowego. Odcisk genetyczny może być jednak pewniejszym śladem od odcisku... palca.

Wielokrotnie zwracałem uwagę Czytelników na prawdziwą naukową rewolucję, jaka zachodzi ostatnimi czasy w dziedzinie genetyki, czyli na dynamiczny jej rozwój, wydatnie z kolei przyspieszony przez osiągnięcia informatyczne, pozwalające na zaprzęgnięcie do sekwencjonowania genów superszybkich komputerów. Naukowcom udało się sporządzić – dużo wcześniej niż się tego spodziewali – kompletną mapę ludzkiego genomu. Inżynieria genetyczna daje do rąk człowieka stwórcze możliwości, o jakich wcześniej mogliśmy tylko marzyć: kreowania nowych gatunków, wskrzeszania wymarłych zwierząt, a także wstąpienia na drogę autoewolucji, na początek poprzez wyeliminowanie warunkowanych genetycznie ułomności homo sapiens.

Niezależnie od powyższych obietnic, których spełnienie mają przynieść jakoby już najbliższe dziesięciolecia, obserwujemy wiele praktycznych wdrożeń osiągnięć genetyki, budzących mniejsze lub większe kontrowersje, takich jak transgeniczna żywność czy klonowanie zwierząt.

Oglądałem w niemieckiej telewizji film poświęcony wielokrotnym mordercom. Kilku z nich udało się ująć tylko dzięki temu, że całą męską część populacji zamieszkującej obszar, w którym znaleziono ofiary zbrodni, podda-

no badaniu genetycznemu. Specjalną szpatułką z jamy ustnej badanego pobiera się próbkę śliny. Następnie kropelkę śliny ogląda się szczegółowo pod mikroskopem, co pozwala zidentyfikować i utrwalić dłuższą sekwencję genów. W jednym przypadku trzeba było zbadać osiemnaście tysięcy rozmazów genowych, ażeby wykryć sprawcę zbrodni.

Tym sposobem nauka, jako medycyna sądowa, zyskała nowe zastosowanie przy identyfikacji przestępców. Owi, pokazywani w filmie, zbrodniarze niemieccy byli sprawcami wielokrotnych gwałtów na młodych kobietach, kończących się okrutnym mordem. Jest rzeczą charakterystycz-

na, że niemal każdy taki dewiant wykonuje swoje okrutne napady w pewien powtarzający się, rytualny sposób. Niektórzy z nich mordowali, ale nie dokonywali aktów seksualnych, jedynie obnażając ofiary.

Podczas takich czynności z reguły sprawca pozostawia ślady, pozwalające na jego uwarunkowaną genetycznie identyfikację. Procesy sądowe, oparte na zebranych genetycznie dowodach, kończyły się rozmaicie: część morderców, których psychiatrzy uznali za niepoprawnych i teoretycznie niepodległych normalizacji terapeutycznej recydywistów, trafia do specjalnych zakładów psychiatrycznych. Jest przy tym rzeczą wstrząsającą, że powtarzają się przypadki udzielania zamkniętym degeneratom czasowego urlopu, ponieważ umożliwia to zapewnienia lekarzy-ekspertów, że tak zwany urlopowicz ponownie zbrodni już nie dokona. Niestety, bardzo często jedną z pierwszych czynności wypuszczonego czasowo na wolność było poszukiwanie kolejnej ofiary, zakończone zhańbieniem i mordem.

W Niemczech, a bodaj i w całej Europie, zlikwidowana już została kara śmierci, natomiast nadal wykonuje się ją w wielu stanach amerykańskich. Odmienność ustawodawstwa w poszczególnych regionach USA sprawia, że kiedy w jednych identyfikacja

kodu genetycznego oskarżonego stanowi istotny dowód świadczący o jego obecności na miejscu zbrodni lub wykluczający jego winę, w innych tego rodzaju dowodu tożsamości w ogóle sądowo się nie uznaje. Ostatnio czytałem w amerykańskiej prasie o dość osobliwej i niewesołej sprawie pewnego mężczyzny, który miał się za ojca trojga synów. Analiza genetyczna wykazała jednak, że był on biologicznym rodzicem tylko jednego z nich. Aczkolwiek ów mężczyzna nie chciał już dłużej żyć na utrzymanie nie swoich dzieci, sąd nie zwolnił go od obowiązków ojcostwa.

Takie historie zdarzają się w naszym nowożytnym społeczeństwie. Były także szczęśliwe przypadki, kiedy po wieloletnim pobycie w więzieniu skazany za zbrodnię został uniewinniony i wypuszczony na wolność, ponieważ badania genetyczne dowiodły, że to nie on dopuścił się zarzucanych mu czynów.

Z powyższych przykładów wynika wniosek, że – jakkolwiek identyfikacja oparta na badaniu genetycznym nie wszędzie zdobywa rangę dowodu rzeczowego – eksperci powszechnie uważają, iż „odcisk genetyczny” jest pewniejszym wskaźnikiem rozpoznawczym, aniżeli tradycyjny dotąd wzór linii papilarnych, czyli po prostu mówiąc – odcisk palca.

STANISŁAW LEM
13 marca 2001



FOT. DMITRI SZEWKOW-KSMIEŁOW

Życie społeczeństwa nie jest takim chaosem, jak się wydaje.

Tyle wiem z socjologii.

Nazywam się Jerzy Szacki.

Jestem jednym z 3000 autorów

WIELKIEJ ENCYKLOPEDII PWN.



prof. dr hab. Jerzy Szacki, socjolog

WIELKA ENCYKLOPEDIA PWN to dzieło na miarę XXI wieku.

Trzy tysiące specjalistów, reprezentujących wszystkie dziedziny wiedzy, czuwa nad redakcją największej polskiej encyklopedii uniwersalnej.

Owocem tej pracy będzie 30 tomów, zawierających łącznie

140 tysięcy haseł i 15 tysięcy ilustracji, 700 map i wiele tabel.

A wszystko to na przeszło 17 tysiącach stron.

WIELKA ENCYKLOPEDIA PWN

to kompletny obraz współczesnego

świata i Polski, życia na Ziemi,

dziejów cywilizacji i kultury.



WIELKA ENCYKLOPEDIA PWN  Encyklopedia wielka jak świat.

Weź udział w subskrypcji WIELKIEJ ENCYKLOPEDII PWN.

UWAGA! Tylko do końca marca subskrypcja z 5% rabatem! Za każdy tom wydany w tym roku zamiast 130 zł zapłacisz jedynie 123,50 zł (cena kolejnych tomów może ulec zmianie).

Szczegóły: ulgowa linia informacyjna 0801 33 33 88 (opłata: 35 gr + 22% VAT za każde rozpoczęte 3 minuty) <http://we.pwn.com.pl>

WYDAWNICTWO NAUKOWE PWN



PATRONI MEDIALNI

PROSIMY NIE POWTARZAĆ

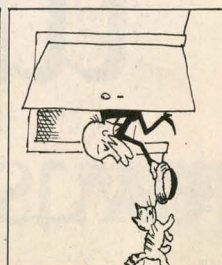
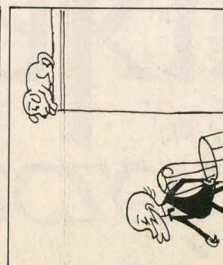
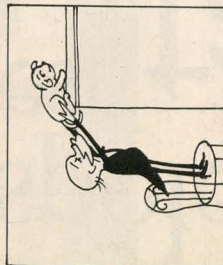
Coraz więcej jest w Polsce takich polityków, którym do porażki absolutnie nie jest potrzebny żaden kontrkandydat, ponieważ przegrywają sami z sobą.

Wajdzie coś się powąjdziło

Pełno w gazetach tego „Przedwiośnia”. M.in. w „Gazecie Wyborczej” z 28 lutego:

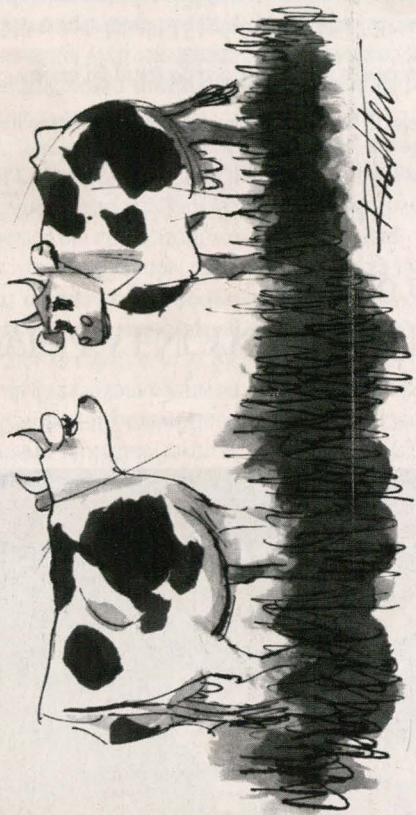
Każda próba adaptacji „Przedwiośnia” Stefana Żeromskiego oznaczała kłopoty. Andrzej Wajda (próbował w latach 60.): – Wtedy zgodzić się nie mogło, rewolucję z 1917 r. wolno było pokazywać w kinie tylko filmowcom radzieckim, a scena z robotnikami idącymi na Belwe-

FLUTEK



Rys. Zbigniew Lengren

The New Yorker



– Aż wstyd się teraz przyznać do tej wołowej rodziny.

O WACUSIU

– Jeśli chodzi o sprawy budżetowe, to nie ma lepszej specjalistki od Falczakowej. Po-
trafi zawsze tak zrównoważyć budżet, żeby wydatki były o wiele większe od dochodów.

(Nadesłał: J. Pyszyński)

DO HANUŚKI

Pisałem do Hanuśki – odpisu nie dała.
Podobno, o com pisał, dać będzie wołała.
(Jan Smolik, 1560–1598)

Podmiot liryczny jest ślepy i tylko ustami poznaje, że z kochankiem jest coś nie tak.
(interpretacja miniatury poetyckiej Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej)

Zenon skrzywdził Justynę i to z dwu stron.

Papierus to roślina, z której wyrabiano przednika papieru.

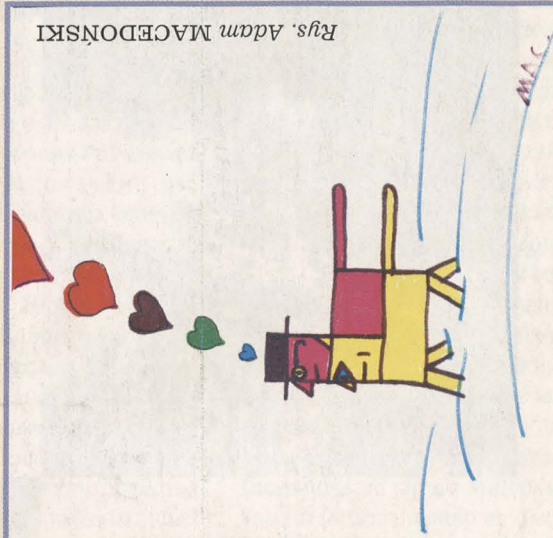
W szkole powinna być instytucja suflera.

HUMOR ZESZYTÓW pochodzi ze zbiorów: B. Bendig z Augustowa, A. Kozarzewskiego z Puttuska, J. Geldon z Olsztyna i M. Trachimowicza z Ostrowa Wielkopolskiego. Dziękujemy.

Wylkarczować! Wylkarczować!

„Kresy – Tygodnik Chelmski” zachwyca się, jak to w Włodawie zainteresowano się młodzieżą szkolną. Zająć się poswiecone są wybranym patologiom w środowiskach szkol-

(Nadesłała: C. Michalska)



– Marzec, marzec!

ŚMIESZNOTY

Stefan Kisielewski (miałby właśnie 90 lat) opowiadał, że kiedyś – nieco zmaltretowany nocnymi dyskusjami – wyszedł w samo południe z jakiegoś dużego starswieckiego hotelu. Stanał, rozejrzał się bezzradnie w prawo, w lewo i w końcu zapytał jakiegoś przechodnia:

- Przepraszam pana, gdzie ja jestem?
- Na Piotrkowskiej – odparł zapytany.
- Na Piotrkowskiej... – mruknął Kisiel.
- A w jakim mieście?

Miliard sto milionów dorosłych osób na kuli ziemskiej ma sporą, ale to bardzo sporą nadwagę. Tyle samo zresztą cierpi z powodu niedożywienia. 51 procent Brytyjczyków to ludzie o wiele za ciężcy, więcej grubasów jest w Rosji, bo 54 procent, w Stanach Zjednoczonych zaś aż 61 procent. Nicco lepiej to wygląda w Chinach, bo tam dorosłych tłuszciochów jest tylko 15 procent, ale oni za to nadrabiają wszystko liczebnością. Ciekawie, jak długo kula ziemska wytrzyma to twędzi.

À propos nadwagi:

Od dawna mówi się o konieczności ogólnego traktowania małych osób powołanych do pełnienia odpowiedzialnych funkcji w państwie. Chodzi o to, żeby badać ich stan ciała i jętkowy w momencie obejmowania stanowiska, a potem w momencie opuszczania. I po prostu porównywać te dwie liczby.

A nie prościej byłoby ich najzwyczajniej ważyć? NIK go waży przed dojściem do żłobu i po odejściu (lub odciągnięciu) od tegoż. I NIK od razu wie wszystko i tylko przelicza te dodatkowe kilogramy na gotówkę według taryfikatora.

Jest np. taki poseł gdzieś tam hen z Łomży, ulubieniec pań z różnych telewizyj, który zaczął robić za posła jako wąty chłopczyzna, a teraz się pięknie rozwinał i ponieważ lubi na wizji gestykulować rączkami, to każdy widzi, że zamiast paluszków ma serdelki. Niedługo już, można by było go zważyć.

KANALARSKIE ŻYCIE

Przebywanie w kanałach nie jest niewątpliwie zbyt przyjemną rzeczą. Nie dotyczy to, rzecz jasna, pewnych aktorów, koteryjek, a już z pewnością nie dotyczy Piotra Fronczewskiego, który potrafi przebywać w kilku kanałach jednocześnie.

Brat PRZEK-ROJEK